

Z CZARY MŁODOŚCI.

SONETY.

I.

UPOJENIA.

W parowie.

1.

Leżę w parowie. Głowa w mchu mi tonie.
Sosny ożywczym aromatem dyszą,
Szczyty ich sennie w górze się kołyszą,
Szlak chmur przeciąga ku zachodniej stronie.

Cisza dokoła. Upajam się ciszą.
Odurzające macierzanki wonie
Z traw biją... Nagle — pieśń mi wzbiera w łonie.
Śpiewać! dla ludzi! — lecz czyż mnie dosłyszą?

Czy mnie nie zgłuszy uragan dziejowy,
Co zmiata proch wnet po każdej godzinie,
Która w toń wieków padnie i — przeminie?...

Zbieram me myśli, odziewam je słowy:
Lećcie, jak orły, jak wichry, po świecie,
Grzmijcie!... — Ocknąłem się, płacząc, jak dziecię.

2.

O, gdzież pieśń taka, co burzą szaloną
Nad tą wyziębłą kulą-by przegrzmiała,
Od któréj ludzkość zadrgnęłaby cała,
Któraby w każde ugodziła łono!?

Czy jest pieśń taka? i czy skamieniała
Ludzkość jest zdolna przyjąć w pierś uśpioną
Coś, co nie będzie lalką wystrojoną
Lub złotym kruszcem?... Oby myśl kłamała,

Która tak twierdzi! — Płonęła mi głowa.
Złożyłem skronie na wilgotnéj ziemi —
I zwolna w ucho, szmerami dziwnemi,

Spłynęła sosen pieśń tęskna, surowa,
I ciche szepty wonnych ziół kobierca.
Głosy ich brzmiały: „Z serca śpiewaj, z serca!“

* * *

Negli occhi porta la mia donna amore.
Dante.

I.

Jam Ci nic nie powiedział, ani Ty mnie, Pani,
A jednak — kiedy nasze spotkają się oczy,
Ja słodycz niezmierzoną w Twych widzę przezroczy,
Słodycz, jaka zbawieniem byłaby w otchłani.

I wtedy czar mię jakiś owiewa uroczy,
I szepcę, wszystkie myśli niosąc Tobie w dani:
„Błogosławieni stokroć smutni i znękani,
„Których takie spojrzenie swą wstęgą otoczy!“

I tak mi cicho w duszy, jak pod wieczór w borze,
Gdy drzew gąszcz oczerwienią zachodowe zorze,
I tak mi w duszy tęskno, jak kiedy na niebie

Konstelacye rozbłysną oczami złotemi,
A ja dla nich nie mogę rzucić staréj ziemi
I lecieć, lecieć, lecieć!... Czyżbym kochał Ciebie?

II.

Tyś mi nic nie mówiła, ani téż ja Tobie,
A jednak — gdy się nasze spotkają źrenice,
Jakieś w mych widać grają ognie, błyskawice,
Jak o wiosennéj wzruszeń, burz, nawałnic dobie.

Bo naprzód w łez djamenty oczy Twoje zdobię,
Potém w żywsze róż barwy ubiéram Twe lice,
A potém — sam już nie wiem, jak blaski rozświécę,
Co drgają w oku, w głosie, w całéj Twéj osobie.

I stoisz tak przede mną, drżąca, bez wyrazu,
Nakształt madony słodkiéj jasnego obrazu,
A twarz Twa to w purpurach, to znów jak śniég biała.

A ja patrzę z zachwytem w ten blask objawienia,
Co dziewicze Twe czoło nagle opromienia
Wdziękiem niewysłowionym... Czyżbyś mnie kochała?

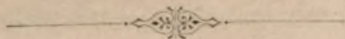
Wieczór.

Późny zachód. Cicho w borze.
Z widnokręgu złote słońce
Budzi iskier, barw tysiące
Na czerwonéj sosen korze.

Zgasło... Krwawo płoną zorze.
Na tło niebios gorejące
Płyną pasy chmur — to gońce
Nocy, wiecznéj nocy może...

Może wiecznéj... Któż odgadnie,
Czy dziś w wieczną toń nie padnie
Dusza jego — i czy końca

Ludzkość nocy téj doczeka?
W mrokach grzmi nicości rzeka...
Błysk!... Nadzieja! Krąg miesiąca!



II.

MĘTY W PUHARZE.

Nielicznym.

Aleksandrowi Gierymskiemu.

1.

Biada wam, jeńcy wieczni snów doskonałości,
Goniący wnętrznem okiem widmowe postacie!
Wy słońc plamy wnet duchem zbyt czułym chwytacie,
Marząc o nieskalanéj, skończonéj piękności.

Gdzie innym droga życia kładnie się najprościéj,
Wy o cierń złud, zawodów stopy zakrwawiacie;
Wam twarz Judasza błyska, gdy ktoś mówi: „Bracie!“
Wam z cudnych rysów lica świécą trupie kości.

Tyle bożyszcz w gruz, w próchno w oczach wam runęło,
Tylekroć czczone zdala, boskie arcydzieło
Przy poznaniu się gliną okazało podłą,

Że gdy kształt wam się zjawi, śnionym kształtom bliski,
Pierzchacie, by znów z kłamną nie spotkać się modłą
I nie łkać u złud — razem — grobu i kołyski.

2.

I wolicie samotni iść ku życia krańcom,
Niż, idealnych, śnionych zaparłszy się widem,
Czcić bałwany, któreście okrywali szydem,
Zrzec się słońca i dymnym uwierzyć kagańcom.

Podobni podaniowym Edenu wygnańcom,
Toniecie w śnie, co świetnym wam rozbłysł bolidem,
I za świat wam się czoło oczerwienia wstydem,
Że sny takie lśnią tylko świata wywołańcom.

Biada wam! I nie iżby śmiech was raził czerni,
Nie iżby wam żal było szczęścia, które mierniéj
Kupić można i którém wkrąg się chlubią ślepce;

Lecz że co chwila, z czołem w lodowatym pocie,
Walczyć musicie z hydrą zwątpienia, co szepce:
„Zali ten sen, to bóstwo — nie widmem w istocie?“

N a s t r ó j.

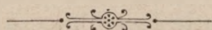
Edw. Porębowiczowi.

O miejskie, wietrzne, pochmurne wieczory,
Gdy wiry prochów po kamieniach tańczą,
Mrok — latarnianych ócz błyska szarańczą,
Ulice zieją, jak jaskiń otwory!

Samotny-ś. Błądzisz. W wyobraźni choréj
Rój dziwnych widem myśli twoje niańczą,
Zdasz się sam sobie duszą wywołańczą,
Od którėj pierzcha tłum w ucieczce skory.

I mroki zwolna w duszę twą się sączą,
Gaszą w niéj wszystko, tłumią swą opończą
I pustka wielka zalewa ci łono.

Nawet marzenia, które życie złocą,
Pierzchły, jak ptaki. Z głową opuszczoną
Szepcesz bez myśli: „Po co wszystko? po co?"



III.

POJEDNANIE.

Rozmowa z duszą.

Adamowi Asnykowi.

1.

O duszo ludzka, ty zawsze się pytasz,
Zawsze chcesz zgłębić szczęścia tajemnicę,
I nieznanego przestąpić granice —
I w zwątpień ciemny się rzucasz korytarz.

Ta zgubna żądza twa nigdy nie syta-ż?
Nie nauczyły-ż cię już łez krynice,
Że szczęście pierzcha i odwraca lice,
Kiedy za skrzydła motyle je chwytasz?

Patrz! Oto Ewa wygnana w łzach tonie,
Psyche tęskniąca w bólu łamie dłonie,
W łabędziéj łódce Lohengrin odpływa...

Szczęście w tajemnych tylko zmrokach gości,
Razi je, płoszy światłość przeraźliwa:
Chcesz być szczęśliwą? Żyj w nieświadomości.

2.

Prawda! Gdyś szczęście utracił, — w rozpaczy,
Która ci serce rozdziéra na ćwierci
I, jako ulgi, każe pragnąć śmierci,
Swéj ciekawości złorzeczysz junaczéj.

Jednak, gdy dola znów się przeinaczy,
I nowe szczęście z niezbadanych sfer ci
Spłynie, — czerw' dawny wnet gryzie cię, wierci:
Badasz, by łachman znów zyskać żebraczy.

Zgubione w strasznéj mroków zawierusze, —
Jak ćmy do światła leciéć muszą dusze,
I żadnych strat ich nie powstrzyma trwoga...

I jedna drugiéj mąk i łez zazdrości,
Bo, gdy im była mara szczęścia droga,
Równie im drogim jest ból świadomości.

Metafizyka.

Po za okręgi przyrodzone świata,
Po za rozumu i zmysłów granice,
Chcąc przeczuwaną zbadać tajemnicę,
Ludzka myśl wiecznie z niepokojem lata.

I kłamie, mówiąc: „Dość mi, gdym bogata
„W doświadczeń wiedzę, dość mi, gdy pochwycę
„Najbliższe przyczyn, skutków krzyżownice;
„Gdzieś daléj sięgać — próżna czasu strata!“

Otchłanie otchłań pociąga. Obszarów
Bezkreśnych trzeba tęsknotom bez końca.
Choć wiecznie głodna dusz żądza paląca,

Choć śród zwątpienia wciąż błądzim oparów,
Świat coraz nowych ogląda Ikarów.
Duch rwie się w bezmiar, choć los w proch go strąca.

Braciom poetom.

I.

Choćby pod tobą niepłodna opoka,
Nad tobą skwary groziły siewowi,
Siéj: w uschłém ziarnku się kiełek odnowi
W wiatrzanych prochach, pod rosą z wysoka.

I choćby siew twój przepadł najjałowiéj,
Siéj i świadectwu nie wierz swego oka;
Gdzie bój — siéj miłość, światło — gdzie pomroka;
Czyń — chociaż, po co, nikt ci dziś nie powié.

I choć sam nie wiesz... Chociaż mędrców wiedza
Świadczy posępnie, że koléj wydarzeń
To tylko wielka Konieczności miedza,

Że nic nie zmienisz w ciągu przeobrażeń,
Żeś tylko skutkiem tego, co poprzedza —
Ty się nie zrzekaj pracy swéj i marzeń.

II.

Niepoliczone świat widział teorye;
Ta snadź prawdziwsza nad inne systemy,
A może złudna, jak inne... Bo niemy
Sfinks bytu milczy, wciąż snując historyę.

Więc dobrze czynim, jeżeli się przemy,
Gdzie ideału lśnią fantasmagorye,
Jeśli w snach naszych przed odzianym w gloryę
Jutrznianą lepszéj przyszłości się gniemy.

Runą snadź wiedzy dzisiejszéj zdobycze,
Gdy pączki nowych teoryi rozpękną;
Tu wiecznym pochód jest przez bezgranicze.

Ale nie padną Miłość, Dobroć, Piękno,
Choć niezbadane i choć tajemnicze;
Ludy przed niemi po wiekach uklękną.

III.

O, wierzmy sercu! Co w niém nieświadomie
Kwitło przed wieki, w ludzkości kolebce,
I co nam ono dziś tajemnie szepce,
W tym strasznym wierzeń i marzeń rozgromie,

To — jest! I choć je błędny tłum dziś depce,
Nie zgaśnie owo nieśmiertelne płomię.
Skryte dziś, kiedyś snadź błyśnie widomie,
I z osłupieniem ujrzą je i ślepce.

A choćby wiecznie było niezbadaném
I niepojętém cichych przeczuć dzieckiem —
Wszakże byt cały tajni oceanem!

Więc ze zwątpieniem bojując zdradzieckiem,
Uderzmy w serca, kędy ono panem,
Rozpogodzeniem ludy pójmy greckiem!

Impression.

Pannie M. M. Dowie.

Szafiru w oknie szmat i gwiazd srebrzyste ćwieki,
Przestrzeni wielki wiew świeżości wpływa falą,
Gdzieś w głębi widma drzew, światełka w mgle się palą,
I, jak wód głuchy spad, Paryża gwar daleki;

A wewnątrz młody świat, rytm wierszy, szkiców teki,
Za ścianą skrzypiec zew, struny się tęsknie żalą,
I rzewny szkocki śpiew, w którym się łzy kryształą,
Żar dysput, śmiechu kwiat, szał rozmarzenia lekki.

Artyzmu święty duch przewiewa tu widomie,
Szkic rzuca dłoni ruch, z słów bucha myśli płomię,
Wspaniały piękna gmach budują wyobraźnie!

Gwiaździstéj nocy sen! Ze świtem zniknie, pierzchnie —
I chyba w twórczych snach rozbłyśnie znów wyraźnie,
Jak jedna z owych scen, co lśnią, gdy wkrąg się [zmierzchnie...

Dań morza.

Morze na burze wyrzuca muszle, skorupiaki.
I codzień po wybrzeżu chodzą ludzi roje,
Najpiękniejsze okazy zbiérając jak swoje.
Po nich jeszcze nadmorskie żerują tam ptaki.

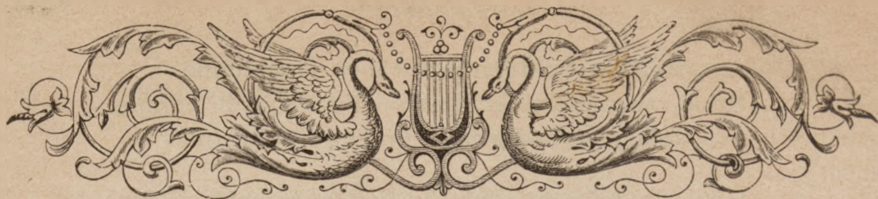
Muszlami potém ludzie zdobią swe pokoje,
Homary jedzą możni. Marne zaś ślimaki
Biorą ci, co się cieszą i ze strawy takiéj,
Bo całe ciężkie życie z nędzą toczą boje.

Wielka duszo poety! Tyś jak hojne morze!
Rzucasz na świat, olbrzymie mórz ducha wybrzeże;
To, co się w twojém wnętrzu rozwija, wytwarza,

A ludzie to zbiérają. I wielu z nich może
Dla ozdoby lub zbytku tylko pieśń twą bierze.
Lecz nieraz i od śmietci snadź zbawisz nędzarza.

Miriam.





TALLEYRAND'A POCZĄTKI. *)

„Ecrire la vie de M. de Talleyrand n'est guère chose possible."

Sainte-Beuve.

I.

Pierworodny potomek udzielnéj niegdy rodziny magnackiéj, z kolei opat de Périgord, biskup Autun, obywatel Talleyrand, książę Benewentu, książę de Dino, w końcu znów po staremu, tytułem przodków, książę de Talleyrand-Périgord, spadkobierca tylu zaszczytów dziedzicznych, tylu dorobkowych spadkodawca, świetny młodzieniec, mąż rozgłośnéj sławy, starzec legendowy, miał dziwnie smutne i przejmujące chłodem dzieciństwo. Kiedy się urodził (1754), we Francyi w życiu rodzinném i towarzyskiém t. zw. wielkiego świata wciąż górował sceptycyzm zmysłowy regencyi, udoskonalony za nowych rządów „króla ukochanego", zaprawiony nadto resztkami sztywnéj tradycyi z czasów „króla-słońca". Nie rozległ się był jeszcze na wyżynach społecznych głos donośny Jana Jakóba, nie znano „Emila", ani „Nowéj Heloizy", nie znajdywano dla dzieci cierpliwości ani czasu; czekała dopiéro swojéj kolei późniejsza epoka czułości humanitarnéj, kiedy sentymenta macierzyńskie należą do „dobrego tonu", kiedy damy światowe każą sobie wieczorem do teatru przywozić swoje niemowlęta, aby *coram populo* karmić je w loży. „Moda

*) Objaśnienie co do pochodzenia i wartości „Pamiętników" Talleyranda, z których korzystaliśmy w pracy niniejszéj, znajdzie czytelnik na końcu artykułu.

uczuć rodzicielskich nie była jeszcze nastała“, zjadliwie zapisuje Talleyrand w „Pamiętniku“, gdzie o rodzicach swoich tę tylko umieszcza wzmiankę, że ani razu w życiu nie spał z nimi pod jednym dachem.—Po wielu latach, wszechwładny minister w jednéj z rzadkich u niego chwil słabości i wynurzeń, siedząc sam na sam z dobrą i przystojną panią Rémusat, gorzko przed nią będzie się użalał na przeciwną naturze obojętność, doświadczaną w wieku najmłodszym od swoich, która nazawsze zmroziła i wysuszyła mu duszę.—Stosownie do ustalonego naonczas śród arystokracyi francuskiéj zwyczaju, zaraz po urodzeniu oddany został na wychowanie w obce ręce. Późniéj dopiéro, kiedy już lat sześć sobie liczył, wzięła go do siebie prababka, pani de Chalais, do ustronnego swego zamku pod Barbézieux; „ona to pierwsza z mojéj rodziny okazała mi przywiązanie, pierwsza mnie nauczyła kochać.“ Szczególniejszy zaiste widok: zgrzybiały, oschły Talleyrand, który na schyłku żywota własne pogmatwane dzieje, a zarazem dzieje świata, spisuje piórem ostrém, niekiedy zatrutém, zawsze interesownèm, a który, najpierwsze rozgrzebując wspomnienia, jedną zapomnianą znajduje iskrę w popiele, i prawie z rozrzewnieniem, z niezwyczajnemi u niego szczegółami, zatrzymuje się nad postacią jedynéj swojéj w życiu opiekunki, opisuje jedwabną z koronkami suknię staruszki, jéj staroświecki czépek z motylem, wstęgi i kokardy, z imienia wylicza jéj panny służebne i drobną szlachtę prowincyonalną, asystującą jéj do kościoła w niedzielę. Jednak poprzednio, gdy jeszcze był zdany na łaskę płatnych wychowawców, w czwartym roku życia, należycie nie dopilnowany, zwichnął nogę i do śmierci zachował kalectwo. Kiedy o tym wypadku, o wiele późniéj, dowiedzieli się rodzice, widząc najstarszego syna nie zdolnym do służby wojskowéj, jedynéj karyery, stosownéj dla przyszłéj głowy rodu, bez żadnych skrupułów wyzuli go na rzecz młodszego brata z przywilejów pierworodztwa i przeznaczyli do stanu duchownego. Człowiek, który w następstwie miał zostać wykonawcą obojętnym „racyi stanu“, sam, dzieckiem będąc, poświęcony był dla „racyi rodu“. „W wielkich domach—pisze przy téj okazyi—kochano raczéj rodzinę, aniżeli jéj członków, zwłaszcza aniżeli członków młodocianych, których nie znano jeszcze.“ W jego duszy zaciętéj, a pamiętnéj na krzywdy, głęboko wryła się ta krzywda najdotkliwsza, bo pierwsza i doznana od najbliższych.

Do stanu duchownego żadnego nie czuł w sobie pociągu. Szamotał się bezsilnie przeciw nieodwołalnéj decyzyi rodzicielskiéj. Aby go zachęcić i zbudzić w nim ambicyę, podsuwano mu do czytania Pamiętniki kardynałów Retz'a, Richelieu'ego, Ximenes'a; tłómaczono

opornemu chłopcu, że kulawy arystokrata, który stroju wojskowego przywdziać nie może, nie może téż w innéj, jeno w sukni duchownéj dojść do stanowiska, jakie przystoi jego urodzeniu. „Ten nacisk ustawiczny, jaki na mnie wywierano, nie przekonywał mnie, lecz mię wprawiał w niepokój. Młodość jest tą życia epoką, kiedy się posiada najwięcéj uczciwości. Nie pojmowałem jeszcze (jeszcze, późniéj był pojętniejszy),—jak może być wolno przybierać rolę, wymagającą abnegacyi zupełnéj, aby tém snadniéj osiągnąć cele ambitne, jak można wstępować do seminaryum, aby zostać ministrem finansów. Cóż, kiedy nie miałem obrony znikąd, byłem osamotniony.“ Uległ nareszcie i w wieku lat szesnastu wstąpił do seminaryum Św. Sulpicyusza, sławnéj szkoły duchownéj, która po biskupie z Autun miała wydać autora „Życia Chrystusa“. Tutaj trzy lata wysiedział Talleyrand, „nie mówiąc prawie ani słowa.“ W bibliotece szkolnéj, zbogaconéj przez kardynała Fleur'ego, spędzał długie godziny, rozczytując się w życiorysach wielkich mężów stanu, z rosnącém rozgoryczeniem, z ambicyą tłumioną, z popędami młodości się bijąc. Aktoreczka prowincyonalna, spotkana w kaplicy kościoła Św. Sulpicyusza, „uratowała go od skutków melancholii, posuniętéj do ostatnich granic“. „Ją rodzice wbrew jéj woli zmusili, aby wstąpiła do teatru; ja wbrew swojéj woli byłem w seminaryum.“ Trzeba słuchać starego Talleyranda, z jakim wdziękiem rozpowiada o téj pierwszéj sielance dwuznacznéj. „Wszystkie smutki naszego życia, moje zniechęcenie, jéj drobne kłopoty, miały ujście w naszych rozmowach. Upewniano mnie późniéj, że brak jéj było dowcipu; choć przez dwa lata widywałem ją prawie codziennie, na tym braku nie postrzegłem się przecie“ [1]).—Jednakowoż niebawem wypadło przyjąć święcenia nieuniknione; tę chwilę stanowczą pomija milczeniem pamiętnikarz, lecz jego przyjaciel najbliższy, — o ile miał przyjaciół człowiek, który wyrzekł z uśmiechem sceptycznym: *mes amis, il n'y a pas d'amis* — Choiseul-Gouffier, opowiada, że kiedy przyszedł do niego wieczorem w przeddzień wyświęcenia, zastał go we łzach i rozpaczy: „za późno, wołał, za późno, już niepodobna się cofnąć.“

---

[1]) Ob. inne szczegóły w „Mém. de M-me de Rémusat“ (1880), III, 327, nast. Z obcych przyczynków do życiorysu T-a stanowią te pamiętniki źródło najcenniejsze i nie bez zasady nazwano je „prawdziwemi pamiętnikami T-a“ (Bailleu); niemniéj jednak wymagają wszędzie ścisłéj kontroli, z uwagi na stosunek, łączący Rémusat'ów z T-m. Wogóle, zdaniem piszącego, zostały te „Pamiętniki“, nazbyt przecenione przez najnowszych historyków epoki pierwszego cesarstwa.

Zaraz po opuszczeniu seminaryum nowy *abbé malgré lui*, jak ochrzciła go pani Dubarry, był obecny w Reims na koronacyi Ludwika XVI-go i przy téj okazyi poczynił pierwsze znajomości w wielkim świecie. W r. 1775 osiada w Paryżu, uczęszcza do Sorbony, gdzie pilnie oddaje się studyom teologicznym i codzień miewa sposobność oglądać wspaniałe mauzoleum kardynała Richelieu'ego, swojego pierwowzoru, które się wznosi w kościele uniwersyteckim. Nareszcie zostaje samodzielnym: dzięki wstawiennictwu stryja, arcybiskupa w Reims, ma sobie nadane od króla opactwo Św. Dyonizego w tém mieście. Odtąd zagląda niekiedy do starożytnego grodu koronacyjnego i na jednéj z takich wycieczek (1783 r.) zawiera znajomość z młodym turystą angielskim, ugaszczanym przez arcybiskupa, dwudziestokilkoletnim Williamem Pitt'em. To pierwsze spotkanie dwóch przyszłych szermierzy politycznych, interesujące już samo przez się, ciekawém jest nadto dla względów postronnych. Do Francyi, któréj wrogiem śmiertelnym miał niebawem zostać, wyprawiony był Pitt Młodszy w zamiarach matrymonialnych; starał się o rękę panny Necker, późniejszéj sławnéj pani Staël, a przyjaciółki płomiennéj Talleyrand'a [1]).

Zyskowna synekura w Reims, przynosząca 24,000 liwrów dochodu, nie przeszkadzała bynajmniéj młodemu opatowi przesiadywać stale w Paryżu, uczyć się płynąć z nowym, coraz rwistszym prądem, który tutaj brał początek, nurzać się zarazem w wirze uciech świeckich życia wielkomiejskiego. Kiedy Wolter odbył ostatni swój wjazd tryumfalny do stolicy, aby, podług słów własnych, umrzéć zaduszony śród róż i kadzidła, — jeden z pierwszych pośpieszył opat de Périgord ze złożeniem mu hołdów przynależnych [2]); kiedy wybuchła wojna o niepodległość kolonii amerykańskich, uzbroił swoim sumptem okręt korsarski dla walki z Anglikami, ciemięzcami

---

[1]) Do tego mało znanego epizodu por. „The Greville Memoirs“ (ed. 1888), II, 353, i D'Haussonville, „Le salon de M-me Necker“ (1885), II, 52, nast. (podł. niewyd. korespondencyi Neckerowéj i córki).

[2]) Po wielu jeszcze latach z wielką żywością opowiadał Mignet'owi o spotkaniu z Wolterem; Mignet, „Le prince de T.“, 135, nast. (czytane w Akademii nauk mor. i pol. w maju 1839 r., niedługo po śmierci Talleyranda, stąd w tém pięknem studyum przeważa ton apologetyczny; zresztą dwaj młodzi przyjaciele, Mignet i Thiers, w szczególnych byli łaskach u starego Talleyranda; przyjmował ich często u siebie, dawał im ciekawe skazówki do dziejów swojéj epoki,—jak gdyby z góry już pragnął sobie zaskarbić względy najpowołańszych historyków okresu rewolucyi i cesarstwa, wskazanych swoich sędziów przed potomnością. Stąd i z Thiers'a ostrożnie korzystać należy do biografii T-a.

sprawy wolności. Ksiądz-arystokrata korsarzem i wielbicielem autora „Dziewczyny orleańskiéj“ — nie raziło nikogo takie skojarzenie za czasów wesołych a łatwych „wieku oświecenia“, owszem, jaknajlepszą stanowiło rekomendacyę towarzyską. O tryumfy towarzyskie dobijał się jeszcze wtedy najwięcéj młody opat, jeszcze napozór zadawalał się tanią ambicyą wykwintnisia i lowelasa. Mawiano o nim, w owym czasie, że „ubiérał się jak fircyk, rozumował jak deista, kazał jak święty“. Na chwilę wytrąciło go z równowagi epikurejskiéj jedno uczucie silne i czyste: pokochał księżniczkę Karolinę Montmorency i miał wzajemność, lecz połączeniu obojga stawał na przeszkodzie jego stan duchowny. Klątwa urodzenia i stosunków nigdy nie dotknęła go boleśniéj; w takich wypadkach na nic się nie zda duma, ani samowiedza sceptyczna; strata nazbyt jest bliska a niepowrotna. O całéj téj sprawie nawet wzmianki nie ma w „Pamiętnikach“ i jedynie w rozmowie poufnéj z panią Rémusat wyrwała się siwiejącemu Talleyrand'owi późna, a tém szczersza skarga. „Wiele wtedy czyniłem starań, aby zyskać zwolnienie od ślubów duchownych, i sądzę, że byłbym celu dopiął, gdyby nie wybuch rewolucyi, który papieżowi (Piusowi VI) nie pozwolił przychylić się do mojéj prośby.“

Swoją drogą, niezadługo się pocieszył, pocieszycielek mając podostatkiem w najpierwszych salonach arystokracyi, gdzie, wcześnie już przysłowiowy dla ciętego dowcipu, elegancyą, pewnością siebie, dyskrecyą, łatwo, jakkolwiek kulawy, zyskiwał sobie kobiéty. Dużo bywał w towarzystwie i nietylko się bawił, ale się uczył zarazem; uważnie patrzył i słuchał, udoskonalał wrodzony sobie dar spostrzegawczy, broń nieoszacowaną przyszłego męża stanu. „Ciekawy widok — powiada we wspomnieniach z téj epoki, kreśląc jéj obraz, właściwym sobie sposobem, w kilku rysach subtelnych a żywcem pochwyconych, — przedstawiało towarzystwo wielkoświatowe w ciągu dziesięciolecia, poprzedzającego rewolucyę. Nowe prądy przesunęły z miejsca cały układ stosunków towarzyskich. Delille spożywał obiad u pani Polignac razem z królową, ksiądz Balivière grywał w karty z hr. Artois, Chamfort brał pod rękę pana de Vaudreuil. Gra i dowcip spowodowały niwelacyę powszechną. Wszystka młodzież żywiła przeświadczenie, że sami potrafiliby rządzić. Krytykowano każdą czynność każdego ministra... Młode kobiéty prowadziły wyczerpujące rozprawy o każdéj gałęzi administracyi. Przypominam sobie, jak razu jednego na balu, w przerwie między dwoma kadrylami, pani de Staël wykładała wicehrabiemu Larochefoucauld o istocie cesarstwa zachodnio-rzymskiego; pani de Blot miała swoje własne zdanie o wszystkich oficerach marynarki francuskiéj; pani de Simiane sądziła, że nie nale-

ży opodatkować tytuniów wirgińskich. Kawaler de Boufflers, który nosił w portfelu kilka listów ks. Henryka pruskiego, wręcz oświadczał, że Francya swojéj przewagi w Europie nie odzyska inaczéj, jak zrzekając się aliansu austryackiego dla aliansu z Prusami. „Znajduję znacznie więcéj nauki w parlamencie w Rouen, aniżeli w paryskim“, twierdziła pani d'Hénin. „Na miejscu króla uczyniłbym... taką rzecz“, mówił ks. de Poix. „Na miejscu hr. Artois, taką uwagę uczyniłbym królowi“, mówił kapitan Saint-Blancard... Francya w owym czasie jak gdyby składała się z kilku salonów, z któremi liczyć się musieli rządzący. Podobny stan rzeczy czyż mógł trwać długo?“

II.

Przenikliwy obserwator, który tak jasno zdawał sobie sprawę z nietrwałości istniejących stosunków społecznych, winien był pomyśléć zawczasu o przygotowaniu dla siebie roli stosownéj w nadchodzącym przewrocie powszechnym. Niezwykle ciekawą jest rzeczą obserwować Talleyrand'a w téj pierwszéj, przygotowawczéj epoce jego zawodu politycznego, śledzić jego grę początkującą, w któréj już nic nie ma młodzieńczo-nierozważnego, nic niewyrachowanego, przyglądać mu się, jak w szczególnie trudnéj chwili przejściowéj lawiruje ostrożnie śród krzyżujących się prądów, jak z lisim sprytem obiera sobie zawsze takie stanowisko towarzyskie i polityczne, skąd na wsze strony prowadzą bezpieczne wyloty.—Jeszcze 1780 r. obejmuje urząd wpływowy „generalnego agenta duchowieństwa“; jest z tego tytułu administratorem, doradcą i reprezentantem najbogatszéj w kraju — nie wyłączając bodaj samego państwa — osoby prawnéj, Kościoła francuskiego, trzyma tymczasem klucze od skarbca kościelnego: niezadługo pierwszy je wyda napastnikom, sam wszędy będzie ich oprowadzał, dostarczy dokładnego inwentarza i udzieli skazówek, jaką drogą wartości nieruchome, przeznaczone do zaboru, najpraktyczniéj zamienić się dadzą na dogodną monetę obiegową. Na stanowisku „agenta“ wiele miał do czynienia z kierownikami rządu, zwłaszcza w wydziale finansów, stykał się z Maurepas'em, Malesherbes'em, Calonne'm. Przyjąwszy na siebie rolę przedstawiciela interesów wyższego duchowieństwa, wystrzega się przecie przesadnéj gorliwości w obronie ołtarza i dziesięcin; owszem, poszukuje towarzystwa „filozofów“, pochwala reformy Turgot'a, żartuje sobie publicznie z przesądów klerykalnych i feudalnych, jedném słowem, dokłada wszelkich starań, aby dotrzymać kroku umysłom „oświeconym“.—Jednocześnie dobrze ma się na baczności, aby znowu nie przeholować w przeciw-

nym kierunku. A więc utrzymuje jaknajlepsze stosunki z młodym, lekkomyślnym hr. Artois, późniejszym Karolem X, który już podówczas występuje jako rzecznik zapalony absolutyzmu, przeciwnik zacięty wszelkich dążeń liberalnych; z ambitnym hr. Prowancyi, późniejszym Ludwikiem XVIII, roztropniejszym od młodszego brata, lecz również stojącym niewzruszenie przy zachowawczych tradycyach burbońskich; z całą reakcyjną kliką Polignac'ów, śmiertelnie znienawidzoną od paryżan; ukazuje się w najzacofańszych salonach arystokratycznych, gdzie śród oklasków herbownego audytoryum sypie dowcipnemi epigramaty z powodu protestujących parlamentów, które na swoim partykularzu przybierają pozy senatu rzymskiego, z powodu niebywałych uroszczeń mieszczaństwa, z powodu reformatorów szarlatańskich, którzy, niestety, od niejakiego czasu znajdują podobno przychylne ucho królewskie. Jeśli nie szczędzi pochwał dla Turgot'a, nieszkodliwego, odkąd usunięty jest od rządów, tém staranniej natomiast stroni obrotny opat od Necker'a, którego wpływ i popularność zbyt raptownie urosły, aby z nim bezpiecznie było się wdawać. „Zrobiłem postrzeżenie, że jeśli się pragnie nie być zaliczonym do tłumu, można sobie łatwo zdobyć pewną przewagę, okazując wyraźną niechęć, a nawet oporność dla którejkolwiek osobistości wybitnej, odznaczonej przez opinię publiczną. Obrałem sobie w tym celu pana Necker'a. Stale się wymawiałem, ilekroć na mnie nalegano, abym bywał u niego. Odzywałem się głośno, że on nie jest ani dobrym ministrem finansów, ani mężem stanu, że nie obfituje w pomysły i nie posiada zasad ustalonych w przedmiocie administracyi państwowej..., że jego system pożyczek wewnętrznych, opartych na rencie dożywotniej, daje początek egoizmowi nowego gatunku, jaki odtąd dopiero zapuścił korzenie w obyczajach francuskich; zwracałem uwagę, że on mówić nie umié, że nigdy nie jest naturalny, że słabowite jego zdrowie wywiera wpływ widoczny na jego ducha, utrzymując go w stanie ciągłej obawy; wyrażałem zdanie, że jego duma nie pochodzi z siły charakteru, lecz raczej z wady umysłu i braku dobrego smaku; przyznawałem się, że ze swoją fryzurą dziwaczną, podniesioną wysoko głową, ociężałym, niezgrabnym tułowiem, czyni on na mnie wrażenie szarlatana.“ Główny powód niechęci tkwił gdzieindziej; Talleyrand już był się zaciągnął do popleczników Calonne'a, do graczy giełdowych i spekulantów, wojujących ze skąpym genewczykiem. Bądź co bądź, w powyższym drobnym ułamku Talleyrandowskiej prozy odnajdzie czytelnik wszystkie właściwe jéj specyały: obok ironii subtelnej ze świata i samego siebie, wygłoszoną przelotem, z niedbałością umyślną, uwagę rozumną w doniosłej sprawie gospodarczej, rzucony

w kilku pociągnięciach pióra wizerunek wybitnej postaci dziejowéj, trafny na ogół a pełen dowcipu. Najlepszy atoli dowcip kryje się tutaj w okoliczności, dyskretnie przemilczanej przez pamiętnikarza: ten sam bystry spostrzegacz, który odrazu przeniknął osłoniętą pozorami stoicyzmu słabość ducha i próżność popularnego ministra, jednocześnie pamiętał o tem, aby w osobie jego córki, autorki „Korynny“ zapewnić sobie przyjaciółkę wpływową, usłużną, nieco tylko natarczywą niekiedy.

U dworu, pomimo względów i poparcia obu braci królewskich, nie był Talleyrand dobrze widziany. Król, o upodobaniach nieco prostaczych, wielki amator ślusarstwa, dobroduszny, niezbyt rozgarnięty, przywiązany do rodziny, szczerze religijny,—nie smakował w błyskotliwym dowcipie księdza-niedowiarka i eleganta. Marya Antonina — „zbyt piękna i, co gorsza, zbyt ładna“, powiada o niéj uszczypliwie Talleyrand,—była zarazem dumną arcyksiężniczką austryacką i sentymentalną panią, nastrojoną na modną nutę uczuciową stulecia; wymagała od otoczenia, a zwłaszcza, od młodszych swoich poddanych, uległości lojalnej i serdecznego ubóstwiania; raziła ją i gniewała obojętność sardoniczna opata de Périgord. Nadto, w opłakanej aferze „naszyjnika“ kaustyczny opat, blisko zaprzyjaźniony z rodzinami Rohanów i Carignanów, bezpośrednio interesowanych w skandalicznym procesie, oddał swój ostry język na usługi opozycyi; jego półsłówka zjadliwe, stokrotnie powtarzane, doszły uszu Maryi Antoniny; doknięta podwójnie, jako królowa i kobieta, niebawem przy dogodnej okazyi dała uczuć niewczesnemu żartownisiowi słuszną swoją urazę. Podczas pobytu Gustawa III w Paryżu, gładki Talleyrand tak dobrze umiał się podobać królowi szwedzkiemu, że następnie, w Rzymie będąc, wyprosił dla niego Gustaw kapelusz kardynalski u Piusa VI: natychmiast wdała się w tę sprawę królowa francuska; za pośrednictwem wiernego Mercy'ego, posła austryackiego w Paryżu, a przydanego jéj z Wiednia opiekuna, wpłynęła na brata, cesarza Józéfa, aby corychlej przedstawił papieżowi swoich kandydatów niemieckich; nominacya Talleyrand'a została odłożona i puszczona w niepamięć. Niedoszły kardynał, którego, zamiast purpury, bliski czekał interdykt, filozoficzną pociesza się refleksyą: „podług wszelkiego prawdopodobieństwa, mój kapelusz kardynalski spędził kilka lat w murach twierdz francuskich“, pisze z tego powodu, czyniąc przejrzystą aluzyę do walk kościelnych za Napoleona, kiedy sam na urzędzie pierwszego ministra mógł się bawić widokiem kardynałów francuskich, osadzanych pod kluczem na rozkaz cesarski, z jego wydawany udziałem.

Na zrównoważenie wyraźnej niechęci pary królewskiej jeden

tylko był sposób skuteczny, — szukać oparcia u stronnictwa orleańskiego. Zwolna, bez ostentacyi, nie paląc za sobą mostów, tędy przysunął się Talleyrand. Starszy od niego wiekiem, lecz młokos aż do śmierci, ks. Orleański, kiedy jeszcze nosił skromny tytuł ks. Chartres, miał w nim towarzysza wybryków młodości; kiedy ze zgonem ojca (1785) został głową pierwszéj, po domu monarszym, rodziny w kraju, bogatszym od króla magnatem, jedynym możliwym rywalem swoich koronowanych kuzynów burbońskich, — znalazł w osobie Talleyrand'a doradcę i kierownika, który jemu wprawdzie ułatwił tylko drogę do gilotyny, lecz jego synowi natomiast miał uprzątnąć drogę do tronu. Ludwik Filip Starszy, ojciec cnotliwego króla mieszczańskiego, godnym był w zepsuciu potomkiem Regenta; jednak bratanek Ludwika XIV-go miał sobie wrodzoną pewną bystrość i stanowczość, samowiedzę majestatu, rozkazujące instynkta monarsze, które, aczkolwiek stłumione, pogrążone w rozpuście, umiał niekiedy przywoływać w chwilach krytycznych: — jego prawnuk ulepiony jest z podlejszej gliny, zupełnie już zwyrodniały, niezdecydowany i ograniczony, wyzuty ze wszelkiego zmysłu moralnego, a nawet z ambicyi; obojętny na wszystko oprócz pieniędzy, — gdyż taki jest skąpy, jak był rozrzutnym Regent, i ten rys skąpstwa zostawi w spadku potomkom, a więc i prawnukowi, obecnemu królowi *in partibus*, hr. Paryża,—zresztą rozpustnik przeciętny, łatwo dający sobą powodować w sprawach prywatnych i publicznych, posłuszny kochanek pani Genlis, głośnej autorki moralnych romansów, którą, jak gdyby smakując w podwójném zgorszeniu, wprowadza do swego domu i czyni wychowawczynią dzieci swoich, wychowawczynią przyszłego króla Francyi, posłuszny przyjaciel Laclosa, osławionego autora „Stosunków niebezpiecznych", posłuszny sługa Żyrondy, posłuszna w końcu ofiara jakóbinów. Długo, z wyraźném upodobaniem zatrzymuje się Talleyrand nad postacią dziwaczną księcia, całą księgę „Pamiętników" jemu poświęca, nielitościwie odsłania wszystkie haniebne kryjówki nędznéj duszy swojego niegdy protektora; i zarówno pouczającą pod względem psychologicznym, dziejowym i bodaj politycznym staje się ta mistrzowska charakterystyka nikczemnego protoplasty jedynych dzisiaj „z prawa" pretendentów do korony św. Ludwika.—W przeddzień rewolucyi, Ludwik Filip Ojciec, pokłócony z dworem, a szczególnie z królową, która go cierpieć nie mogła, nielubiany zresztą od paryżan, wyśmiewany w piosenkach ulicznych, karykaturach, pamfletach ulotnych, naraz, idąc za podszeptem otoczenia, poczyna wszelkiemi sposoby dobijać się popularności, z libertyna usiłuje przedzierzgnąć się na liberała, sam się pasuje na opiekuna swobód narodowych, w któ-

rych obronie na wielkiéj „sesyi królewskiej“ parlamentu, w obliczu monarchy u stóp tronu, uroczyście zakłada protest buntowniczy (listop. 1787). W nowej rezydencyi orleańskiej, a zarazem ognisku stołecznego zepsucia, wspaniałym Palais-Royal'u, zbierają się malkontenci wszystkich obozów, a nawet wszystkich krajów. Sporo tutaj ukazuje się postaci polskich, tęższe głowy stronnictwa „naprawy“ obok ciurów obozowych stronnictwa „familii“. Księżna marszałkowa Lubomirska, skompromitowana w Warszawie niefortunną sprawą Dogrumowej, na stałe osiadłszy w Paryżu, w wielkiej żyje zażyłości z domem orleańskim; mimo różnice kardynalne sytuacyi wewnętrznej, wprost odwrotnej poniekąd, istniały zawsze pewne punkta styczne między akcyą polityczną, skierowaną przeciw osobie Stanisława Augusta [1]), a knowaniami, godzącemi w osobę Ludwika XVI. W tych knowaniach Talleyrand wszędzie jest obecny, jakkolwiek ostrożnie za innych się chowa i nie występuje jeszcze z zakulisowego półcienia; był on dla opozycyi sprzymierzeńcem nader szacownym, jako pierwszy pozyskany przeciw dworowi dostojnik kościelny, zwłaszcza odkąd udało mu się nareszcie otrzymać pastorał biskupi dyecezyi Autuńskiej. W jego mieszkaniu ustawiczne odbywają się narady, zbierają się bywalcy z Palais-Royal'u, a zarazem części goście pani Lubomirskiej, niejedną też tutaj spotykamy twarz znajomą: przychodzi Narbonne, późniejszy minister, a wtedy jeszcze mentor Węgierskiego za kulisami opery, Dupont de Nemours, powracający z guwernerki w Puławach, Delille, korespondent ks. Izabeli, Rulhière, który przed dwudziestu laty rozpoczął dla nauki delfina swoje wielkie dzieło historyczne, aby pisać je bez pośpiechu, jak się nekrolog żyjącej jeszcze a stojącej nad grobem, ciężko schorzałej osoby pisze, wyczekując bliskiego zgonu,—sentymentalny Biron, gorzki Chamfort, tyle innych okazów niezwyczajnych lub niepospolitych, Mirabeau wreszcie, pompatyczny, natarczywy, obwieszony drogim kruszcem i kamieniami, a zawsze bez grosza, w stroju i ruchach śmieszny podwójnie za stołem takiego jak Talleyrand amfitryona, obok takich współbiesiadników wytwornych, gdzie on jeden jest pozbawiony poczucia „dobrego smaku“, a gdzie jednak jest pierwszy.

---

[1]) Stosunki Stanisława Augusta z Orleanami, których znał osobiście, były bardzo chłodne, pomimo utrzymywanej dość długo korespondencyi treści etykietalnej. Kiedy razu jednego zwrócił się doń ks. Orleański z prośbą o Orła Białego dla jakiejś swojej kreatury, francuza, — król, jak wiadomo, do zbytku hojny w takich wypadkach, tym razem wręcz odmówił. Król do ks. Orl., 15 stycz. 1780 („Corr. avec les souv.“ w rkp. Arch. Czart.).

Talleyrand i Mirabeau [1]), równi prawie wiekiem, szukający dopiéro dla siebie drogi, a względnie już niemłodzi śród dorastającéj, przedwcześnie dojrzałéj generacyi rewolucyjnéj, obadwaj noszący piękne nazwisko historyczne, obadwaj wydziedziczeni, jeden przez obojętnego, drugi przez surowego rodzica, — na wstępie do wskroś odmiennéj karyery dziejowéj przedstawiają dosyć uderzających rysów podobieństwa. Z czego zaś byli najpodobniejsi, to z ambicyi niezwykłéj, pospolitéj interesowności, zupełnego braku skrupułów. Dawniéj już spotykali się nieraz w towarzystwie, mieli wspólnych przyjaciół, Lauzun'a, Chamfort'a, Narbonne'a. Bliżéj się zeszli dopiéro pod egidą Calonne'a, w domu jego kreatury, opatrznościowego mentora zbankrutowanéj arystokracyi, bankiera Panchaud'a, który swoich utytułowanych znajomych wtajemniczał w sekreta gry giełdowéj, ku własnemu i pojętnych uczniów ukontentowaniu i pożytkowi. Odbywały się naówczas w Paryżu bachanalie giełdowe, nieustępujące dzisiejszym; Talleyrand, wiecznie w gwałtownéj potrzebie pieniężnéj, w najpodejrzańszych operacyach maczał ręce. — Raz zasmakowawszy w sposobie zarobkowania łatwym i popłatnym, połączonym nadto z przyjemnemi wzruszeniami, jakie daje hazard, stale odtąd spekulacyi poświęca wczasy ministra i ambasadora; na każdém wstrząśnieniu wewnętrznem, każdém wypowiedzeniu wojny lub traktacie pokojowym za dyrektoryatu i Napoleona, praktyczny dyplomata, stojący u źródła informacyi, ciągnie namacalne korzyści finansowe; jeszcze ośmdziesięcioletni starzec, posłując w Londynie 1831 r., ilekroć jeździ do Palmerstona lub Grey'a po najświeższe wiadomości z Warszawy lub Brukseli, zabiéra z sobą w karecie poufnego do spraw giełdowych sekretarza, aby mu zaraz na miejscu stosowne dawać dyspozycye. — 1783 r. Talleyrand przystąpił do zarządu wielkiéj *Caisse d'Escompte*, instytucyi czysto spekulacyjnéj, wtedy już z gruntu zachwianéj, sztucznie podtrzymywanéj przez Calonne'a i Panchaud'a; oddał na ich usługi swoją przekonywającą wymowę kazalniczą, powagę dostojeństwa i nazwiska, aby uspokoić zbuntowanych akcyonaryuszów i wyłudzić zgodę na emisyę nowych obligów [2]). W tym samym czasie Mirabeau, odepchnięty od swoich, przyciśnięty przez przeszłość szaloną, bez jutra, bez żadnych środków

---

[1]) O ich stosunku por. „Mém. de Mir.“ (*ed. Montigny*), „Corresp.“ Lamarck'a, oraz Stern'a „Leben Mirabeau's“ (1889) i Loménie „Les Mirabeau,“ III (1889), IV, V (1891).

[2]) Sprzedawano wtedy w Paryżu modne kapelusze damskie „*à la Caisse d'Escompte — parce qu'ils n'avaient pas de fonds.*“

do życia, łaknący grosza więcéj jeszcze, niż sławy, włóczył się po Paryżu, *quaerens quem devoret*; natrafił on na tę samą żyłę złotodajną spekulacyi giełdowych, lecz nie tak szczęśliwy, zanadto zdyskredytowany, zmuszony jest eksploatować ją inaczéj, wykonywać w pocie czoła brudną robotę wyrobniczą w ciemnych szybach podziemnych, mniejszym zadawalać się zyskiem: za tanie tedy pieniądze pisuje coraz inne pamflety interesowne dla coraz innych finansistów podejrzanego gatunku. Zdarzyło mu się po drodze zaczepić o „Kasę dyskontową;“ Calonne z razu się obruszył, po namyśle wziął na swój żołd pamfleciste. — W takim zaułku zeszły się drogi Talleyrand'a i Mirabeau. Odrazu ocenili się nawzajem i ścisłą zawarli przyjaźń. Przyszły trybun musiał jeszcze wznosić oczy ku przyszłemu ministrowi jako ku chlebodawcy i mecenasowi. W samém bowiem ministeryum wkrótce zaczęto okazywać silne zniecierpliwienie z powodu ponawiających się wybryków niespodzianych kondotyera giełdowego, który przysparzał rządowi większych jeszcze kłopotów, odkąd był od rządu kupiony. W istocie, Mirabeau pozwalał, aby go kupowano, lecz jeszcze przez to ani myślał się sprzedawać. Talleyrand nareszcie poradził pozbyć się tego niesfornego ducha, wyprawiając go do Berlina z tajną misyą polityczną. Spodziewał się przy téj sposobności zużytkować na swoją korzyść talenta niepospolite, jakie pierwszy był odgadł w awanturniku. Vergennes, minister spraw zagranicznych, aczkolwiek niechętnie, ustąpić musiał połączonym naleganiom Talleyrand'a i Calonne'a i latem 1786 r. polecić osobliwego dyplomatę u dworu umiérającego Fryderyka.

Słynna,—lepiéj osławiona,—korespondencya berlińska Mirabeau (lipiec 1786 — styczeń 1787) zaznacza pierwszy występ Talleyrand'a w dziedzinie polityki europejskiéj, a nawet poniekąd może być uważana za pierwszą jego robotę dyplomatyczną. Szczegół ten, mało znany, jest ze wszech miar charakterystyczny. Kształcony na wzorach formalistyki Kaunitz'owskiéj, dyskretny, wytrawny, pełen godności mistrz dyplomacyi klasycznéj, sprzęgnięty razem z dyplomatą awanturnikiem i barbarzyńcą, związany z wydawnictwem, spaloném ręką kata, budzącém podziśdzień samém wspomnieniem zgrozę w kancelaryach ministeryalnych, — oto zaiste szczególne i niespodziane widowisko. Widowisko pouczające, gdyż odsłania rąbek tradycyi hipokryckiéj, przekonywa dowodnie, że „ostateczności się schodzą“ zarówno w polityce, jak w dyplomacyi, że jak w jednéj prawo i honor w przykładnéj żyją zgodzie z „racyą stanu,“ tak w drugiéj pretensyonalna drażliwość i dystynkcya najwyższa bezpośrednio sąsiadują z plotką i skandalem. — Opat de Périgord był nietylko inicyato-

rem korespondencyi berlińskiéj, lecz sam do niéj rękę podwójnie przyłożył. Cyfrowane depesze Mirabeau szły do wydziału Calonne'a i oddawane były najpiérw Talleyrand'owi, który je odczytywał i spisywał własnoręcznie; od niego przez ministra doręczane były królowi, aż nazbyt ciekawemu tych pieprznych rewelacyi; stąd dopiéro przychodziły do wydziału spr. zagr. Vergennes zresztą prawie ich nie czytywał, wogóle krzywo się patrzył na tę całą narzuconą mu polityką zakulisową *à la* Ludwik XV; gdy zaś hr. Esterno, urzędowo umocowany u dworu berlińskiego, jął w swych depeszach gorzkie wywodzić żale z powodu niezwyczajnych wybryków Mirabeau, gdy ks. Henryk pruski, podczas swego pobytu w Paryżu (sierp. 1786), z tego samego powodu osobiście wyraził swoje niezadowolenie, Vergennes całkiem zaprzestał przyjmowania do swego wydziału kompromitujące doniesienia nowego agenta. Tym sposobem Talleyrand pozostał wyłącznym reżyserem korespondencyi; sam redagował odpowiedzi i instrukcye dla Mirabeau, a nadto, co najciekawsza, nie zadawalał się wytłómaczeniem dosłownem jego depesz cyfrowanych, lecz podług własnego widzimisię przerabiał je i uzupełniał, zanim składane były królowi. Przebija już w tych pierwszych próbach korektorskich spryt i rozwaga męża stanu, a nawet zarysowują się niektóre jego późniejsze poglądy w kwestyach ogólno-europejskich: np. względność dla systemu austryackiego, wstrzemięźliwość w sprawach polskich; zbytnią porywczość i otwartość Mirabeau łagodzi korektor bądź przez znaczne opuszczenia, bądź samowolne modyfikacye. Po za tém prowadził z Mirabeau, przesiadującym w Berlinie, obfitą i serdeczną korespondencyę prywatną, gdzie go upewniał o swojém „przywiązaniu dozgonném," powiadamiał o stanie wspólnych sukcesów giełdowych paryskich, wywnętrzał się z własnych ambitnych nadziei i planów: „obecnie (jesień 1786) jest mowa dla mnie o arcybiskupstwie w Bourges, piękna to posada, arcybiskup tknięty apoplekcyą, zdaje się nie pociągnie dłużéj, jak dwa lub trzy tygodnie" [1]). Ze swéj strony Mirabeau kadzi mu i wysługuje się, jak może; nie nazywa go w listach z Berlina inaczéj, jak „mój drogi mistrzu," w osobnéj depeszy do Calonne'a wtrąca uwagę, że „opat de

---

[1]) Niewydane listy T-a do Mirabeau podane u „Loménie" V, *pièces justif.*, tamże zestawione dosłownie teksty oryginalne depesz Mir. i kopie T-a. Ciekawe są modyfikacye w depeszy Mir. z 14 lipca 1786, zdającéj sprawę z rozmowy z ks. Brunświckim, gdzie opuszczony przez T-a cały ustęp o „*système oriental*, *Russie*, *Pologne*, *Courlande*"

Périgord, przy rzeczywistych a wytrawnych zdolnościach, okazuje głęboką rozwagę i dyskrecyę wypróbowaną“ [1]).

Krótko trwała ta serdeczność. W początkach 1787 r. wraca Mirabeau do Paryża, głodniejszy i natarczywszy, niż kiedykolwiek; odprawiony obcesowo przez zniecierpliwionego Calonne'a, pisze przeciw niemu słynną „Denuncyacyę gry giełdowéj,“ — lecz uprzednio przynosi do Talleyrand'a rękopis, oświadczając się z gotowością sprzedania go za dobrą cenę Calonne'owi. Bądź to, że Talleyrand źle pośredniczył, bądź, że drożył się minister, — nie dobito targu. Mirabeau rozwścieczony, odpłacił się Calonne'owi, ogłaszając swój pamflet piorunujący, który odrazu uczynił popularném imię autora. Do Talleyrand'a jeszcze większą czuł urazę [2]) i na nim dotkliwiéj się pomścił: miał w ręku broń skuteczną — kopie swoich własnych listów berlińskich. Kiedy wysforował go Talleyrand na dyplomatę i wyprawił dla rozejrzenia się w przedśmiertnéj gospodarce wielkiego Fryderyka, dla oszacowania jego spuścizny, niewątpliwie trafny powziął wybór; przenikliwszéj pary oczu, niż tkwiły w potężnéj głowie wysłańca, nie było we Francyi, — lecz nie było téż wyuzdańszego języka. Dowiodła tego wydana w początku 1789 r. „Historya sekretna dworu berlińskiego,“ wywołała skandal niesłychany; zaś pod inicyałem „T.,“ jakim oznaczył wydawca nazwisko adresata ogłoszonych listów, cały świat domyślił się łacno biskupa z Autun. Talleyrand, srodze skompromitowany, zerwał odtąd wszelkie stosunki z Mirabeau i dopiéro w przeddzień jego zgonu przyszedł podać mu rękę do zgody.

Atoli już wcześniéj obu „przyjaciół,“ pokłóconych, obcych sobie teraz, razem sprowadziły do jednéj sali, do wspólnéj roboty, wyjątkowe okoliczności dziejowe. Zwołane zostały stany generalne. Biskup z Autun, obrany od swojéj dyecezyi, pojawił się w szeregach deputacyi duchowieństwa. Niepewnie stawiał pierwsze kroki, namyślał się, wahał. Z jednéj strony widział ks. Orleańskiego, jak nie oglądając się po za siebie, brnął coraz daléj w otwartéj już akcyi prze-

---

[1]) „Corr. dipl. de T., Le ministère de T. sous le Directoire“ (éd. Pallain, 1891), 357.

[2]) „Ma position, assombrie par l'infâme conduite de l'abbé de Périgord, est devenne intolérable (po ogłoszeniu „Denuncyacyi“ wydano nań natychmiast lettre de cachet).. et il me faut encore user de ménagements avec cet être vil, bas, avide, intrigant. C'est de la boue et de l'argent qu'il lui faut. Pour de l'argent il a vendu son honneur et son ami, pour de l'argent il vendrait son âme et aurait raison, car il troquerait son fumier contre de l'or,“ Mirabeau do Antraigues a, 28 kwiet. 1787, u Loménie IV, 15.

wrotowéj; z drugiéj, czuł się przecie zawsze związany pewną solidarnością z Francyą dawną, do któréj należał z urodzenia i ornatu; zresztą, sceptyk i epikurejczyk, jakkolwiek rozumny, nie potrafił na pierwsze wejrzenie ocenić całéj potęgi żywiołowéj ludowego zapału i nienawiści. Tém się tłómaczy, że w piérwszych miesiącach zachowywał się wyczekująco, a nawet w sprawie kardynalnego znaczenia, na któréj cała przyszłość polegała, nie ośmielał się pójść za opinią publiczną, lecz prawie do ostatka, wspólnie z uprzywilejowanymi, był za utrzymaniem tradycyjnego porządku osobnych obrad trzech stanów sejmujących. Jeszcze w drugiéj połowie czerwca 1789 r. [1]), kiedy deputacya stanu trzeciego coraz liczniejszy otrzymywała sukurs od dezertujących z przeciwnego obozu proboszczów i mniejszéj szlachty, przyswoiła sobie nazwę „zgromadzenia narodowego,“ obróciła się do połowy przeciw trwożliwemu Necker'owi, swoje uchwały i intencye przypieczętowała uroczystą przysięgą, — Talleyrand, wzywany do Marly przez hr. Artois, radzi rozwiązać przedewszystkiém stany, następnie zaś albo rozpisać nowe wybory na takich zasadach, aby przewaga dwóch stanów uprzywilejowanych była z góry zapewniona, albo też niezwłocznie zaprowadzić w miejsce trzech stanów system dwuizbowy, na sposób angielski, z silniejszą tylko izbą parów, oraz wysokim cenzusem wyborczym dla nielicznéj izby gmin. — Po upływie ćwierci wieku, gdy z kolei trzeba rozgrzeszenia prosić i szukać łaski u powracających Burbonów, nie omieszka oczerniony, wierny sługa królewski przypomnieć o tych swoich radach lojalnych, powołać się na projekty zbawienne, ofiarowane bezinteresownie w chwili krytycznéj a pogardzone niestety, choć były jedyną deską ratunku; niemniéj też sam sobie z tego tytułu nie szczędzi pochwał w własnéj apologii pamiętnikarskiéj. Nie ma potrzeby tłómaczyć, że dyktowane przez Talleyrand'a recepty na nic się nie zdały. Sprowadzały się one ostatecznie do nowego zamachu stanu; rozwiązanie zgromadzenia narodowego w przeddzień szturmu Bastylii wymagałoby energii nadzwyczajnéj, użycia siły zbrojnéj, obfitego krwi rozlewu — nie zdobywał się na to król, nie odważali ministrowie, nie starczyłyby zresztą regimenty szwajcarskie. Talleyrand, który mógł chwiać się i mylić, lecz nigdy długo nie trwał w wahaniu i błędzie, zoryentował się szybko. „Po kilku nieużytecznych schadzkach nocnych w Marly niezbicie się przekonałem, że

[2]) Bacourt w obszernym przypisku do „*Mém.*“ odnosi te narady do połowy lipca; jestto oczywiste przeoczenie. T. wówczas oddawna już był przeszedł do stronnictwa rewolucyjnego, zresztą dworu nie było już wtedy w Marly.

nic pomódz nie mogę, że zatém w tak ciężkiéj potrzebie pod karą szaleństwa należało pomyśléć o sobie.“

Odtąd stanowczą powziął decyzyę; wié, po czyjéj stronie jest przewaga, i śpieszy corychléj do zwycięskich zaciągnąć się szeregów. „Jedno tylko nasuwało się wyjście rozsądne — ustąpić, zanim się do tego było zmuszonym i póki jeszcze ustępstwo stanowić mogło zasługę,.. jedyna to była szansa dla odzyskania utraconego terenu.“ Co prawda było insze jeszczce wyjście — emigracya, lecz nie uśmiechało się ono bynajmniéj ambitnemu biskupowi, nie posiadającemu żadnego majątku osobistego, z którego mógłby się utrzymywać na obczyźnie. „Hr. Artois — pisze w swéj lojalnéj spowiedzi autobiograficznéj, gdzie o tym punkcie drażliwym nie wolno mu było przemilczéć, — pierwszy dał hasło do emigracyi. Jego wyjazd sprawił mi boleść niewymowną. Kochałem go. Potrzeba mi było całéj siły rozumu, aby nie pobiedz w jego ślady. Lecz nie należy wnioskować z mojéj decyzyi, ażebym miał potępiać emigrantów: nie potępiałem ich bynajmniéj, potępiałem emigracyę.“ Rozróżnienie subtelne, zapewne; aby w nie wniknąć należycie, pamiętajmy, że je wynalazł pamiętnikarz, spisujący własną apologię w całkiem odmiennym okresie, kiedy hr. Artois zasiadał na tronie a dawni emigranci rozpierali się na fotelach ministeryalnych. W drugiéj połowie gorącego lipca 1789 r. komuż nawet w głowie mogła postać myśl o ewentualnościach podobnych? Oczywiście, by nie pozostać w tyle w wyścigu rewolucyjnym, by nie być stratowanym przez spółzawodników, nakazywała wtedy roztropność pośpieszyć się z „odzyskaniem terenu;“ nie było zaś wytrawniejszego zapaśnika w takich zawodach, niż Talleyrand, gdy raz się zdecydował stanąć w szrankach. Należy on do pierwszych prałatów, którzy, nie czekając wymuszonego rozkazu królewskiego, z własnéj inicyatywy łączą się ze stanem trzecim. W pełném zgromadzeniu niebawem zwraca na siebie uwagę powszechną [1]). Już w lipcu wnosi unieważnienie obowiązkowych instrukcyi poselskich, z zachowaniem jedynie doradczych,—krok wagi pierwszorzędnéj, który wszechwładnéj konstytuancie dał dopiéro możność swobodnego objawienia swojéj wszechwładzy. Nagrodziło projektodawcę zgromadzenie, obiérając go niezwłocznie do komisyi ustawo-

---

[1]) Przenikliwy Laclos, który go znał dobrze, tak go w owéj chwili maluje w swojéj „Galérie des états généraux“ (1789) pod imieniem „Amène'a:“ „Amène... arrivera à tout, parce qu'il saisira les occasions qui s'offrent en foule à celui, qui ne violente pas la fortune... il cède aux circonstances, à la raison et croit pouvoir offrir quelques sacrifices à la paix;“ podane u Lytton'a, lecz wypadałoby dodać, że wiele z tych wizerunków, przypisywanych Laclos'owi, kreślonych było ręką Mirabeau.

dawczéj, razem z osobistościami takiéj powagi i wpływu, jak Sieyès i Mounier. Wiadomo, jakie znaczenie wyjątkowe posiadała komisya ustawodawcza w owéj chwili, gdy rozpoczynano u podstaw nową zupełnie budowę polityczną; Talleyrand, zaliczony do właściwych ojców przyszłéj konstytucyi, odrazu stanął na świeczniku. Trzeźwy zresztą śród powszechnego zapału, podczas dyskusyi ogólnikowych nad „prawami człowieka“ nie zapomina o materyi najżywotniejszéj, pierwszym początku całego przewrotu, ciężkich zagadnieniach budżetowych, które przedewszystkiém wypadało rozwiązać, chcąc rozpoczęte dzieło do pomyślnego doprowadzić końca. W sierpniu i wrześniu, wobec nieusuniętéj bynajmniéj groźby bankructwa narodowego, żywy bierze udział w rozprawach nad kredytem nadzwyczajnym, oraz przyczynia się do uchwalenia podatku dochodowego w wysokości niesłychanéj 25 od sta. Wszelako kredyt jednorazowy nie mógł pokryć niedoboru, datującego się od wieków szalonéj gospodarki, zaś podatek „patryotyczny“ nie o wiele okazał się skuteczniejszy od uchwalonego prawie współcześnie przez sejm warszawski. W takim stanie rzeczy jeden był sposób na rozcięcie finansowego węzła — konfiskata ogromnych dóbr kościelnych na rzecz skarbu. Téj okazyi wyjątkowéj zabłyśnięcia patryotyzmem i odwagą nie dał sobie wziąć sprytny biskup z Autun; marnotrawny syn Kościoła stawia z trybuny wniosek „ojcobójczy“ o zaborze dóbr duchownych (10 paźdz.), uchwalony po długich i namiętnych rozprawach (2 listop.). Odtąd wnioskodawca jest napiętnowany niepowrotnie przez przeciwników imieniem zdrajcy i apostaty, jest w obawie o swoje życie, codzień od anonimów klerykalnych odbiéra z groźbami listy, nie może sypiać u siebie w domu, na wszelki wypadek spisuje testament [1]). Mimo to śmiało kroczy naprzód; przedstawia zgromadzeniu spis dokładny dóbr kościelnych

---

[1]) Te szczegóły amerykanin Morris „Diary and letters“ I (ed. 1888) słyszał spółcześnie od pani Flahault, którą T. czynił spadkobierczynią uniwersalną, — chyba długów swoich? — Por. zresztą tekst namiętnych w tym przedmiocie rozpraw w Zgromadzeniu. — Że T-i, pomimo *breve* sekularyzacyjnego i osobistéj łaskawości Piusa VII. nie wybaczono téj winy po dziś dzień, niechaj świadczą następujące słowa, jakich teraz jeszcze używa Mgr. Ricard, arcybiskup pogodzony z trzecią Rzpltą., piętnując nienawistnego odstępcę: „C'était le 10 octobre 1789. Un evêque occupait la tribune. Dans la salle régnait un silence profond de stupeur.. quelque chose d'analogue à ce qui dut se passer dans le jardin de Gethsémané, lorsque Judas ouvrit la bouche pour parfaire l'oeuvre de la trahison. En effet, celui qui parlait en ce moment, tout comme Judas, vient demander aux conjurés de s'emparer des biens ecclésiastiques, de ruiner le clergé de France.. Cette rare figure de traître.. c'était l'évêque d'Autun et il s'appelait Talleyrand“ i t. d. „Corr. dipl. et mém. inéd. du card. Maury, (publ. par Mgr. Ricard (1891) I, introd. 43, 44.

(7 listop.), którego nikt nie byłby w stanie lepiéj sporządzić od byłego „agenta,“ opracowuje projekt szczegółowy uruchomienia tych dóbr (czerw. 1790). Obsypywany jest honorami od zgromadzenia patryotyczny prałat; w lutym 1790 r. obrany prezydującym w konstytuancie, 14 lipca w dniu rocznicy wzięcia Bastylii, podczas wspaniałéj uroczystości federacyjnéj na Polu Marsowém, wobec półmilionowego tłumu, na czele 200 duchowieństwa, odprawia mszę solenną i błogosławi nowe sztandary departamentalne. „Wszystkie chorągwie tak wojsk królewskich, jako i gwardyi — pisze obecna na Polu Marsowém pani Tarnowska, — przyniesiono przed ołtarz, które biskup (Talleyrand), siedząc na obszerném krześle, ale cały zmokły— od rana padał deszcz rzęsisty, — poświęcał. Po téj benedykcyi tenże biskup przy asystencyi licznego duchowieństwa mszę św. odprawił, potem intonował Tedeum“ [1]). Wielkiemu narodowi w tak wielkiéj chwili udziela swego błogosławieństwa spekulant, trefniś, niedowiarek, który, sam najlepiéj świadom całéj ironii, zawartéj w takim akcie dziejowym, jeszcze w téj saméj chwili, u ołtarza, z namaszczeniem wznosząc dłonie, z powagą na obliczu, zabawia półgłosem stojących w pobliżu przyjaciół nieprzystojnemi żarty z powodu odgrywanéj przez siebie farsy.

Szczególny jest w tym czasie stosunek Talleyrand'a względem Mirabeau, z którym nawet w sali obrad konstytuanty wszelkiego zetknięcia unika, używając w razie potrzeby pośrednictwa osób trzecich, w milczeniu a nie bez zawiści słuchając potężniejącego coraz głosu trybuna. Mirabeau, również łatwy do gniéwu, jak do zgody, radby był o wzajemnych urazach zapomniéć; zaczynał wtedy sprzedawać się dworowi i w swych kombinacyach gabinetowych, dążąc do usunięcia Necker'a, dla siebie żądając jedynie ministeryum bez teki, gorąco się wstawia za powierzeniem wydziału finansów „biskupowi z Autun, który zdobył sobie to miejsce przez projekt swój o duchowieństwie.“ Talleyrand natomiast, związany już z panią Staël, usiłuje go z łaski dworu wysadzić i trzyma z Necker'em [2]). Pojawia się dopiéro u śmiertelnego łoża trybuna, przychodzi, jak gdyby sukcesor, zgłaszający się po szacowną puściznę popularności i wpływu; z rąk umierającego odbiéra rękopis ostatniéj jego mowy o „spadkobraniu w linii prostéj,“ którą nazajutrz wieczorem (2 kwiet. 1791), w dzień śmierci wielkiego mówcy, sam, z efektowném w głosie wzruszeniem, odczytuje z trybuny

---

[1]) „Pamięt. damy polsk.“ (Z arch. wróbl.. 1876).

[2]) Por. rozmowy z T-m u Morris'a „Diary,“ paźdz., listop. 1789, oraz noty Mirabeau do Lafayette'a w „Corr.“ Lamarck'a, I, 385 nast.

w zgromadzeniu, jako „jemu powierzony przez zmarłego depozyt.“ Mowa pełna myśli głębokich i śmiałych, domagająca się zakazu majoratów i substytucyi, rezerwy obowiązkowéj dziewięciu dziesiątych schedy, w niektórych wypadkach absolutnego zniesienia prawa testowania, mowa pośmiertna hrabiego Mirabeau, wyzutego przez ojca z dziedzictwa, wygłoszona przez księcia Talleyrand'a, który tym samym uległ rygorom, zrodzonym ze zbutwiałych pojęć prawnych, — takie skojarzenie, przygodne a jednak znaczące, zatrzymuje uwagę i daje do myślenia nad dziwną logiką wewnętrzną przypadku. — W tym samym prawie czasie uczynnemu biskupowi z Autun wypadło najważniejszą może przysługę wyświadczyć sprawie rewolucyjnéj, poczém śmiało już mógł rzucić ostatecznie infułę, aby ją zastąpić przez czerwoną czapkę frygijską. Jak wiadomo, po długich wahaniach widział się król zmuszonym z końcem 1790 r. zatwierdzić nareszcie wstrętny sobie dekret o urządzeniu cywilném duchowieństwa, zapadły jeszcze w lipcu i tak długo przez *veto* monarsze zawieszony; już w pierwszych dniach stycznia roku następnego na posiedzeniu zgromadzenia narodowego, żądane jest od posłów stanu duchownego złożenie nowéj przysięgi. Oporem się stawia cała prawie deputacya duchowieństwa, zaś na czele nielicznéj garstki posłusznych znajdzie się oczywiście Talleyrand. Jednak tutaj dopiéro otwiérały się komplikacye: po usunięciu wszystkich niemal w kraju proboszczów i biskupów katolickich, którzy jak jeden mąż odmówili przeciwnéj ich ślubom przysięgi, gdy na ich miejsce z mocy nowego prawa wyznaczyć należało innych, obiéralnych przez gminy, nieodzownie przecie nasuwała się konieczność udzielania nowokreowanemu duchowieństwu pierwszych święceń kapłańskich: owóż, pod groźbą niechybnéj z Rzymu ekskomuniki, nikt, nawet śród dezerterów sprawy Kościoła, dopełnić tych wyświęceń się nie ważył. Jedyny Talleyrand zdobywa się na odwagę, umié pozyskać do kolegium dwóch jeszcze biskupów i z nimi gremialnie wyświęca pierwszych pasterzy konstytucyjnych. Gdyby tego nie był uczynił, — tak tłómaczy się w „Pamiętnikach,“ — „poważne groziło niebezpieczeństwo, aby nie rzucono kraju w objęcia prezbyteryanizmu... i aby dla Francyi nie został zamknięty nazawsze powrót na łono kościoła katolickiego, którego hierarchia i obrzędy w dokładnéj są harmonii z ustrojem monarchicznym.“ Oto rewelacya zaprawdę nieoczekiwana; nigdy sami nie wpadlibyśmy na sekret tak prosty, gdyby go nie był zechciał odsłonić nam pamiętnikarz. W chwili, gdy najwyraźniéj, zdawało się, ulegał naciskowi rewolucyjnemu, gdy ściągał na siebie klątwę Piusa VI, potępienie pobożnego króla, który nawet na szafocie nie chciał ścierpieć obok siebie zaprzysiężonego księdza, — Talleyrand we wła-

snem oświetleniu najniespodzianiéj ukazuje się oczom potomności jako zapoznany obrońca tronu i ołtarza. — Na wiele więcéj już nie mogła mu się przydać wdziana pod przymusem suknia duchowna; „podałem się do dymisyi z biskupstwa, śpieszno mi było opuścić pierwsze moje powołanie, byłem odtąd na rozkazy nadchodzących wypadków... rewolucya nowe drogi otwiérała dla narodu, poszedłem za nią, aby dzielić jéj niebezpieczeństwa i losy“ [1]).

III.

Ukończone zostało nareszcie wielkie dzieło ustawodawcze, konstytuanta rozwiązana. Jak wiadomo, przed rozejściem się osobną uchwałą wzbroniła reelekcyi swych członków do następnego zgromadzenia prawodawczego. Dla Talleyrand'a był to cios dotkliwy. Inni posłowie konstytuanty, również jak on ambitni, lecz idący prostszą drogą, dogmatycy, jak Sieyès, demagogowie, jak Robespierre, wygodnie mogli przeczekać do konwencyi; ex-biskup, w sytuacyi nawskroś dwuznacznej, nienawistny licznym jeszcze monarchistom, podejrzany republikanom, podnoszącym już głowy, czuje się unicestwionym od chwili, gdy mandat utracił. Zresztą po zajściach burzliwych, wywołanych przez nieudaną ucieczkę królewską, w rozpalonej atmosferze paryskiej poczynało mu być duszno. Z kłopotliwego położenia znalazł dla siebie, niedługo szukając, wyjście dogodne, bezpieczne, a najstosowniejsze dla jego usposobienia i talentu. Otwierały się komplikacye zagraniczne, w powietrzu wisiała wojna z cesarstwem niemieckiém. Zależało na pozyskaniu Prus i Anglii; do Berlina wyprawiono Ségur'a, misyę londyńską wyprosił dla siebie Talleyrand. „Pragnąłem na jakiś czas się oddalić, byłem wyczerpany, zniechęcony, i jakkolwiek dobrze byłem świadom, że misya moja nie mogła liczyć na powodzenie, jednak jéj się podjąłem“.

Myśl o aliansie angielskim była nowa wtedy we Francyi i szczególną miała genezę. Zrodziła się równocześnie w głowach „oświeconej“ arystokracyi francuskiej, ubierającej się u krawców londyń-

---

[1]) *Breve* ekskomunikacyjne wydane 1 maja 1791.—Z działalności T-a w Zgrom. Ustawod. należy wymienić nadto: sprawozdanie o „Kasie dyskontowej“ (grudz. 1789)—wystarał się, że jego, głównego w „Kasie“ działacza obrano, na rewidenta jéj interesów;—wniosek o równouprawnieniu żydów (stycz. 1790); adres do narodu (luty); wniosek o ujednostajeniu miar i wag (marz. 1791); sprawozdanie w przedmiocie wychowania publicznego (wrześ.), cenne i wyczerpujące, które układał przy udziale Lavoisier'a, Monge'a, Laplace'a.

skich, wyprawiającej swoje wierzchowce do Haymarket'u na wyścigi, oraz w umysłach „filozofów“, którzy najpierwsi jęli szukać po drugiej stronie kanału nauki niezależnej, tolerancyi, wolnych urządzeń politycznych. Za przykładem Woltera i Monteskiusza, turyści francuscy tłumnie podążają do Londynu, skąd importują do Paryża demokratyczne fraki i kluby angielskie. Oprócz tego, śród nielicznych, a tém twardszych reformatów francuskich, przeważnie kalwinów, jako też pokrewnych im duchem straconych posterunków jansenizmu, którzy tak wybitną rolę mieli odgrywać w pierwszym okresie rewolucyi, żywe były uczucia przyjazne dla kraju purytanizmu i wolności. A jednak z tém wszystkiém, owoczesne sympatye angielskie we Francyi prześlizgiwały się po powierzchni potrzeb i uczuć narodowych, nie sięgały głębin, gdzie trwały z niesłabnącą mocą wprost przeciwne prądy spółzawodnictwa politycznego i dziejowéj nienawiści. XVIII stulecie odnowiło szorstko rany zaledwie zakrzepłe, od pierwszego już roku przyniosło wojnę z wyspiarskim sąsiadem, przyniosło później strat i upokorzeń bez liku, a wreszcie względny tylko odwet pod postacią traktatu wersalskiego (1783), który dla ogromnej większości Francuzów był niczém inném, jeno zawieszeniem broni w odwiecznej walce. Nawet śród „filozofów“ anglomani wkrótce są wyprzedzeni i wyparci przez anglofobów z zasady; Monteskiusza, zawsze niedostępnego dla ogółu, zasłania sobą Rousseau, istotny mistrz i prorok nowych dążeń przewrotowych, a najzaciętszy przeciwnik społeczności i urządzeń angielskich; zaś niezupełnie błądził namiętny oskarżyciel „Kartaginy nowożytnej“, gdyż w rzeczy samej Anglia owoczesna bynajmniej nie była taką, jaką wyzierała z „Ducha praw“, jaką właściwie stać się miała dopiéro po pierwszym bilu reformy,—była jeszcze krajem zgoła arystokratycznie rządzonym. Naród, który przed chwilą kusił się o ujarzmienie Stanów amerykańskich, a nazajutrz, z lepszém powodzeniem, miał dokonać ujarzmienia Irlandyi, nie mógł stanowić pociągającego wzoru dla wzburzonej Francyi, dobijającej się wolności. Z drugiej strony, patryotyzm praktyczny, jaki zawsze cechował Anglików, wszechwładny był podówczas, nietknięty przez łagodzące wpływy liberalne; utrzymać kolonie, zabić handel zamorski francuski, portów belgijskich pilnować,—w tych sprawach kardynalnych Pitt i Burke podają sobie ręce, niezdolen stawić im czoła Fox, opuszczony tutaj przez opinię publiczną.—Wobec tak ukształtowanych stosunków, sojusz francusko-angielski na schyłku z. w. był niepodobieństwem. Jakkolwiek tej rzeczy niepodobnej podjął się początkujący w dyplomacyi Talleyrand z pobudek czysto osobistych, nic z „wielką polityką“ nie mających wspólnego, jednakowoż pierwsza

jego negocyacya londyńska miała zostać z czasem naczelną skazówką dla całej jego poźniejszej akcyi politycznej; pomyślniej, niż za pierwszym razem, dwukrotnie jeszcze, w chwili stanowczego przełomu, w Wiedniu r. 1814, w Londynie r. 1830, miał powrócić do przymierza angielskiego. Dodajmy, iż stanowiło ono najznaczniejszy legat polityczny, jaki był przejął po zmarłym Mirabeau. Jeszcze w 1786 r. pisał Mirabeau z Berlina do Talleyrand'a o swoich „jakoby chimerycznych pomysłach przymierza między Francyą a Anglią;... mówiłem o tem z legacyą angielską;... niewątpliwie podobna myśl wydaje się romansowną, wygląda na rozdział z Gulliwera;—lecz jedynie dla oczu krótkowidzów"; później, w okresie przewrotu, tém bardziej życzył sobie zbliżenia z Anglią, które, jak przypuszczał, mogło uchronić Francyę rewolucyjną zarazem od własnych szaleństw i od europejskiego najazdu [1]). Powiedzieliśmy, że była to rzecz wówczas niedojrzała; po czterdziestu dopiero leciech, a i wtedy nie bez trudu, udało się zgrzybiałemu Talleyrand'owi, ambasadorowi Ludwika Filipa, strącić pierwszy owoc wspólnego rozwoju liberalnego Francyi i Anglii.

W styczniu 1792 r. przybywa on do Londynu śród całkiem odmiennych warunków; niezrównaną karyerę dyplomatyczną rozpoczyna pod najfatalniejszemi wróżbami. Wyprawił z nim razem Narbonne do Anglii wspólnego przyjaciela, Birona, w celu zakupienia koni dla ministeryum wojny; przepomniał niepoprawny Biron, że z dawnych grzechów pozostał dłużny nad Tamizą drobnostkę czterech mil. fr., zaraz téż po przyjeździe ulega przymusowi osobistemu i osadzony jest w areszcie dłużników; zaledwie po dwóch tygodniach udaje się Talleyrand'owi przy pomocy ks. Walii i kilku lordów, którzy poręczyli za więźniem, uwolnić go i wyprawić do domu z powrotem [2]). Niefortunny ten epizod zaraz na wstępie naraził stanowisko Talleyrand'a w Londynie, które już samo przez się dosyć było dwuznaczne.—Właściwie

---

[1]) „Corr. inéd. de T. et du roi Louis XVIII" (éd. Pallain, 1881) préf. 13 suiv. Por. Mirabeau do Birona 25 sierp. 1786, w „Corr. dipl. de T., La mission de T. à Londres en 1792" (éd. Pallain, 1889), 38—40.—Czy Mirabeau opłacany był przez Pitt'a, jak zdawałyby się wskazywać „Pamiętniki" Elliot'a.—trudno orzec napewno.

[2]) Była, zdaje się, w tym skandalu ręka dworu i emigrantów, którym chodziło o skompromitowanie razem T-a i Birona; w tym samym czasie (stycz. 1792) Ségur w Berlinie narażony był na najdotkliwsze upokorzenia. Jak wrogo zapatrywał się dwór na misyę londyńską T-a i jak dobrze zdawał sobie sprawę z konszachtów pomiędzy nim a Narbonn'em i żyrondystami, świadczy depesza Mercy'ego do Kaunitza, 14 stycz. 1792, u Feuillet de Conches „Doc. épist. sur Louis XVI" (1869) V, 105 suiv. — Do misyi londyńskiej T-a por. Sybla „Rvltsgschte" I, 365 ff. i Sorel'a, II, 384, 438 suiv., którzy obadwaj korzystali już z rękop. ogł. przez Pallain'a.

w owej chwili były w grze ze strony Francyi aż cztery naraz dyplomacye. Rząd, że tak powiemy, „urzędowy“, w osobie ministra spr. zagr. Delessart'a, szczerze pragnął utrzymania pokoju. Żyronda, przewodząca w zgromadzeniu prawodawczém, któréj przedstawicielem w rządzie był minister wojny Narbonne, a na której usługi był się oddał Talleyrand, chciała wojny za wszelką cenę dla uzupełnienia wewnętrznych przewrotów, wojny przedewszystkiém z Austryą, ojczyzną Maryi Antoniny, lecz wojny pomyślnej; szukała tedy w Anglii i Prusach sprzymierzeńców przeciw Austryi i Rosyi. Dwór, pozornie idąc z Delessart'em, pokojowe dając oświadczenia, w skrytości życzył sobie wojny jaknajrychléj, wojny powszechnéj, szturmował przez Mercy'ego do Wiednia o zbrojny ratunek, chciał już widzieć w Paryżu armie skoalizowanéj Europy monarchicznéj. Wreszcie dyplomacya samolubna emigrantów, hrabiów Prowancyi i Artois, sprowadzała się do tego, aby wszystkie powyższe intencye paraliżować w miarę możności. — Śród tylu powikłań ciężką miał przeprawę w Londynie Talleyrand, bez żadnéj misyi urzędowéj, polecony jedynie przez prywatne pismo ministeryalne; po za jego plecami ostrzegał przed nim dwór francuski ministrów angielskich, jako przed agentem żyrondystów, narzędziem propagandy rewolucyjnej; Delessart się go wypierał. Nie przyjmowany wcale u lorda Grenville'a, ex-biskup nie ma nawet wstępu u lepszego towarzystwa londyńskiego, zmuszony zadawalać się bezużytecznemi schadzkami ze skrajną opozycyą parlamentarną, przez co staje się coraz podejrzańszy u rządu angielskiego; wreszcie w marcu z niczém wraca do Paryża. Tutaj tymczasem z błyskawiczną chyżością zmieniały się wypadki: Narbonne dymisyonowany jest przez króla; biorą odwet żyrondyści na osobie niewinnego Delessart'a, którego rzucają tłumowi do rozszarpania; tekę spraw zagr. obejmuje Dumourier, dawny żołnierz barski, awanturnik zdolny, energiczny, sprzedajny. Porozumiewa się z nim w rychle Talleyrand, za jego wstawienictwem wyprawiony jest powtórnie do Londynu, już z odręczném pismem królewskiém do Jerzego III, przydany nowemu posłowi, młodemu i niedoświadczonemu Chauvelin'owi, jako kierownik raczej, niż doradca.

W tej drugiéj sesyi swoich doniesień londyńskich (maj—lipiec), wyłącznie przez niego redagowanych, tylko podpisywanych przez Chauvelin'a, Talleyrand dużą okazuje ruchliwość; w szczególności wielokrotnie zwraca uwagę Dumourier'a na spółczesne sprawy wschodnie, na których radby oprzeć rozległe plany polityczne. Podwójnie wszakże mylił się w téj materyi. Z jednej strony znacznie przecenił rozdwojenie w łonie gabinetu angielskiego: istotnie niektórzy ministrowie nie tak obojętnie jak Pitt, patrzyli na dokonywającą się ponc-

wnie zmianę karty Europy, niewiele atoli miał trudu premier z rozproszeniem ich skrupułów, gdyż naseryo nigdy nie myśleli o interwencyi. Nie myśleli o niéj naseryo nawet przywódcy opozycyi, wołali o nią więcéj z pobudek stronniczych, aniżeli z istotnego przekonania,—w gruncie rzeczy wszyscy byli pochłonięci bliższemi sprawami francuskiemi, które przybiérały obrót na ogół pomyślny dla interesów brytańskich. Również fałszywie zapatrywał się Talleyrand na istotne zamiary Prus w téj saméj sprawie. „Podług najpewniejszych wiadomości, otrzymanych z Berlina,—pisze w drugiéj połowie czerwca do Dumourier'a, — panuje tam obecnie niezadowolenie powszechne (z powodu działań cesarzowéj i Austryi) nawet śród najbliższego otoczenia królewskiego; nie ulega wątpliwości, że na tym mianowicie gruncie należy pracować nad zerwaniem koalicyi, która nietylko Francyi, lecz wszystkiéj Europie zagraża“ [1]). — W téj saméj chwili, kiedy pisane były te słowa, wiedziano już dobrze w Berlinie, czego się trzymać. — Taka rażąca niedomyślność nieomylnego kiedyindziéj Talleryanda tém się poczęści tłómaczy, że nie był on jeszcze wcale „dobrym europejczykiem,“ jak sam siebie lubił nazywać w starości, nie był nawet dyplomatą, lecz prostym partyzantem, niepewnym jutra, który z połowiczną ledwie uwagą śledził kręte negocyacye gabinetów europejskich, a natomiast czujném uchem nasłuchiwał groźnych odgłosów, przychodzących z Paryża. Istotnie zbilżał się tam moment stanowczy, ostatnie uderzenie padało na zachwiany sztandar królewski. Talleyrand, dobrze powiadomiony o gotującém się powstaniu, usiedzieć nie może w Londynie; w pierwszych dniach sierpnia wpada do Paryża, aby się przekonać naocznie, jak rzeczy stoją i czyjéj strony chwycić się należy. Był obecny przy wypadkach 10 sierpnia, przysłuchiwał się jak dekretowano złożenie z tronu króla i ogłaszano rzeczpospolitą jedną i niepodzielną. Odrazu doszedł do wniosku, że w rozszalałym Paryżu nic go nie czeka prócz guzów; postanawia wy-

---

[1]) Chauvelin do Dumourier'a, 18 czerw. 1792 z powodu „l'odieuse déclaration.. à l'égard de la République... déclaration qui très probablement est concertée avec la cour de Vienne,.. une circonstance dont il nous paraît important de ne pas laisser affaiblir l'impression,“ i t. d.; por. Dumourier do Chauvelin'a, 2 lipca i depeszę Chauvelin'a z 14 lipca, w „Miss. à Londres,“ 355, 375, 405 nast. — Doskonałą ilustracyę do złudzeń, jakim oddawał się Talleyrand, stanowią podane przez Pallain'a wyciągi z depesz spółczesnych posła sardyńskiego w Londynie, który miał zupełne zaufanie Grenville'a i donosił do Turynu, że Anglia ograniczy swą akcyę francuską: „à des manoeuvres secrètes pour entretenir la désunion et perpétuer l'anarchie,“ gdyż na niesnaskach francuskich najwięcéj korzysta jéj handel i flota.

nieść się czémprędzéj i tak się sprytnie urządza, że otrzymuje z rąk Dantona paszport formalny a nadto misyę tajną do Londynu w imieniu rządu prowizorycznego. „Nie chciałem wyjechać bez legalnego paszportu, aby drzwi za sobą nazawsze nie zamknąć.“ W sam czas zdążył głowę unieść: w skrzyni żelaznéj, wykrytéj przez powstańców w Tuilleryach, śród licznych dowodów kompromitujących znalazła się téż wzmianka podejrzana o Talleyrandzie, i w téj saméj chwili, gdy ciało Mirabeau precz wynoszono z Panteonu, nazwisko byłego biskupa umieszczano na liście proskrypcyjnéj.

Zaczęła się w życiu Talleyranda epoka najcięższéj próby. Wygodny i ambitny sybaryta wyrzucony jest jak rozbitek na niegościnne brzegi angielskie, zmuszony osiąść w Londynie bez zajęcia, stanowiska, funduszów. Emigranci francuscy, zgromadzeni nad Tamizą, w pogardliwém oddaleniu trzymają się od zdrajcy sprawy królewskiéj, obciążonego klątwą Kościoła; rząd Pitt'a podejrzliwie spogląda na mniemanego agenta jakobińskiego, przybyłego z paszportem od Dantona; jeden tylko lord Landsdowne, dawny przyjaciel, przyjmuje go w swoim domu, zapoznaje z Canning'iem, Bentham'em i in., którzy przecie dla takiego gościa pewnie niewiele mieli szacunku i sympatyi.— W téj chwili krytycznéj, kiedy już poczynał upadać na duchu, najpożądaniéj przyszła mu z pomocą wierna przyjaciółka,—ta sama, o któréj miał wyrzec, że „posiada jedną tylko wadę, jest nieznośna“, — pani de Staël. Nadarzała się już sposobność napomknąć o stosunku, jaki ją łączył z Talleyrand'em. Oboje do siebie doskonale byli dopasowani. Kochliwa „Korynna“ miała słabość do ludzi sławnych, bez różnicy, czy nazywali się Talleyrand lub Bonaparte, Chateaubriand czy Goethe; wielki polityk miał słabość do kobiét wpływowych. Jéj próżność, jego zmysł praktyczny przyciągnęły się wzajem. Pani Staël umyślnie przybywa do Anglii, aby pocieszyć wygnańca; spędzają razem zimę na ustroniu w Epsom [2]); po rozłączeniu, przez cały czas wygnania, utrzymują ze sobą korespondencyę poufną. Ze zdumieniem przekonywa się czytelnik téj korespondencyi, jakim złudzeniom oddawali się oboje, jak z gruntu fałszywie, jak nierozumnie znakomity mąż stanu i znakomita pisarka zapatrywali się na sytuacyę własną

---

[1]) W Anglii wypiérał się stosunków z Danton'em; powoływał się na nie, kiedy miał wrócić do kraju za dyrektoryatu. Kłamliwość T-a w tym wypadku wykazana jasno u Lytton'a w jego nazbyt łaskawém „Essai sur T.“ (trad. Perrot, 1868), 154 nast.: por. Morris „Diary“ pod 6 wrześ. 1792, dniem ucieczki T-a z Paryża, oraz własną jego wymijającą wzmiankę w „Mém.“

[2]) „The Greville Mem.“, II, 355.

i kraju. Po zajęciu Tulonu przez Anglików, zaraz Talleyrand chce tam zjechać się z przyjaciółką, chce pod osłoną bateryi angielskich zwołać do Tulonu członków pierwszéj konstytuanty; „to zgromadzenie pozyska na dłuższy czas dostateczną popularność... zaprowadzimy natychmiast mały rząd prowizoryczny, złożony z Narbonne'a, Sainte-Croix i in.“; widzi już koniec rewolucyi, siebie na trybunie i u steru [1]). W tym samym czasie, kiedy czterdziestoletni kochanek w czułych listach podobne wypisywał brednie, młody Bonaparte ostrzeliwał załogę tulońską i zmuszał miasto do kapitulacyi. Rozczarowany niebawem Talleyrand z najśmielszych nadziei wpada w zwątpienie zupełne. „Dom Burbonów stracony jest dla Francyi — pisze w listopadzie 1793-go roku przyszły minister Ludwika XVIII-go — najzupełniéj podzielam pogląd pani na nasze położenie obecne: przez długi szereg lat nic innego nie pozostaje mi do roboty, jak żyć.“ — Niestety, nawet żyć spokojnie w Anglii mu nie dano; w styczniu 1794 r. z polecenia Grenville'a, wydalony jest na zasadzie *alien-bill*'u z granic królestwa. Nic nie pomogły tłómaczenia i reklamacye, ani nawet list pokorny, wystosowany do ministra angielskiego, z ofiarowaniem usług i ważnych odkryć o rządzie rewolucyjnym; Grenville reklamacye pozostawił bez skutku, list bez odpowiedzi Talleyrand, skazany na nowe tułactwo, postanawia jak najodleglejszego szukać schronienia i siada na okręt, płynący do Stanów Zjednoczonych A. P. [2]).

Nędzne życie prowadził w Ameryce. Z wiecéj jeszcze upośledzonymi, niż on sam, rozbitkami francuskimi tułał się po lasach Connecticut'u; na brzegach Ohio u półdzikich *farmer*'ów uczył się połowu bobrów. „Przygody téj podróży utrwaliły się w mojéj pamięci... Szczególne to były wrażenia, których określić nie umiem: błąkać się w puszczy bezdrożnéj, konno, po nocy, nawoływać straconych z oczu

---

[1]) Talleyrand do Staël, 28 września, 8 listopada 1793 r.. w „Lettres de M. de T. à M-me de Staël“ (éd. Broglie w „Revue d'hist. dipl.“, 1890, IV). Wydawca zaopatrzył te listy nader skąpemi uwagami i znaczne w korespondencyi zostawił przerwy, — wstrzemięźliwość zupełnie wytłómaczona z uwagi, że Broglie jest, jeśli się nie mylimy, wnukiem pani Staël (jéj córka wyszła za Brogliego, znanego autora „Pamiętników“).

[2]) List do Grenville'a podany u Lytton'a; sam T. w „Mém.“ wspomina tylko o listach do króla i Pitt'a. Że słusznie był posądzany przez rząd angielski o stosunki z jakóbinami, w tym samym czasie, kiedy temuż rządowi oddawał się na usługi przeciw jakóbinom, —najlepszym tego dowodem są dokumenty, złożone przez samego T-a Konwencyi w 1795 r., aby uzyskać wykreślenie z listy emigrantów, między innemi doniesienia z Londynu dla Dantona.

towarzyszy; gdy zaś który żałośnie odzywał się zdaleka: „ależ Wasza Przewielebności, jestem“, dziwnie rozśmieszająco brzmiał w takiém miejscu tytuł, ściągający się do biskupstwa w Autun.“ W lekkiéj opowieści pamiętnikarskiéj ładnie wyglądają te szczegóły, wspominane po latach czterdziestu; w swoim czasie nie bardzo przypadały do smaku Talleyrand'owi, dalekiemu od gustów Lafayette'a, lub Niemcewicza, ludzi zapału i charakteru, którzy mogli sobie znaleść ojczyznę przybraną w młodéj Ameryce, gdzie świetny biskup podwójnie czuł się wygnańcem. W dodatku, w ciężkich był kłopotach materyalnych [1]. Doprowadzony do ostateczności, pisze z Ameryki do pani Staël: „jeśli tu rok jeszcze mam pozostać, umrę napewno.“—Nie był mu przeznaczony koniec tak żałosny, dni próby miały się ku końcowi, lepsze przychodziły losy. Na horyzoncie politycznym Francyi, jeszcze niezupełnie wypogodzonym, już się rozpierzchały najczarniejsze chmury, stanowczy zwrot następował w rządzie „postrachu“, otwiérały się dla licznych wygnańców granice kraju. „Miałem właśnie zamiar udać się do Indyi Wschodnich, okręt stał w porcie, już miałem siadać, kiedy doszedł mnie dekret konwencyi, dozwalający mi wrócić do ojczyzny. Dekret zapadł bez żadnych starań z mojéj strony, bez mojéj wiedzy, na żądanie deputowanych, zaledwie znanych mi osobiście; trzeba było z niego korzystać, albo nazawsze pożegnać się z Francyą.“ W rzeczywistości odbyło się trochę inaczéj: od dłuższego już czasu szturmował w téj sprawie do pani Staël, za jéj pośrednictwem pozyskał dwóch deputowanych i sam im dostarczył dowodów, mających świadczyć o czystości jego przekonań rewolucyjnych; wreszcie u wszechwładnych dyrektorów osobiście wstawiła się za nim niezmordowana dobrodziejka, któréj mąż posłował wtedy od Szwecyi w Paryżu. Mniejsza jednak o tę drobną „niedokładność“, którą z tego tylko względu chcieliśmy podnieść na zakończeniu, aby raz jeszcze przypomnieć, z jaką oględnością winny być czytywane „Pamiętniki.“ Tak czy owak, udało się Talleyrand'owi ostatecznie wypłynąć na po-

---

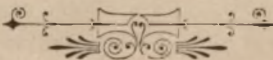
[1]) Ratowała go trochę pani Staël. Talleyrand, całkiem pychę zrzucając z serca, prosi ją w listach o protekcyę u kupców szwedzkich i duńskich, którym chce służyć jako pośrednik do interesów spekulacyjnych w Ameryce. Talleyrand do Staël, Philadelphie, 12 maja, Boston, 4 sierpnia 1794 r. — W „Mém.“ natomiast pisze: „pendant mes longues soirées (w Ameryce), pleines de retours vers ma malheureuse patrie... je cherchais les moyens... de diminuer les difficultés des relations commerciales entre la France et l'Amérique“ i t. d. Po powrocie obrany do Instytutu francuskiego, wygłosił tutaj uczony odczyt „Sur les rel. comm. de l'Angleterre et l'Amér.“; rzecz ta nie była mi dostępna; analiza i wyciągi u Sainte-Beuve'a „M. de T.“ (éd. 1880), 44—51.

wierzchnię. Na żaglowcu duńskim przybija w lipcu 1796 r. do Hamburga, zatrzymuje się jeszcze parę miesięcy po drodze, aby lepiéj zoryentować się w nowém położeniu; we wrześniu przybywa do Paryża, chyłkiem, nie budząc niczyjéj uwagi, zupełnie zapomniany, — lecz z mocném postanowieniem odzyskania lat straconych. Zanim się jeszcze zamknęło będące na schyłku stulecie, trzymał rękę u steru Francyi i świata.

„Mémoires du prince de T., publiés par le duc de Broglie“ (1891, 1892) „Pamiętniki“ T-a tyle wywołały wrzawy w świecie naukowym, że wydaje się niezbędném krótkie wyjaśnienie w przedmiocie ich pochodzenia i autentyczności. Talleyrand w osobnym kodycylu zawarował, aby nie były ogłoszone przed upływem lat 30-tu od jego zgonu (✝ 1838); zapisał je swojéj synowicy, księżnie de Dino, a na wypadek jéj śmierci przed tym terminem (✝ 1862)—swemu zaufanemu sekretarzowi, Bacourt'owi. Ten ostatni, dyplomata drugorzędny za Ludwika Filipa, miał sobie powierzoną poprzednio (przez rodzinę ks. Arenbergów) słynną korespondencyę Mirabeau z Lamarck'iem; kiedy ją jednak ogłosił drukiem (1851), wydawca, wierny sługa orleański, ściągnął na siebie uzasadniony zarzut, że dopuścił się licznych zmian i intepolacyi w tekście (chodziło wtedy, nazajutrz po śmierci Ludwika Filipa, o nieodnawianie dwuznacznego zachowania się Orleanów podczas rewolucyi),—i ostatnio jeszcze (1890, 1892) samowola Bacourt'a przy wydaniu spuścizny po Mirabeau dowodnie wykazaną została przez Alfr. Stern'a i Flammermont'a. Bacourt (✝ 1865) zapisał z kolei „Mém.“ T-a dwom swoim przyjaciołom, z warunkiem niewydania przed 1888 r.; obadwaj zmarli i ks. Broglie 1891 r. miał sobie powierzony rękopis, który niezwłocznie drukiem ogłosił. Owóż okazuje się, że Broglie'mu oddano tylko kopię, sporządzoną ręką Bacourt'a, zaś oryginał zaginął bez śladu w téj długiéj przeprawie. Ta okoliczność, w związku z nieszczególną reputacyą wydawniczą Bacourt'a, stała się powodem, że podano w wątpliwość autentyczność całego wydawnictwa. Pierwszy Aulard kilkakrotnie w „Revue polit. et litt.“ (1891) wykazał szereg rażących przeoczeń, oraz luk w ogłoszonym tekście „Mém.“; poparł te zarzuty z dużą gwałtownością Funck-Brentano w „Nouv. Rev.“ (1891, juin), przyłączył się do nich Flammermont w „Rev. hist.“ (1892, T. 48, 49); tamże *(mars-avr.)* historyk niemiecki Stern wprost wykazał lukę umyślną do 1808 r.; inny uczony niemiecki, Bailleu, najlepszy znawca stosunków w epoce Napoleona I, także stwierdza „die historische Werthlosigkeit der ganzen Veröffentlichung“ („Hist. Ztschr.“, 1892, T. 33). — Z drugiéj strony Darcy, spółpracownik Broglie'go, oświadcza w „Ann. de l'Ec. d. sc. pol.“ (1891, II): „*ce manuscrit* (oryginał), *on ne sait, où il est, on ne sait, s'il existe encore, on ne sait pas même, s'il a jamais existé (?), ou du moins en quel état et sous quelle forme*“; tenże w wydawanéj przez Broglie'go „Rev. d'hist. dipl.“ (1891, III), oraz sam Broglie w „Avertiss.“ do V t. „Mém.“ szczegółowo usiłowali odeprzéć podniesione zarzuty. W końcu bezstronni a miarodajni sędziowie: Bertrand w „Rev. enc.“ (1891, août) i „Rev. hist.“ (1892, mars), redakcya tego ostatniego Przeglądu (Monod, podobnież Farges), Chuquet w „Rev. crit.“, oraz Sorel kilkakrotnie w „Temps“ (ostatnio 28 sept. 1892) oświadczyli się w zasadzie za autentycznością. Takie jest również zdanie piszącego po rozejrzeniu się w po-

wyższéj dyskusyi, lecz z następującemi zastrzeżeniami: W „Pamiętnikach“ naogół można rozróżnić trzy części: jedną, powstałą około 1816 r., drugą—około 1834 r., trzecią, złożoną z urywków, pisanych zaraz po omówionych wypadkach; pierwsza, najobszerniejsza, najpilniejszéj wymaga kontroli, pisana bezpośrednio w intencyi apologetycznéj, kiedy Talleyrand, w niełasce burbońskiéj, mógł jeszcze zasadnie spodziéwać się powrotu do rządów; druga o tyle wiarogodniejsza, że układana przez 80-letniego starca, który już nazawsze zamknął ze światem rachunki; trzecia, najcenniejsza, a najwięcéj narażająca na pokusę stronniczego wydawcę (Bacourt'a). Oryginał istniéć musiał, lecz zapewne w części tylko autograficzny. (Talleyrand zawsze był niechętny do pióra, zaś w późnym wieku tak mu dokuczała kulawa noga, że siedziéć długo nie mógł i zazwyczaj leżąc na szeslongu dyktował, porów. świadectwo naoczne pani Mirabeau, „T. et la mais. d'Orléans“ (1890) préf.; nadto unikał własnoręcznego pisania, odkąd były jego sekretarz, Perrey, jął sprzedawać w Londynie rękopisy podrobione, gdzie do złudzenia jego pismo naśladował). Najpewniéj pani de Dino zniszczyła rękopis pierwotny, skopiowany dla niéj przez Bacourt'a; księżna, bliska krewna, rojalistka zapalona a klerykalna, skrupułów dużych względem legatu nie miała, również jak i Bacourt,—lecz oboje niezdolni byli do fałszu bezpośredniego, wymagającego kompozycyi samodzielnéj. W konkluzyi ostatecznéj, niezawodne są liczne opuszczenia (zwłaszcza do epoki 1789 — 92, ostatnich lat konsulatu i cesarstwa, być może 1830 r.); nie są prawdopodobne większe podrobienia. „Pamiętniki“ T-a stanowią źródło autentyczne, z wielu względów cenne, z którego wszakże korzystać należy z oględnością wyjątkową. — Drugie źródło do pracy niniejszéj stanowiła „Correspondance diplomatique de T.“ (1881, 89—92), wydana przez Pallain'a, oraz „Lettres inédites de T. à Napoleon“, wyd. przez Bertrand'a. Tutaj również niezbędny jest komentarz: ustalona jest wprawdzie autentyczność tych materyałów, lecz podzielone są zdania w przedmiocie autorstwa. Wielokrotnie wyrażano wątpliwość, ażali rozległa akcya dyplomatyczna i polityczna T-a jemu we własnéj osobie poczytaną być winna. Istnieje tradycya, że Talleyrand najczęściéj posługiwał się cudzą głową, a więc w konstytuancie miał mu Chamfort pisywać projekty o reformie nauczania, Panchaud — o finansach, ksiądz Desrenaudes—o sprawach kościelnych; późniéj korespondencyę i całą wogóle robotę dyplomatyczną mieli załatwiać za niego sekretarze La Besnardière i d'Hauterive w Wiedniu 1814 r. i Londynie 1830 r. nawet pani de Dino (Ménéval, Villemain, Thiers po części, i in.). Za oryginalnością roboty dyplomatycznéj T-a oświadczają się z nowszych: Bertrand „Lettr. ined.“ préf., Sorel „Essais“ d'hist.“ Ten ostatni pogląd uważać należy za udowodniony obecnie; niewątpliwie śród nadmiaru zajęć T-a wielu używał pomocników, lecz prawie wszystko przez własne jego przechodziło ręce i samodzielnemu ulegało opracowaniu. (Por. świadectwo kompetentne Traczewskiego „Dipl. snosz.“ w „Sborniku“ petersburskim, 1890, t. LXX, 724, miał on w ręku i sprawdzał znaczną ilość autograficznych brulionów T-a z czasów jego ministeryum r. 1800 i nast.). Inne źródła wskazane powyżéj. Z opracowań uwzględnione: nader stronna, lecz obfita i z pierwszéj ręki, biografia T-a przez Michaud'a (osobistego jego nieprzyjaciela) w „Biogr. univ.“; „Notice“ Mignet'a; monografia Lytton'a (w powiększ. edycyi franc.), i studyum Sainte-Beuve'a.

Szymon Askenazy.





ŻYCZENIE.

NOWELLA*).

VI.

Przebacz mi, siostro, że twój święty cień z grobu wywołuję! Pozwól, abym we wspomnieniach tego, jak bardzo mnie kochałaś i jak gorąco biło téż i moje serce dla ciebie, szukała oczyszczenia z winy, która mnie przygniata i której jarzmo dźwigać muszę do końca życia! Pozwól mi raz jeszcze przeżyć, odczuć, te bogate dary twéj niewyczerpanéj dobroci i miłości i dozwól mi w tych wspomnieniach zapomnieć o strasznéj pustce, która jak tchnienie z twojego grobu zimnym dreszczem przenika mnie do głębi!

Jakże bezrozumną, jak występną byłam, jeżeli mogłam czuć się samotną wtedy, kiedyś ty jeszcze na téj ziemi gościła! Twoje uczucie było przecież ożywczém powietrzem, którém oddychałam! uśmiechem, promieniem słońca, który mnie ożywiał! Twoje pocieszające, ostrzegające słowo — głosem Boga, którego nieraz słuchałam, podniesiona, nie rozumiejąc go!

I jakżeż ja ci się wywdzięczyłam, siostro? Obcą ci się stałam. Męką jest teraz dla mnie myśl o tobie. Blednę z poczucia winy, ile razy szum wiatru twoje imię do ucha mi szepce! Pomiędzy nami stoi

---

*) Zob. „Ateneum,“ zeszyt kwietniowy r. b., str. 72.

straszne widmo, dzikie, z pałącemi oczyma, szkaradne, wykrzywione, z włosem okręconym wężami i wyciąga do mnie pazury, żeby mnie na wieki z tobą rozłączyć!

Ach, gdyby to nie był cień, lecz krew i kości, gdyby to, com popełniła było grzechem, występkiem, walczyłabym z tém do ostatnich sił, albo dałabym się zdławić krwawą jego ręką! Ale to, czém winną się stałam jest niepochwytne, roztapia się w próżni... to duch, który mnie prześladuje, dym, który mnie jakby mgłą otacza, a który mnie powoli, powoli zabija!

Życzenie!

Życzenie — nic więcéj!

Czyś ty je odgadła? Czy się ono w twojém gasnącém oku odbiło? Czyś widziała to widmo, stojące u twego łoża, kiedyś ty dobra, święta, wydawała ostatnie tchnienie tego życia, które, całe było miłością tylko? czyś widziała to widmo, które jad zazdrości i niewdzięczność zrodziły, a które ja do twojego, czystego domostwa zawlokłam?

Gdybym ja miała jeszcze dawną, dziecięcą wiarę, wszechmocnemu, dobremu Bogu powierzyłabym nędzę duszy mojéj i u niego szukałabym pociechy; ale i ja nie mam nikogo na ziemi — ni w niebie, ktoby się nademną ulitował, nikogo, prócz twego, świętego cienia!

Biada mi! i ten się odwraca, zakrywa się płacząc!

A przecież, czyż to nie było ludzkie, com czuła? Czemuż nie jesteśmy duchami bez pragnień i jak eter czystymi? Dlaczegożeśmy z prochu powstali i prochu się czepiamy i w proch się rozpadamy?

Spisuję tutaj wielką omyłkę mego życia. Na sobie, na tobie i na trzecim jeszcze, który niewinny jest i dobry, a który jednak wszystkiemu był winien.

* * *

Byłam cichém, zawsze samotném dzieckiem.

Kto od dzieciństwa otoczony jest miłością, ten uczy się najłatwiéj sam sobie wystarczać. A jednak i w mojém sercu leżał niewyczerpany zapas uczucia. Trwoniłam go dla zwierząt, pieściłam psy, całowałam koty, omal dusiłam gęsi. Jedną z moich namiętności było bawić się w stajni; układałam się tam na miękkiém, delikatném sianie, pomiędzy przedniemi kopytami moich ulubionych zwierząt, które mi nigdy nie zrobiły krzywdy, albo wdrapywałam się na żłób, gdzie mogłam godzinami siedziéć i patrzéć miłośnie w duże, ciemne oczy moich przyjaciół.

Najlepiéj jednak upodobałam sobie w psiej budzie. Znajdywano

mnie tam często uśpioną i wcale nie było łatwą rzeczą wyciągnąć mnie ztamtąd, bo Nero, zwykle poczciwe, łagodne psisko, każdemu, kto przyszedł na odległość jego łańcucha, pokazywał zęby.

Państwo roślin, obdarzałam też czułością wielką.

Krzaki róż wydawały mi się uwięzionemi księżniczkami, których los gorzko opłakiwałam, słoneczniki były katolickiemi księżmi w ornatach, a georginie — polskiemi dziewuchami w jaskrawych chustkach na głowach. Cały urojony świat umiałam tak naokoło siebie, w ogrodzie gromadzić i uznawałam te podobizny za piękniejsze od ich pierwowzorów, bo w milczeniu zgadzały się na wszystko, co mi się o ich losie postanowić podobało.

* * *

Dobra, które mój ojciec dzierżawił, stara siedziba polskiego magnata, leżały na saméj pruskiéj granicy, na górze, któréj jedna strona pokryta zdziczałym parkiem, łagodnym spadkiem do rozległych pól schodziła, kiedy druga strona urywała się ponad rzeczką, na któréj drugim brzegu leżała nędzna mieścina.

Niezbyt powabny widok przedstawiało to miasteczko a gromadka strażników pogranicznych, zwolna przesuwających się na szkapach drobnych, nie podnosiła jego wdzięku.

Dla moich dziecięcych oczu jednak było ono pełne niewypowiedzianego uroku, którego wrażenie dziś jeszcze odczuwam, kiedy sobie przypomnę jak nieporuszenie godzinami całemi w trawie siedziałam i z zachwytem patrzyłam z góry na ten rój, którego postacie nie większe zdawały się być od drewnianych lalek w mojém pudełku z zabawkami.

Na dół nie wolno mi było schodzić i nie pragnęłam tego już od czasu, jak mnie raz ojciec zabrał z sobą na targ tygodniowy i w tłoku omało nie zostałam zgniecioną.

Pięknem wydawało mi się tylko wtedy, gdy z wysoka, ponad brudem i hałasem, przyglądałam się temu istnieniu świata mrówek.

* * *

O postaciach, które mi w owym czasie najbliższemi były, zachowałam tylko niewyraźne wspomnienie. Może dlatego, że późniejsze wrażenia były tak silne, iż wiele z wcześniejszych, dziecięcych zatarły.

Ojciec mój byłto człowiek niewielkiego wzrostu, silny, krępéj postawy, z krótko ostrzyżonemi włosami i brodą, nosił długie, dobrze wyczyszczone buty i ubranie z grubego, szarego sukna. Gdy mnie

zobaczył, uśmiéchał się zawsze, często poklepał mnie po karku lub po ramieniu, uszczypnął w policzek i znowu znikał.

Biédny ojczulek miał zawsze tak wiele roboty, nigdy nie widziałam żeby odpoczął choć chwilę.

Mama była już wtedy bardzo otyła, jadła ciągle słodycze i lubiła poobiednią drzémkę, ale i ona była czynna od rana do wieczora, chociaż niechętnie poruszała się z miejsca na miejsce, nie lubiła przytém, żeby się jéj naprzykrzać i pytaniami ją męczyć.

Do rodziny należał wówczas kuzyn Robert, przez krewnych z Prus do nas przysłany, aby się przy ojcu gospodarstwa uczył. Był to duży chłopiec, szeroki w ramionach i gruby w karku, z jasnym meszkiem na brodzie. Codzień po obiedzie brał mnie na kolana i przy pomocy zakrzywionego patyczka, „*A B C*“ mi pokazywał.

O ile zapamiętać mogę, zawsze byłam z nim w przyjaźni, chociaż nie obchodził mnie więcéj niż inni, bo i jego postać z owych czasów we mgle się roztopiła.

Jednę tylko scenę pamiętam dobrze. Pewnego, letniego wieczoru uchwycił Martę za jasny warkocz i krzycząc, biegł za nią przez podwórze i ogród do domu.

— A co ci to Marta zawiniła, urwisie? — zawołał ojciec za nim.

— Dokuczała mi — odpowiedział, nie puszczając jéj, choć nie przestawała krzyczéć.

— Jak byłem w twoim wieku, wiedziałem ja lepiéj jak się zemścić na dziewczynie! — śmiał się ojciec, którego się zawsze żarty trzymały.

— A jak? — zapytał Robert.

— No, jeżeli ty sam tego nie wiész... — odpowiedział ojciec.

— Daje się jéj całusa, panie Robercie — wtrącił stary ogrodnik, który właśnie z polewaczką przechodził.

Widzę jeszcze Roberta, jak nagle zarumieniony, wypuścił z rąk warkocze i nie wiedział gdzie oczy podziéć. Ojciec trząsł się od śmiéchu, a Marta pędem uciekła do domu.

Kiedy po chwili do jéj drzwi stukałam, zastałam je zamknięte. Ukazała się dopiéro przy podwieczorku. Potargane włosy spadały jéj na czoło i onieśmielona, rozmarzona jakaś z pod nich spoglądała.

Kiedy dziś, bladą, szczupłą, cierpiącą twarzyczkę, która ciągle przed oczyma méj duszy stoi, porównam z tamtą, rumianą, pełną i figlarną buzią, zaledwie pojąć mogę, że obie należały do jednéj i téj saméj mojéj Marty drogiéj.

Wszędzie, w każdym kąciku domu widziałeś te jéj długie, jasno-

blond warkocze, a z jaką zabiegliwością skrzętnéj gosposi przebiegały jéj oczy po długim stole, przy którym zasiadaliśmy razem z chłopcami, będącymi na praktyce, i rządcą. Cała galerya zgłodniałych, czekających nakarmienia. A jak wesoło każdy brał z półmiska, gdy Marta, z przekornym uśmieszkiem sama go podała.

Teraz dopiéro rozumiem jaką drogę cierpień przeszła ona biédna, teraz, kiedy ja sama gotuję się do długiéj, beznadziejnéj drogi, na któréj końcu wykopany jest dla mnie samotny grób, smutniejszy jeszcze od jéj grobu.

Wtedy byłam dzieckiem i nie rozumiałam jéj. Ona została moją nauczycielką i przewodniczką, gdy zaledwie sama z dziecinnych trzewiczków wyrosła.

Było to w czasie, kiedy gospodarstwo nasze zaczęło chylić się do upadku. Ojciec walczył z długami, nieurodzajem i powodzią, przez trzy lata, rok jeden po drugim. Przepadła nadzieja polepszenia i coraz bardziéj piętrzyły się troski i ciężary.

W utrzymaniu domu zaprowadzono oszczędności, we wszystkiém, czego tylko można było sobie odmówić. Stosunki z sąsiadami zostały ograniczone, skład służby domowéj zredukowany, nawet stara guwernantka, która wychowała Martę i miała obecnie mną się zajmować, musiała dwór opuścić.

Marta, o siedm lat odemnie starsza, włożyła właśnie pierwszą, długą sukienkę i zajęła opróżnione miejsce nauczycielki.

To przeszkodziło rozwinięciu się pomiędzy nami prawdziwie siostrzanego stosunku. Ona była opiekunką, ja wychowanką, nie przypuszczałam, że późniéj role zmienimy.

Miałam już lat jedenaście, kiedy zaczęłam zwracać uwagę, że usposobienie i wygląd Marty bardzo się zmieniły. Byłabym to może i wcześniéj spostrzegła, bo zwykłam była otwartemi oczami w koło siebie patrzéć; ale w jednostajném, codzienném życiu, łatwo przeoczyć o ile niszcząco zmartwienia i czas na nas działają.

Zauważyłam więc jak twarzyczka Marty coraz stawała się szczuplejszą, kolory coraz bardziéj znikały, a oczy coraz głębiéj wpadały i przybiérały coraz smutniejszy wyraz. Nie śpiéwała teraz po dawnemu, a śmiéch jéj miał dziwnie zmęczony, chrapliwy dźwięk, który mi taką przykrość sprawiał, że nieraz miałam ochotę zawołać: nie śmiéj się!

Zaczęła téż po trochu kwękać. Skarżyła się na ból głowy, kurcze żołądka i z trudnością wlokła się nieraz do domu. Rodzice, zaniepokojeni w końcu tym stanem jéj zdrowia, opakowali ją ciepło i pomimo oporu z jéj strony, zawieźli ją do Prus do doktora. Ten

wzruszył podobno ramionami, zapisał żelazne pigułki i radził zmianę powietrza. Musiał jednak jeszcze i coś innego radzić, co nabawiło rodziców wielkiéj obawy, — przynajmniéj ojca, matkę bowiem już od dawniejszego czasu nie tak łatwo było ze zwykłéj apatyi poruszyć. Ojciec przyglądał się często Marcie z boku, kiedy rozmarzona i w dal zapatrzona siedziała, potrząsał wtedy głową, wzdychał i — trzaskał drzwiami za sobą.

Ale, chociaż cierpiała pewnie bardzo, od roboty się nie usuwała. Nie widziałam jéj ani chwili bezczynną. Jeszcze dzieckiem będąc, z abecadłem w ręku, stała przy kominie, albo przygotowując jakieś zadanie doglądała pralni. Odkąd dorosła, połączyła obowiązki kształcenia mnie z licznemi kłopotami, jakiemi prowadzenie dużego domu obarcza gospodynię. Mama, na starość, usunęła się całkiem od zajęć domowych, zostawiając Marcie zupełną swobodę rządzenia, — dobra mama troszczyła się tylko o kompoty i różne przysmaki.

Ja, która bez miary byłam psuta przez wszystkich, wstydziłam się nieraz mojéj bezczynności i próbowałam część pracy zdjąć z ramion Marty, ale z łagodną odmową usuwała mnie.

— To nie dla ciebie, dziecko — powiedziała, głaszcząc mnie po twarzy—ty jesteś księżniczką w domu, pozostań nią.

To mnie zabolało. Wszystko umiałam znieść, tylko nie odprawę i to wtedy, gdy przychodziłam z sercem tak pełném dobrych chęci.

Pewnego wieczoru widziałam Martę płaczącą. Wysunęłam się do ogrodu i ciężką przeszłam z sobą walkę. Pragnęłam ulżyć siostrze, dopomódz, a pójść do niéj ze słowem pociechy i rąk na szyję jéj zarzucić nie śmiałam.

Kiedy już w łóżku leżałam, pragnienie pocieszenia jéj opanowało mnie z nową siłą. Wstałam i nie ubiérając się, w koszuli, wybiegłam na ciemny korytarz.

Długo stałam pod jéj drzwiami, z ręką na klamce, drżąc z zimna i obawy. Nareszcie zapanowałam nad sobą i wsunęłam się cicho do jéj pokoju.

Klęczała przy łóżku, z głową ukrytą w poduszkach. Myślałam, że się modli.

Pozostałam przy drzwiach, nie śmiejąc przeszkadzać jéj.

W końcu odwróciła się i na mój widok zerwała się wystraszona.

— Czego chcesz? — zapytała.

Uczepiłam się jéj i łkałam tak okropnie, że chyba kamień byłby się poruszył.

— Dziecko, na miłość Boską! co tobie?—zawołała.

Nie byłam w stanie słowa wymówić.

Ona tymczasem, swoim macierzyńskim zwyczajem, otuliła mnie dużą, wełnianą chustką i przyciągnęła na kolana, choć wtedy większą już byłam od niéj.

— A teraz, mów, co ci jest?—pytała, głaszcząc moją głowę.

Zebrałam wszystkie siły i chowając twarz na jéj szyi, wyjąkałam z płaczem:

— Marciu,... ja chciałam... ja chciałam... tobie pomódz...

Zapanowało długie milczenie.

Kiedy oczy podniosłam, zobaczyłam niewypowiedzianie bolesny uśmiech na ustach Marty. Wzięła moją głowę w obie ręce, pocałowała mnie w czoło i rzekła:

— Chodź, dziecko, zaprowadzę cię do łóżka... Mnie nic nie jest... ale ty—boję się, że masz gorączkę.

Zeskoczyłam z jéj kolan.

— Nie dobra jesteś, Marto!—zawołałam—tak mnie odpędzasz? Nie jestem chora i nie taka głupia, żebym nie widziała, że ty się zamartwiasz i codzień więcéj gryziesz. Jeżeli nie masz do mnie zaufania... i nie chcesz ze mną mówić,—no, to nie... pójdę sobie... i... skończone między nami!

Zdumiona złożyła ręce i patrzyła na mnie.

— Olgo, co tobie do głowy przyszło?—powiedziała—ja cię taką nie widziałam jeszcze.

Odwróciłam się i przygryzłam wargi.

— Chodź, chodź, zaprowadzę cię do łóżka—upomniała znowu.

Zrozumiała jednak, że „dziecku" należy się jakieś słowo wyjaśnienia.

— Widzisz, Olgo — odezwała się, przyciągając mnie jak przedtém — mam rzeczywiście niejedno i to ciężkie zmartwienie, i gdybyś była starszą i mogła je zrozumiéć, byłabyś pewnie pierwszą, któréjbym je powierzyła. Ale — wprzód musisz i ty trochę poznać życie...

— Z czegóż ty znasz je lepiéj odemnie?—zapytałam.

Uśmiechnęła się tylko. Był to ten sam bolesny, gorzki uśmiech. I powstało we mnie jakieś dziwne, nieznane uczucie, jakiego się pewnie doznaje na widok świątyni, do któréjby się całą duszą wejść pragnęło, a któréj drzwi zostały zamknięte.

Marta ciągnęła daléj:

— Długo jeszcze, bardzo długo, muszę sama dźwigać moje smutki... Dziękuję ci jednak, siostrzyczko, za twoje dobre chęci, — gdyby to było możliwe, kochałabym cię jeszcze więcéj... a teraz, idź, wyśpij się,—jutro mamy trudną lekcyę.

I z têm wyprowadziła mnie.

Jak wypędzona stałam teraz w sieni i patrzyłam na drzwi, które się tak niegościnnie za mną zamknęły. Oparłam głowę o mur i długo, gorzko płakałam.

Marta od tego czasu była niezmiernie czułą i dobrą dla mnie, alem ja tego widzieć nie chciała. Zamykałam się przed nią tak, jak ona to przedemną uczyniła — i coraz głębiéj wciskało się do méj duszy uczucie, że nikt mojéj miłości nie pragnie.

Rozumie się, że nie samo to zajście z Martą było wydarzeniem, które stanowczo na mój umysł wpłynęło. Takie młode stworzenie daje się zbyt szybko unosić powodzi nowych wrażeń, aby chwila jedna trwale na nie działać mogła—i nie byłoby potrzeba długiego czasu, żebym o téj pierwszéj ważniejszéj przykrości zapomniała. Ale w pamięci mojéj utrwaliła się myśl, że nikt nie ma zaufania do mnie, że nikt nie chce podzielić ze mną swego strapienia i—że na długo jeszcze mam być pozostawiona sobie i moim książkom. Zatapiałam się téż z coraz większém upodobaniem w skarby poetów, z których żaden nie wypędzał mnie ze swéj świątnicy.

Uczyłam się z Tassem być nieszczęśliwą a wyniosłą; zdawało mi się, że wiem czego szukał Manfred na lodowych szczytach; z Teklą zawodziłam żale za ziemskiém szczęściem, żyłam z nią i kochałam. Przed wszystkimi jednak, Ifigenia była moim ideałem.

Przejść przez życie ze wzniosłém wyrzeczeniem się wszelkich pragnień, jako błogosławiąca innych kapłanka, — zdawało mi się być wytkniętém powołaniem mojém i gdybym mogła jeszcze do jego dopełnienia nosić owe białe szaty greckie, których szlachetne draperye pewnie doskonale pasowałyby do mojéj wcześnie rozwiniętéj postaci, moja szczęśliwość byłaby zupełna.

Po za têm byłam w owych latach upartą, łatwo unoszącą się dziewczyną, która lubiła na wszystkie strony rzucać niegrzeczne odpowiedzi — i miała zwyczaj podczas obiadu wstawać od stołu, jeżeli cośkolwiek nie było po jéj myśli.

Pomimo to, a może właśnie dlatego, byłam pieszczona przez wszystkich, a moja wola, o ile wola dziecka może mieć znaczenie, była w całym domu rozstrzygającą.

W piętnastym roku życia byłam już tak wysoką i silną, jak dziś, i nieraz znalazł się jaki uprzejmy gospodarz wiejski, który mi

powiedział, żem o wiele piękniejsza od wszystkich okolicznych panien, od Marty zaś w szczególności. To mnie oburzało, bo moja próżność drzémała jeszcze.

W owym czasie, śniło mi się pewnéj nocy, że Marta umarła. Kiedy się przebudziłam, poduszki moje były łzami zalane. Jak winowajca kręciłam się tego dnia około siostry, jakbym ciężką winę miała przeciw niéj na sumieniu.

Po obiedzie Marta położyła się na kanapie, bo znów na ból głowy cierpiała. Kiedy wszedłszy do pokoju zobaczyłam jéj woskowobladą twarzyczkę, z zamkniętemi, wpadłemi oczyma, zwieszoną przez poręcz kanapy, drgnęłam jak piorunem rażona. Zdawało mi się, że ją nieżywą widzę przed sobą.

Upadłam przed kanapą na kolana i okryłam usta i czoło Marty gorącemi pocałunkami.

Patrzyła we mnie dziwnie rozjaśnionym wzrokiem, jakby w jakieś widzenie senne,—dopiéro z powracającą przytomnością, oblicze jéj stawało się znów poważne i smutne, jak zwykle.

— No, no, dzieciaku, co ci się stało? — odezwała się — to przecież nie w twoim zwyczaju!

Łagodnie odsunęła mnie.

— A więc i teraz mam być odepchnięta!—pomyślałam; ale kiedy, obrażona, chciałam się wymknąć, dogoniła mnie, uściskała i szepnęła: „Bardzo, bardzo cię kocham, siostrzyczko!“

Wieczorem tegoż dnia spostrzegłam, że Marta raz poraz uśmiecha się do siebie, a ponieważ nigdy się dotąd to nie zdarzało, uderzyło téż i ojca. Ujął jéj głowę w obie ręce i zapytał:

— Cóż to, Marciu? wyglądasz w téj chwili jak kwiatek!

Oblała się purpurą, a ja uchwyciłam pod stołem jéj rękę i uściskiem chciałam jéj powiedzieć: Wiem już, co cię tak uszczęśliwia!

Na drugi dzień przyszedł ojciec do śniadania z otwartym listem w ręku.

— Obcy ptak przyfrunie do naszego gniazda — rzekł uśmiechając się i patrząc z boku na Martę—zgadnijcie jak się nazywa?

Zdawało mi się, że jeszcze trochę przybladła i słyszałam, jak filiżanka, którą trzymała w ręku, zabrzęczała zlekka.

— Czy ten ptak był już kiedy w naszém gnieździe? — zapytała powoli i cicho, nie podnosząc oczu.

— Naturalnie, że był!—śmiał się ojciec.

— W takim razie... to... Robert Hellinger—odpowiedziała i odetchnęła głęboko, jak po ciężkiéj pracy.

— Do pioruna, dziewczyno! a to zgadłaś odrazu! — zawołał ojciec i pogroził jéj palcem.

Ale ona milczała i wyszła powoli ociężałym krokiem. Nie pokazała się téż tego południa.

Co do mnie, odwiedziny kuzyna nie obchodziły mnie ani trochę. Obraz jego, jaki niewyraźnie pozostał w méj pamięci, nie był wcale tego rodzaju, żeby mógł w romantycznéj głowie piętnastoletniéj zbudzić tęskne marzenia. Musiałam jednak zauważyć niepokój i przygotowania Marty.

Następnego zaraz dnia, raniutko, usłyszałam jak szybkiemi krokami przebiegała wzdłuż i wszerz pokoje gościnne. Poszłam za nią, bo byłam ciekawa dowiedzieć się, co téż ona robi w tych zwykle pustych, zamkniętych kątach.

Pootwiérała wszystkie okna, pozdéjmowała pościel, porozsuwała firanki i w pośród tego nieładu biegała, na wpół ubrana, z jednego pokoju do drugiego, głowę ujęła w obie ręce i śmiała się do siebie, a przez ten jéj śmiech płacz przebijał, kiedy zapytałam:

— Co ty tu robisz, Marto? — drgnęła, spojrzała na mnie prawie nieprzytomnie, jakby się zastanawiała, gdzie się znajduje.

— Widzisz przecie... ścielę łóżko...—wyjąkała po chwili.

— Dla kogo?—zapytałam.

— Czyż nie wiész, że ma ktoś przyjechać—odrzekła.

— Pewnie, ogromnie się z tego cieszysz — zauważyłam, wzruszając lekko ramionami.

— Dlaczegóż nie mam się cieszyć, wszakże to nasz kuzyn...

— I więcéj nic?—zapytałam, grożąc palcem tak, jak widziałam, że to ojciec wczoraj zrobił.

Wtedy nagle spoważniała bardzo i spojrzała na mnie swemi dużemi, smutnemi oczyma tak lękliwie jakoś i z takim wyrzutem, że czułam, jak mi krew gorąca do twarzy uderza. Odwróciłam się, a że nie mogłam dłużéj obojętnéj udawać, wymknęłam się na korytarz.

Od téj chwili zacząwszy, dał mi kuzyn Robert wiele do myślenia. Było już dla mnie jasném, że się tych dwoje kochało i przejęta tajemniczą obawą, — jaką myśl o tém nieznaném, wielkiém uczuciu, napełnia połowę dzieci mego wieku, usiłowałam wyobrazić sobie, jak to ta miłość pomiędzy Robertem a Martą powstała. Przebiegałam zdziczałe gaje parku i zdawało mi się, że widzę, jak się tu potajemnie przechadzali; chowałam się w cieniste, mroczne altany, — tutaj schodzili się przy świetle księżyca, myślałam; siadałam na wilgotnych, darniowych ławeczkach i wyobrażałam sobie, że tu znów odpoczywali we dwoje.

Cały ogród, dom, podwórze, wszystko, com znała od początku mego życia, zajaśniało mi nagle w nowém świetle. Jakiś purpurowy

odblask ponad wszystkiém się roztoczył. Cudowne życie w nim się budziło, — a tak bardzo zatapiałam się w tych marzeniach, że mi się w końcu zdawało, iż to ja sama wrażenia te i uczucia przechodzę. Kiedy Martę znów zobaczyłam, nie śmiałam oczu na nią podnieść, jakbym w głębi serca przechowywała tajemnicę, której ona odgadnąć nie była powinna. Ale, gdy nazajutrz rano wytłómaczyłam sobie jasno, że przecież ja tylko marzę o tém, co Marta naprawdę żywo odczuwa, niepokój mnie o nią ogarnął i z ciemnego kąta przypatrywałam się jéj wylękniona, badawczym wzrokiem, jakby komuś z obcego świata.

Zauważyłam dobrze, że prawie co pięć minut miała coś do załatwienia na werendzie lub na podwórzu, skąd widać było wjazdową bramę, ale nie zadawałam jéj żadnych pytań.

Był to cudowny, jasny dzień wrześniowy. Ponad lasem i niwą zawisły czerwonawe cienie, srebrne niteczki kołysały się w powietrzu, nad rzeczką unosiły się białe opary, — cicho, spokojnie było wzdłuż i wszerz. Poszłam do lasu. W ogrodzie nie czułam się dosyć samotną by się w moich marzeniach zatopić. Pomiędzy gałęźmi brzóz szumiały pożółkłe już liście, paproć opuszczała osłabłe ramiona jak zraniony człowiek, który z trudem usiłuje utrzymać się prosto.

Przejął mnie smutek wielki.

— Nadchodzi czas ogólnéj śmierci,—powiedziałam sobie—komu téż przeznaczoném będzie umrzéć z naturą razem?

I przesunęło mi przez myśl, ile to ja żartów nasłuchałam się i naczytałam o sentymentalizmie wrażeń jesiennych. Mnie nie wyszydzą, nie wyśmieją, już ja będę umiała ukryć to, co czuję. A zresztą, czyż to kogo obchodzi? Tak, niechaj mnie mają za zimną i bez serca, niechaj ja tylko sama wiem, jak moje serce gorąco dla innych bije i jak spragnione jest uczuć wzajemnych.

Ach, był to błogi, jasny dzień, z rozkoszą poświęciłabym wszystko, co mi z życia pozostaje, gdyby mi jeszcze raz danêm było przemarzyć dzień taki.

Wieczorem — pamiętam, jakby to było wczoraj — okna były otwarte, wijące się gałązki dzikiego wina cicho kołysał lekki podmuch wiatru, a z daleka do mego ucha dochodził tentent koni, brzęk lanc i szabli. Widziéć nic nie mogłam, bo ciemność przesłoniła wszystko, 'ale wiedziałam, że to rota strażników objeżdżająca rów pograniczny.

Zamknęłam oczy i marzyłam, że to zastęp rycerzy przybywa, na przedzie królewicz, piękny i młody, na białym, jak śnieg, rumaku. Ja jestem kasztelanką i pędzę życie w komnatach na wieży zamczy-

ska, a sława mojéj urody przedostała się daleko, daleko, poprzez wszystkie kraje, tak, że królewicz, w otoczeniu wybranego zastępu zbrojnych, wyruszył w drogę, żeby mnie wyszukać i od starego rycerza, mego ojca, za żonę zażądać.

W tém przypomniała mi się Marta i czy jako starsza nie miałaby do królewiczowskiéj ręki pierwszeństwa. Ależ ona kocha przecież swojego Roberta, pocieszyłam się, jéj nie potrzebny żaden królewicz.

I marzyłam daléj, czém obdarzyłabym moich blizkich, gdybym na tronie zasiadła. A więc dla Marty mam cudne klejnoty, dla ojca—wielką żelazną skrzynię złota, a dla mamy—pudło ananasowych cukierków.

Brzęk lanc zamarł w oddali, mój sen rozwiał się.

* * *

Następnego dnia on przybył. W chwili, kiedy powóz wtaczał się w bramę podwórza, Marta stała zajęta przy kominie. Pobiegłam do niéj i szepnęłam jéj do ucha:

— Marto, zdaje mi się, że on już jest. — Ale ona natychmiast dała mi nauczkę, żem na jéj powiernicę jeszcze nie dorosła, popatrzyła na mnie przez chwilę i zapytała:

— O kim mówisz?

— No, o kimże, jeżeli nie o kuzynie Robercie?

— Czemuż mówisz mi to tak po cichu?

A kiedy za odpowiedź wzruszyłam tylko ramionami, podniosła łyżkę do szumowania, którą była upuściła i spokojnie mieszała w rondlu daléj.

— Czy to taka cała twoja radość, Marto? — zapytałam, pogardliwie ściągając usta.

Ona odsunęła mnie lewą ręką na stronę i powiedziała żywiéj, niż to było w jéj zwyczaju:

— Proszę cię, dziecko, odejdź.

I tak się stało, że kuzyna Roberta, zamiast niéj, ja przyjęłam.

Kiedy wyszłam na ganek, wysiadał już z powozu.

— Nie wiele lepiéj wygląda od ojca—pomyślałam.

Był to olbrzymiego wzrostu mężczyzna, z wydatną piersią i szerokiemi ramionami, twarzą opaloną silnie i okoloną ostrą blond brodą, zupełnie taką samą, jak zwykli starzy chłopi nosić.

Wbiegł na schody i uśmiechnął się do mnie. „Dzień dobry, Marto!“—zawołał.

Wtém nagle zatrzymał się, zmierzył mnie od stóp do głowy i przystanął na środku schodów.

— Nie nazywam się Marta, tylko Olga, — rzekłam nieco szorstko.

— No, więc i cóż? — podszedł ku mnie i podał mi twardą, spracowaną rękę.

— Jakiż to nieokrzesany człowiek!—pomyślałam.

Gdyśmy do pokoju weszli, obejrzał mnie znów uważnie i odezwał się:

— Byłaś jeszcze maleńkiém dzieckiem, Olgo, kiedy stąd odjechałem, a teraz—taka jesteś do Marty podobna...

— Ja do Marty? — myślę — czyżem ja kiedy była do niéj podobna?

— Tylko że—mówił daléj—taka, jak ty, wysoka nie była i włosy miała jaśniejsze, i nie była taka dumna i... i... nie miała takich poważnych oczu...

— Ach, Boże! — pomyślałam — spójrzno ty teraz w Marty oczy.

W téj chwili otworzyły się drzwi od kuchni i powoli, powolutku, przez szparę nie szerszą od ręki, weszła ona. Białego fartucha nie zdjęła. Twarz jéj była równie biała, jak fartuch, a wargi jéj drżały.

— Witaj, Robercie! — odezwała się cicho za jego plecami, on stał jeszcze ciągle do mnie zwrócony.

Przy pierwszym dźwięku tego głosu odwrócił się szybko, jak błyskawica i pewnie tak z minutę stali naprzeciw siebie, nie ruszając się i nie mówiąc słowa.

Drżałam z oburzenia. Przez dwa dni czyhałam na tę chwilę i oto, jak byłam zawiedziona w moich oczekiwaniach.

Wreszcie zbliżyli się do siebie i pocałowali się. Ale i ten pocałunek nie podobał mi się wcale. Nie mógłby inaczéj i mnie pocałować, tylko że właśnie tego nie uczynił—dodałam w myśli.

I znowu milczeli oboje,—mnie zaś serce tak gwałtownie biło, że musiałam obie ręce do piersi przycisnąć.

Na koniec Marta przemówiła:

— Czy nie zechcesz usiąść, Robercie?

Kiwnął głową i rzucił się w róg kanapy, aż zatrzeszczała pod nim. Przyglądał się Marcie i po długiéj chwili rzekł:

— Ty się bardzo zmieniłaś, Marto.

Niewypowiedzianie bolesny uśmiech osiadł na ustach Marty.

— Tak, bardzo się zmieniłam—wyrzekła.

I znów milczeli. Widocznie potrzebował dużo czasu, żeby dla swych myśli dobrać słowa.

— Dlaczego nie dowiedziałem się, żeś była słaba?—zapytał.

— Nie wiem—odpowiedziała z pewną goryczą.

— Nie mogłaś mi o tém napisać?

— A czyż my pisujemy do siebie?

Posunął gniewnie stołem.

— Ale kiedy komu coś brakuje, dolega, to... to... — nie wiedział co dodać.

Zaciskałam pięści. Tak chętnie kończyłabym za niego.

— Co tam...—odezwała się Marta, zresztą sami nieraz najmniéj wiemy co nam dolega.

— Myślę, że sami najlepiéj wiedziéć byśmy powinni.

—A jeżeli sądzimy, że nie warto na to zważać?

Tym razem mówiła już bez goryczy, skromnie, cicho, jak zwykła była mówić. Każde jéj slowo raniło mnie.

— O, Marto! czemużeś mnie od siebie odepchnęła? — wołał głos jakiś we mnie.

Ona tymczasem rozśmiała się sucho i zaczęła Roberta pytać co u niego w domu słychać, co porabiają wuj i ciotka.

— Naprzód radbym wiedziéć, co moja ciotka i mój wuj porabiają — odpowiedział i obejrzał się w około po pokoju.

Byłam tak uszczęśliwiona, widząc, że się ten nieznośny przymus rozwiewa, żem, przy tych nieco zabawnych oględzinach, wybuchła głośnym śmiechem.

Oboje zmierzyli mnie zdumionym wzrokiem, jakby dopiéro teraz przypomnieli sobie o mojéj obecności.

— A cóż mówisz na nasze dziecko? — zapytała Marta, biorąc mnie po macierzyńsku za rękę—jakże ci się spodobało?

— Teraz już lepiéj — odrzekł, przyglądając mi się — przedtém była za sztywna.

— Przecież nie mogłam zaraz rzucić ci się na szyję— tłómaczyłam się.

— Dlaczegóż nie — uśmiechnął się — czy myślisz, że tam nie znajdziesz miejsca dla siebie?

— Nie—odpowiedziałam, tak, aby zaraz wiedział, czego się ma ze mną trzymać—ale myślę, że to nie jest miejsce dla *mnie.*

Zmieszał się i rzekł, kręcąc głową:

— Do pioruna, a to cięta mała!

Chciałam coś powiedziéć, gdy w tém wszedł ojciec.

Przy stole na chwilę Marty i Roberta nie spuszczałam z oka, ale

nic podejrzanego nie dostrzegłam, zaledwie że się ich spojrzenia od czasu do czasu krzyżowały.

— Później, kiedy rodzice pójdą spać—myślałam—będą pewnie starali się wymknąć. — I w tém się omyliłam. Pozostali spokojnie w bawialnym pokoju. On siedział w rogu kanapy i palił cygaro, — ona, o pięć kroków daléj, przy oknie, zajęta szydełkową robótką.

— Może są zbyt nieśmiali—myślałam—i czekają aż sposobność sama się nadarzy.

Przez pół godziny siedziałam z bijącém sercem w moim pokoju i liczyłam minuty do chwili, w któréj uznam sama, że mi już wolno zejść.

— Teraz podchodzi do niéj — wyobrażałam sobie — i za ręce ją chwyta, i długo w oczy jéj patrzy... „Czy kochasz mnie jeszcze, Marto?“—pyta z niepokojem, a ona, zarumieniona, ze łzami w oczach na pierś mu upadnie.

Przymknęłam oczy i westchnęłam. W skroniach mi tętniało, fantazya moja upajała mnie coraz wiecéj — i wyobrażałam sobie daléj, jak on przed nią na kolana upadnie i pożerając ją wzrokiem, szeptać będzie gorące przysięgi miłości i wiary.

Wiedziałam wszystko na pamięć, co on jéj powié i nie mniéj, co ona mu odrzeknie. Mogłabym im obojgu podpowiadać.

Kiedy już pół godziny przeszło, zaczęłam z sobą radzić, czyby im jeszcze kilku chwil nie darować. Byłam niby ich losem i jako taki, z uśmiechem obsypywałam ich swemi łaskami.

— Niechaj do dna wychylą tę czarę rozkoszy! — zadecydowałam i postanowiłam przejść się po ogrodzie, ale ciekawość ciągnęła mnie tak silnie, żem się w połowie drogi do domu zawróciła.

Cicho prześliznęłam się do drzwi. Zaledwie zdobyłam się na odwagę, aby klamkę nacisnąć. Myśl, co ja tam zobaczę? omal dusiła mnie.

I cóżem zobaczyła?

Siedział w tym samym rogu kanapy, gdzie go zostawiłam, cygaro wypalił do ździebełeczka, a w jéj szydełkowéj robocie przybył kwiatek, którego tam przedtém nie było.

— Dlaczego tak pogardliwie wzruszasz ramionami? — zwróciła się do mnie Marta, Robert zaś dodał:

— Zdaje mi się, że nie zasłużyłem sobie na przychylność łaskawéj panny Olgi!

A więc za moje dobre chęci tylko drwiny! — pomyślałam i trzasnęłam drzwiami za sobą.

Téj nocy, szalona, nie spałam do rana. Przemyśliwałam nad

tém, jakby to ja, Olga Bremer, na miejscu tych dwojga postępowała.

Raz byłam Robertem, raz Martą, czułam, mówiłam, ruszałam się za nich, a w ciszy mego sypialnego pokoju brzmiał namiętny szept gorących przysiąg i zaklęć.

Ponieważ jednak dla mnie to wszystko było zbyt prostém, dośpiewałam sobie cały szereg przeszkód. Opór rodziców, nowe schadzki nad pogranicznym rowem, niespodziewane zejście przez straż graniczną, pojmanie, przekleństwo ojca, ucieczka i w końcu wspólna śmierć, bo tylko ta zdawała mi się być właściwém i godném zakończeniem prawdziwéj miłości.

Kiedy nazajutrz wstałam, szumiało mi w głowie, a przed oczami przebiegały zielone i żółte światełka.

Na mój widok Marta załamała ręce. Robert, który znów siedział w rogu kanapy, zasłonięty gęstemi kłębami dymu, zapytał:

— Cóżeś ty téj nocy robiła, Olgo? tańczyłaś czy płakałaś?

— Tańczyłam — odpowiedziałam — na łyséj górze, z czarownicami.

— Że téż to z téj małéj nie można rozsądnego słowa wydobyć— rzekł kręcąc głową.

— Jakie pytanie, taka odpowiedź—odparłam.

— O, już siedzę cicho, jak mysz pod miotłą — roześmiał się -- boję się, żeby mi od samego rana takiéj kurty nie skrojono, jakiéj jeszczem w życiu nie widział.

Marta spojrzała na mnie z wyrzutem. Uciekłam do ogrodu, tam, gdzie było najciemniéj i ukryłam pałającą twarz w zgarnięty stos chłodnych, suchych liści.

— Taki to już mój los—skarżyłam się przed sobą—niezrozumiana przez nikogo, zawsze samotna i wzgardzona, zwiędnę w tym kącie, kiedy inni w około mnie łączą się i gorącym pocałunkiem gaszą pragnienie miłości.

I żeby chociaż tych dwoje zgodziło się nadal iść za lotem mojéj wyobraźni! Ale, im dłużéj Robert przebywał w naszym domu, im pilniéj obserwowałam obcowanie z nim Marty, tém bardziéj się przekonywałam, że wszelkie moje zajmowanie się niemi, bezpotrzebnie było marnowane.

Ona—cicha, lękliwa, zależna od trosk codziennego życia, skrzętna, skromna gosposia, on — ciężki, pospolity, niezdolny do żadnéj namiętności, iście do gospodarstwa wiejskiego stworzony.

Filozofowałam, analizowałam tak długo, aż gorzkie uczucie własnéj niemocy i bezpożyteczności, przepełniło całą moją duszę.

Wtedy zdarzył się wypadek, który mnie nietylko pojednawczo usposobił, — ale i moje przekonania o kuzynie Robercie na inną drogę skierował.

* * *

Było to czwartego dnia jego u nas pobytu. Podszedł do mnie i rzekł niespodzianie:

— Mała, mam prośbę do ciebie, pojedź ze mną!

— Zbyt wielki zaszczyt!—odparłam.

— Nie, nie bądź taka harda! — roześmiał się jakoś gniewnie. — Sprobujmy być z sobą przez pół godziny w zgodzie. Dobrze?

Jego dobrotliwość ujęła mnie i przystałam.

Kiedyśmy przejeżdżali przez bramę podwórza, Marta stała w oknie od kuchni i powiewała ku nam białym fartuchem.

— Widzisz, Marto—myślałam w duchu—gdybym to ja była jego kochanką, pojechałabym tak z nim na koniec świata.

Miałam jeszcze niewyraźne pojęcie o tém, co to jest nazywać się czyjąś kochanką i nie wahałam się Marcie godność tę przypisać.

— Jeździ dobrze — myślałam daléj — mój królewicz nie jechałby lepiéj.

Z dumą poprawiłam się w siodle, owładnęło mnie jakieś nieznane, błogie uczucie, które przyjemnym dreszczem przebiegło moje nerwy.

Nie mówił nic, tylko od czasu do czasu odwrócił się i skinął mi przyjaźnie, jakby uważał za potrzebne o naszéj zgodzie co pięć minut na nowo się upewniać. Zbyteczna troska! daleką byłam w téj chwili od chęci naruszenia naszego paktu.

Kiedyśmy już tak z pół godziny jechali tęgim kłusem, wstrzymał naraz kasztana i zapytał:

— No cóż, mała?

— A czego chcesz, duży?

— Może zawrócimy?

— Ani myślę!

Nie miałam wcale ochoty pozbawiać się tak łatwo przyjemności, jaką sprawiała mi ta jazda.

— A więc, do Iłowskiego lasu!—zawołał, wskazując na ciemny pas, rysujący się na dalekim horyzoncie.

Skinęłam głową i wymierzyłam koniowi taki potężny raz szpicrutą, że aż stanął dęba, poczém w szalonych susach popędził daléj.

— Moje uszanowanie dla piętnastoletniéj panny! — usłyszałam głos za sobą.

— No, no, szesnastoletniéj!—odpowiedziałam, odwracając się,— a jak jeszcze raz będziesz się ze mnie wyśmiewał, to koniec z naszą zgodą!

— Na miłość Boską! nie, nie... już nie będę! — śmiał się i jechaliśmy daléj w milczeniu.

Las Iłowski przecinała maleńka rzeczułka, tak wązka, że gałęzie olch, rosnących wzdłuż obudwu jéj stromych brzegów, splatały się z sobą i tworzyły — ponad ciemną taflą wody—wysokie, zielone sklepienie, przerywane jedynie przy zakrętach gęstą ścianą z liści.

Z dziecinnych jeszcze czasów znałam tu, blisko brzegu wody, niejedno tajemnicze schronienie, gdzie, czytając lub marząc, przesiedziałam długie godziny, kiedy mój koń pasł się spokojnie w lesie.

Gdyśmy powoli pomiędzy pniami jadąc, ku rzeczce zmierzali, zapragnęłam pokazać Robertowi jedną z moich świątyń.

— Chcę tutaj zsiąść!—zawołałam do niego—pomóż mi!

Zeskoczył z konia i pośpieszył wykonać mój rozkaz.

— Gdzie chcesz iść?—zapytał.

— Zobaczysz—odrzekłam—tylko wprzódy puść konie.

— Jeszczeby tego brakowało! może ty i zająca umiész złapać, jak mu soli na ogon nasypiesz?

Zrobił ruch jakby chciał cugle do pnia przywiązać.

— Puść! — zawołałam, a że mnie nie słuchał, rozgniéwana, uderzyłam tak silnie konie, że popędziły do lasu, zanim Robert zdążył mocniéj za cugle uchwycić.

— I co teraz będzie? — zapytał, kładąc ręce w kieszenie — czy myślisz, że się dadzą złapać?

— Tobie, nie!—śmiałam się. Byłam zupełnie pewna moich ulubieńców.

I kiedy na lekkie gwiznięcie z moich ust, obadwa konie z daleka przybiegły i nozdrzami delikatnie po szyi méj wietrząc, na pieszczotę czekały, — wezbrało mi serce dumą, że są przecież na świecie stworzenia, choćby tylko takie bezrozumne, które się przed moją władzą korzą i są mi zupełnie oddane. Z tryumfem patrzyłam na Roberta; ku mojemu niezadowoleniu jednak zauważyłam, że mu jeszcze wcale nie zaimponowałam.

— Brawo, mała! — zawołał tylko, nic więcéj — poklepał mnie przytém po ojcowsku po ramieniu i rzucił się niedbale na trawę.

Promienie słońca, które się przez gałęzie drzew przedzierały, jaskrawo migotały w jego brodzie. Wydał mi się jakimś odpo-

czywającym olbrzymem, podobnym do tych, jakich opisują północne sagi.

I kiedy mu się tak przyglądałam, snując w duszy romantyczne legendy, on, w jednéj chwili, strasznie prozaiczném ziewnięciem na ziemię mnie ściągnął.

— Ja tu nie chcę zostać, kuzynie!—zawołałam.

— Nie bądź głupia, mała—odpowiedział, zamykając oczy—zrób tak jak ja, prześpij się!

To obudziło nagłą wesołość we mnie. Poskoczyłam do Roberta i silnie potrząsnęłam go za kołnierz.

Chwycił za moją sukienkę, wymknęłam się, — skoczył na nogi i chciał mnie złapać.

Spokojnie zbliżyłam się do niego.

— Chodź—powiedziałam.

I zaprowadziłam go przez gęste ciernie, na strome urwisko, u stóp którego lśniła głęboka woda, niby czarne lustro. Ponad wystającym, kamiennym odłamem, powoje i inne pnące rośliny utworzyły naturalną altanę, któréj cień, nawet w jasne południe, był nieprzejrzany.

Do téj altany zaprowadziłam go.

— Do kroćset, jakże tu pięknie! — zawołał i wyciągnął się wygodnie na kamieniu, tak, że jego nogi dotykały prawie wody.

— Chodź, usiądź przy mnie — rzekł — jest dosyć miejsca na dwoje.

Usiadłam tak, że mogłam z góry patrzéć na niego.

Udawał, że śpi, ale od czasu do czasu z nawpół przymkniętych powiek, spoglądał ku mnie.

I nagle przyszła mi myśl: cobym téż zrobiła, gdybym była Martą? i tak się tego przelękłam, że mi krew gorącym strumieniem uderzyła do twarzy.

— Boisz się, mała?—zapytał.

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

— To chodź tutaj!

— Przecież i tak jestem przy tobie!

— Stań przedemną!

Stanęłam przed nim. Nogi moje dotykały już prawie płaskiéj krawędzi kamienia.

Nagle — wyprostował się, z szybkością błyskawicy objął mnie i w téjże saméj chwili zakołysałam się w powietrzu, ponad wodą.

Patrzyłam na niego i śmiałam się.

— Ty, ty...—mówił—tu nie ma żartów. Gdybym cię upuścił...

— Utonęłabym — upuść...

— Nie, przedtém jeszcze musisz mi się przyznać...

— Do czego?

— Za co ty mnie nie znosisz?

Odetchnęłam głęboko. Czułam, że moje podeszwy dotykały już powierzchni wody. Owładnęło mną rozkoszne uczucie dziwnéj jakiéjś niemocy.

— Ale ja... ciebie... znoszę—szepnęłam.

— Dlaczego więc dajesz mi takie szkaradne odpowiedzi?

— Bo... jestem źle wychowana dziewczyna!

— A, to ważny powód—roześmiał się, szybkim ruchem, jak piórko, uniósł mnie w górę. Stałam znów na kamieniu.

— Teraz usiądź i pomówimy rozsądnie.

Ujął mnie za rękę i mówił daléj:

— Widzisz, ja jestem prosty człowiek. Pracowałem wiele, a mało o dowcipie myślałem. Ty, z twoją lotną główką, zaraz z miejsca umiész mnie stropić, — dlatego, po prostu, boję się z tobą mówić. Wiem, że złą nie jesteś, ale jednak, widzisz — to nie uchodzi. Ja — jestem blisko dwanaście lat starszy od ciebie, tyś jeszcze prawie dziecko... No—cóż, czy mam słuszność?

— Tak, masz słuszność — odpowiedziałam cicho i dziwiłam się w duchu, gdzie się naraz moja zuchwałość podziała.

— Dlaczegóż więc tak ze mną postępowałaś?

— Bo chciałam się tobie spodobać — odrzekłam i odetchnęłam głęboko.

Spojrzał mi w oczy ździwiony.

— Bo chciałam ci pokazać, że nie jestem żadne głupie stworzenie, że głowę mam nie od parady... — zatrzymałam się zawstydzona.

— No, no—mruknął — a ja to rozumiałem zupełnie przeciwnie. Jak to dobrze, że posłuchałem rady Marty.

— Marty? a cóż ci ona radziła?

— Weź ją kiedy na stronę, — powiedziała mi Marta—i rozmów, wygadaj się z nią. Kogo ona nie znosi, tego—nienawidzi, a mnieby bolało, gdyby ciebie nie polubiła.

— Marta to powiedziała? — zapytałam i łzy nabiegły mi do oczu.—O, ty dobra, złota siostrzyczko!

— Tak, Marta to powiedziała, i jeszcze wiele więcéj, żeby ciebie obronić, wytłómaczyć. A ponieważ—kocham Martę...

— Kochasz ją?—przerwałam, chciwa usłyszéć więcéj.

— Tak, bardzo ją kocham — odpowiedział i patrzył zamyślony w wodę.

Serce biło mi tak mocno, że ledwie oddychać mogłam. A więc on, on mi ufał, on powierzał mi swoją tajemnicę! Mogłabym była zaraz rzucić mu się na szyję, taką wdzięczność czułam dla niego.

— A czy ona wié o tém?—wypytywałam.

— Pewnie wié, sądzę, iż to się ukryć nie da...

— Jakto? ty jéj nie powiedziałeś tego?—wyjąkałam.

Potrząsnął smutnie głową.

Spadłam z wysokości moich marzeń. A więc altany naszego ogrodu nigdy nie były schronieniem dla zakochanych? Księżyc, który świecił przez gałęzie gęstych gajów, nigdy nie był świadkiem tajemniczych pocałunków? Czczym dymem tylko mają być wszystkie moje rojenia?

I wśród mego rozczarowania uczułam litość głęboką dla tego olbrzyma, który bezradnie, jak mały chłopiec, siedział obok mnie na kamieniu. Poprzysięgłam sobie, że nie darmo powierzył się méj opiece.

— Dlaczegożeś milczał?—pytałam.

Spojrzał na mnie nieco niedowierzająco i zaczął, oddychając ciężko:

— Widzisz, Olgo, kiedy byłem jeszcze młodym, głupim chłopcem — nie miałem odwagi do gadania. Gdy się jest bardzo młodym, to już przez to samo jest się szczęśliwym — i gdy uda się ukradkiem rączkę uścisnąć to i nie pragnie się więcéj... nie myśli się, że małżeństwo... ho, ale ty przecież tego nie rozumiész...

— Kto wié? — odpowiedziałam z całą naiwnością — wiele już o tém czytałam.

— A więc — ciągnął daléj — byłem wtedy prawie taki mądry, jak ty w téj chwili. A teraz — teraz... każde słowo, które do Marty mówię, krępuje mnie, wiąże, jakby żelazną obręczą...

— To ty nie chcesz być związanym?—zapytałam zdziwiona.

— Nie mogę! — zawołał — nie mogę! nie wiem, czy ją uszczęśliwić zdołam...

— No, rozumié się, jeżeli ty tego nie wiész—rzekłam, pogardliwie ściągając usta, a w duchu wywnioskowałam: — jeżeli on tego nie wié, to znaczy, że jéj nie kocha.

On jednak zerwał się z błyszczącemi oczyma.

— Zrozumże mnie dobrze, mała! — zawołał — gdyby to odemnie zależało, niczegobym nie pragnął przez całe życie, jak tylko—na rę-

kach ją nosić, żeby jéj noga nie potknęła się o żaden kamień... Ale— ta nędza, o, ta nędza!

I targał włosy z taką rozpaczą, żem się aż o niego przelękła. Nie przypuszczałam nigdy, żeby ten spokojny, rozważny człowiek mógł się tak namiętnie unieść.

— Opowiédz mi wszystko, Robercie—odezwałam się, kładąc rękę na jego ramieniu—ulży to twojemu sercu.

— Nie mogę—wyszeptał—nie mogę.

— Dlaczego?

— Boby to było przykre i dla ciebie. Powiem tylko, że Marta jest wątłe, delikatne, czułe stworzenie, że nie oparłoby się téj nawale trosk i niepowodzeń, jakaby na nią spadła. Złamałaby się, jak słaby kłos, przy pierwszém uderzeniu burzy. I cóż mi pozostanie, jeżeli w kilka lat po ślubie zaniosą ją na cmentarz?

Zimny dreszcz mnie przejmuje, gdy pomyślę, jak się to jego przeczucie sprawdziło, ale wtenczas nic mnie nie ostrzegało, czułam tylko nieprzepartą ochotę, téj—zbyt dla mnie prozaicznéj miłości, nadać możliwie romantyczny kierunek. Niestety, na razie, nie wiele było można zrobić. Przybrałam poważną, przemądrzałą minę i przeszukiwałam w pamięci niektóre z tych frazesów, jakiemi czcigodni powiernicy lub wróżki zwykli pocieszać nieszczęśliwych kochanków i krzepić ich na drogę do dalszéj wytrwałości.

A Robert, to wielkie dziecko, pił chciwie te niedorzeczne słowa.

— Ale, czyż ona będzie mieć tyle cierpliwości? — zapytał z niepokojem.

— Będzie, wierz mi! — zawołałam gorąco — czekała tak dlugo, to może jeszcze rok lub dwa poczekać. Zobaczysz, jak chętnie się zgodzi...

— A gdyby i późniéj nic z tego nie było? — przerwał mi—gdybym jéj nadzieje zawiódł, gdybym z jéj sercem igrał lekkomyślnie? Nie, nie będę mówił! raczéjbym sobie język uciął!

— Kiedy nie chcesz mówić, to pocóżeś przyjechał? — zapytałam.

Bóg wié, skąd mnie, dzieciakowi, pytanie to do głowy przyszło. Wymawiając je, czułam niewyraźnie, że byłam okrutną, ale już było za późno. Widziałam, jak Robert zbladł, czułam, jak jego gorący oddech ciężkiém westchnieniem wzbierał.

— Jestem uczciwym człowiekiem, Olgo — przemówił — nie powinnaś mnie tak dręczyć. Ale, ponieważ pytałaś, więc ci odpowiem. Przyjechałem, bom dłużéj życia nie mógł znieść bez niéj, bo chciałem w jéj widoku zaczerpnąć pociechy i siły na przyszłe,ciężkie czasy,

i bo, bo w duszy przechowywałem cichą nadzieję, że może tutaj rzeczy inaczéj stoją i okaże się możliwém by ona za mną poszła...

— I to się nie da?

— Nie! nie pytaj dlaczego. Wierz mi, gdy mówię, że nie.

Nagle schylił się ku mnie, pochwycił moje obie ręce i tak z głębi duszy powiedział:

— Widzisz, Olgo, z naszéj zgody więcéj się zrobiło, niżeśmy sami przed godziną przypuszczali. Czy będziesz stać przy mnie wiernie i pomagać mi, ile ci siły pozwolą?

— Będę — odpowiedziałam uroczyście.

— Wierzę ci, ty już nie jesteś dzieckiem, jesteś dzielną, rozumną dziewczyną i dotrzymasz tego, czego się podejmujesz. Czy zechcesz strzedz Martę przed zwątpieniem, gdybym i teraz w milczeniu odjechał? czy zechcesz?

— Chcę — powtórzyłam.

— I napiszesz do mnie czasem, co u was słychać, jak się Marta miéwa, w jakiém jest usposobieniu, napiszesz?

— Napiszę — powtórzyłam po raz trzeci.

— No to chodź, pocałuj mnie i bądźmy dobrymi przyjaciółmi na zawsze.

I pocałował mnie w usta.

W pięć minut późniéj siedzieliśmy już na koniach i śpieszyliśmy do domu. Zaczęło się już zciemniać.

— Długoście siedzieli, — powitała nas Marta, stojąc w białym fartuchu na werendzie i uśmiéchając się do nas zdaleka.

Kiedy ją zobaczyłam, bezmierna czułość wezbrała w mojém sercu. Pośpieszyłam do niéj i ucałowałam ją gwałtownie, ale już w téjże saméj chwili pożałowałam tego, zdawało mi się, że przez to starłam z moich ust jego pocałunek.

Odsunęłam się od siostry i wymknęłam się, przy wieczerzy nie spuszczałam oczu z Roberta. Czekałam, żeby mi przypomniał jakim znakiem nasze tajemne porozumienie. Ale on o tém nie myślał wcale. Tylko, wstając od stołu, uścisnął moją rękę zupełnie w inny sposób, niż to dotąd czynił.

Cieszyłam się, jak gdybym została wspaniale obdarowaną.

Nie mogłam się tego wieczora doczekać chwili, kiedy się do łóżka położę i świécę zagaszę. Zwykle, leżąc tak w ciemności poświęcałam godzinę lub więcéj marzeniom. Umiałam nie spać tak długo jak zechciałam i usypiać, gdy uznałam, że już czas po temu. Potrzebowałam tylko nos wcisnąć w poduszkę i już mnie nie było.

Tego dnia wyciągnęłam się w łóżku z taką rozkoszą, jakiéj nigdy jeszcze w życiu nie zaznałam. Zdawało mi się, że wszystkie życzenia moje się spełniły. Policzki pałały mi, a na ustach czułam jeszcze jakby lekki, drażniący podmuch pierwszego pocałunku, jaki mężczyzna (ojciec naturalnie się nie liczył), na nich złożył, a chociaż w gruncie rzeczy należał do innéj, cóż mnie to obchodziło? Byłam jeszcze tak młoda, że nie śmiałabym rościć do niego prawa dla siebie saméj.

I w tém popadłam znowu w swoje ulubione rozmyślania: jakbym to ja postępowała na miejscu Marty.

Nie potrzebowałam już targać moich marzeń, które mi się dziś rano próżnemi majaczeniami wydały, mogłam je w spokoju snuć daléj, to téż snułam je, snułam na jawie i we śnie, aż do dnia białego.

We dwa dni potém Robert odjechał. Przed pożegnaniem miał z Martą w ogrodzie długą rozmowę.

Bez cienia zazdrości widziałam ich znikających za drzewami i sprawiało mi niewysłowioną przyjemność, gdy przy furtce na straży stałam, żeby ich kto nie spłoszył.

Kiedy się znów ukazali, milczeli oboje i patrzyli na ziemię poważnie i smutnie.

Zanim do powozu wskoczył, znalazł sposobność, by pozostać chwilę ze mną samą. Wziął mię wtedy za rękę i szepnął:

— Czy mogę na to liczyć, że mnie ani słówkiem nie zdradzisz?

Skinęłam potakująco głową.

— I napiszesz — prędko?

— Napiszę.

— Dokąd mam przesłać odpowiedź?

Zlękłam się. O tém nie pomyślałam wcale. Czas naglił, naglił, naznaczyłam więc na chybił-trafił, adres pewnego, starego kramarza, który zawsze okazywał mi wiele życzliwości.

* * *

Dni mijały jednakowe, jeden po drugim — a przecież cały świat przybrał dla mnie nową, nieznaną dotąd postać.

Nie potrzebowałam już studyować miłości w książkach i w dal za nią wyglądać, żywa stanęła na mojéj drodze i roztaczała w około mnie swoje nęcące zagadki, a ja — o rozkoszy! ja brałam w tém wszystkiém udział! Po uszy zanurzałam się w intrydze, która miała zapewnić szczęście mojéj siostrze.

Marta, po odwiedzinach Roberta, jakby cudem na nowo odżyła, na nowo siły, kolory i zdrowie odzyskała. Niby wzmacniająca kąpiel

podziałały na nią te krótkie dni jego pobytu, a więcéj jeszcze cudowne źródło nadziei, z którego choć skrycie, niemniéj chciwie piła.

Wprawdzie, niezmącona wesołość dawnych czasów nie powracała—ta zdawała się bezpowrotnie, przez te siedem lat udręczenia, zatraconą — ani śpiéw, ani śmiéch głośny nie wybiegał z ust Marty, — ale na jéj rysach osiadł ciepły, miły jakiś odblask, jakby z głębi jéj duszy biło światło, które jéj twarzyczkę opromieniało. Nie włóczyła się już po domu powolnym, ociężałym krokiem, a kto się do niéj zbliżał, witany był przyjaznym uśmiechem.

W szczęściu swém potrzebowała i na innych więcéj miłości rozpraszać, garnęła się téż bliżéj teraz do mnie i próbowała nieraz dzielić moje ciche, samotne rozmyślania. Jeszcze serdeczniéj kochałam ją za to, — jeszcze częściéj modliłam się do Boga o błogosławieństwo dla niéj, ale nie zwierzałam się jéj nigdy. Dopóki z dobréj, własnéj woli nie otworzy szczerze serca przedemną, nie mogłam i nie chciałam przyznać się — jak głęboko jam w nie już zajrzała.

Nieraz chwytałam się na tém, że (jeśli tak rzec mogę) z macierzyńskiém prawie uczuciem na nią spoglądałam, bo odkąd z Robertem zamieniałam listy, wyobrażałam sobie, że to ja trzymam los Marty w ręku.

W mojéj dziecinnéj próżności, wydawałam się sobie czasem jakimś dobrym duchem, w białéj szacie, z gałązką palmową w ręku, którego uśmiéch szczęście wokoło rozsiéwa. A tymczasem rachowałam dni do nadejścia listu od Roberta i biegałam z zarumienioną twarzą, gdym go nakoniec nosiła na sercu.

Listy te, stały się taką moją serdeczną potrzebą, że nie pojmowałam wcale, jak ja przedtém bez nich żyć mogłam. Pod pozorem opowiadania o Marcie, umiałam bardzo zręcznie pocieszać Roberta i odsuwać od niego dręczące go niepokoje, czasami może dziecinnie, głupio -- czasem zaś poważnie bardzo. On był zadowolonym z mego paplania, w jakimkolwiek było ono tonie, a ja nie wymagałam więcéj. Byłam mu taka wdzięczna, że on mnie, niedorosłego podlotka, który musiał z pokoju wychodzić, gdy starsi o poważnych rzeczach rozmawiali, że on mnie wybrał za powiernicę w swojéj najserdeczniejszéj, najpoważniejszéj trosce! Czułam się niewypowiedzianie szczęśliwą i dumną z téj roli niby anioła opiekuńczego.

I tak wzrastałam pod wpływem téj miłości i z tą miłością w sercu, z któréj jednak nigdy — nawet okruszyny podjąć nie miałam.

. . . .

Z nadejściem jesieni zauważyłam w Marcie dziwny niepokój. Nieraz długo w nocy biegała po swoim pokoju, lub też siedziała w otwartém oknie, mówiła do siebie głośno i poruszała rękami gdy sądziła, że jest samą a przestraszała się gwałtownie, jeżeli się ją zaskoczyło niespodzianie.

Robertowi zdałam wierną sprawę z tego com zauważyła, dołączając przytém pytanie: czy nie pozwoli on w tym czasie przewidywać swego przybycia? zdawało mi się bowiem, że stan Marty wywołany był natężoném wyczekiwaniem.

Mogłam czuć się zadowoloną ze swéj szesnastoletniéj znajomości ludzi. Spostrzeżenia moje były trafne.

Głęboko skruszony, pisał mi Robert, że przy pożegnaniu wyraził nadzieję przybycia w jesieni z lepszą nieco myślą, ale omylił się. Bardziéj jeszcze niż przedtém nękają go kłopoty i długi, pracuje jak parobek a znikąd możności polepszenia swego bytu nie widzi:

— Wybawże ją przynajmniéj z męki oczekiwania — odpisałam mu — i objaśnij rodziców, jaki jest stan twoich interesów.

Posłuchał mnie bezwłocznie. We dwa dni przyniósł ojciec z kwaśną miną list, który na usposobienie Marty wywarł taki wpływ, żem się o nią naprawdę obawiać zaczęła.

Jakby jedném cięciem zniszczone zostało polepszenie, zyskane w ostatnich tygodniach. Miejsce jego zajęło znów owo beznadziejne, śmiertelne znużenie, które ją przed przybyciem Roberta w istny cień zamieniało. Zaczęła znowu chudnąć, blednąć, głębokie, niebieskie koła otaczały jéj oczy, znowu zażywała jakieś krople i widocznie cierpiała bardzo. Przybyła jeszcze niezmiernie wielka łatwość do płaczu; za najmniejszym powodem Marta wyléwała strumienie łez.

Tym razem jednak ojciec nie posłał po doktora, mógł sam dyagnozę postawić. Mama téż martwiła się o biédaczkę, naturalnie, o ile na to pozwalała coraz wzmagająca się ociężałość biédnéj naszéj mamy, nie dająca jéj ruszać się z kącika przy piecu, nawet dla niesienia pomocy choréj córce.

Co do mnie — pierwszy raz znalazłam sposobność pokazania w domu, że już nie jestem dzieckiem i że z mojém zdaniem, w ważniejszych sprawach, trzeba się także rachować.

Ciężar gospodarstwa wzięłam na swoje barki — i choć wszyscy uśmiechali się i nie chcieli się na to zgodzić, choć Marta powtarzała mi wielokrotnie, że nie ścierpi, abym ja, młodsza, od rządzenia ją usuwała, we dwa tygodnie potrafiłam tyle zdobyć, że wszyscy tak tańczyli jak ja im grałam. Były to jedyne czasy, w których ja z Martą gniéwałyśmy się niekiedy, musiała się jednak przekonać, że to,

co czyniłam, czyniłam dla niéj i w końcu pierwsza mi za to szczerze była wdzięczną.

Powoli przywykła słuchać mnie we wszystkiém, choć sama przed sobą nie uznawała mego wpływu, mówiąc, że dzieciom należy ustępować.

Ze stosunku z Robertem nauczyłam się teraz po raz pierwszy jak to z miłości można kłamać.

Przemilczałam zupełnie o smutnych następstwach, wywołanych jego listem. Tak, nie zarumieniłam się nawet, pisząc mu, że u nas w domu nic złego nie zaszło. Postąpiłam tak, bo rozważyłam, że prawda pogrążyłaby go w tysiące nowych udręczeń, któreby go tém silniéj przygniotły, że nie był w mocy im przeszkodzić. Ale nie łatwo mi było utrzymać lekki ton gawędy i często żart jakiś zamarł mi pod piórem.

I coraz smutniéj, smutniéj robiło się w naszym domu. Ojciec opuścił ręce, nieurodzaj zniszczył ostatnie jego nadzieje. Mama zrzędziła, bo nikt nie przychodził jéj rozerwać, a Marta więdła coraz bardziéj.

Zbliżało się Boże narodzenie, smutne, ponure, jakiego dotąd pogodny dom nasz jeszcze nie widział.

Przed zapaloną choinką, którą tym razem, zamiast Marty, ja sama ubierałam, staliśmy ze ściśnietém sercem, nie wiedząc wcale co mówić do siebie. Ja jedna starałam się zmusić do uśmiechu i usiłowałam chmury z czoła rozpędzić.

Ale nie znalazłam w nikim oddźwięku, w końcu podaliśmy sobie ręce na dobranoc i każdy poszedł do swego pokoju.

Kiedym się zbliżyła do Marty, która cicho w kącie siedziała i przyglądała się gasnącym już świéczkom na choince, uczułam nagle bolesne ściśnięcie serca, jakbym to ja siostrze krzywdę jakąś wyrządziła, którą naprawić powinnam. Nie rozumiałam tylko jasno, co to za krzywda być mogła.

— Niech ci Bóg zachowa twoje dzielne serce, moje dziecko, dziękuję ci za każdy śmiéch, który dziś na sobie wymogłaś.

Nie umiałam jéj odpowiedziéć. Owo poczuwanie się do jakiéjś niewyraźnéj winy, przeszkadzało mi.

Kiedy zostałam sama w moim pokoju, pomyślałam sobie: No teraz nacieszę się moją kolędą!

Wyjęłam z szufladki listy Roberta i postanowiłam odczytać je wszystkie po kolei.

Zawieja trzęsła całym domem, kłęby śniegu uderzały w okna,

a nademną paliła się spokojnie, zielono przysłonięta, wisząca lampka.

W chwili, kiedy rozkładałam przed sobą paczkę listów, usłyszałam w pokoju Marty stuk głuchy a z nim niewyraźne jakieś dźwięki, łkanie czy szept modlitwy.

— Tak to ona obchodzi Boże narodzenie, — pomyślałam mimowoli, składając ręce i uczułam znów owo ukłucie w piersiach, jakbym to ja winną była łez siostry.

Zrobiłam sumienny rachunek z sobą i doszłam, że to listy Roberta były winne wszystkiemu.

— Ale czyż nie piszę i nie milczę dla jéj dobra? Sumienie jednak nie dało się omamić i odpowiadało wyraźnie: nie. Ognie uderzyły mi na twarz, teraz dopiéro poznałam jak bardzo moje własne serce z temi listami było związane.

— Coby ona dała za jednę z tych kartek?—pomyślałam daléj — ona, która już przestała wierzyć w jego przywiązanie? — ona, która dziś przypuszcza, że on dlatego nie przybył, by się mógł łatwiéj z danego zobowiązania wykręcić?

— I ty słyszysz jéj łkania, — mówiło moje sumienie — i zostawiasz ją w téj męce, a tymczasem sama rozkoszujesz się świadomością dzielenia z nim tajemnicy, z nim, który jedynie do twéj siostry należy?

Zakryłam twarz rękami, taki straszny wstyd mnie ogarnął, żem się tego światła bała, które z góry na mnie spływało.

— Daj jéj te listy! — wołało znów sumienie, a wołało tak głośno i wyraźnie, że mi się zdało, iż słowa te wichura do ucha mi niesie.

Stoczyłam z sobą ciężką walkę. Ile razy moja dobra wola słabła i ustępowała przed obawą złamania danego przyrzeczenia i przed pragnieniem pozostawania z Robertem i nadal w potajemnym stosunku, wtedy głośniéj dochodziły do mnie łkania Marty i mąciły mi tak umysł, że byłabym chciała przed niemi choćby na koniec świata uciekać.

Nakoniec zwalczyłam sama siebie. Ułożyłam listy porządnie, w jednę paczkę, obwiązałam je jedwabną wstążką i postanowiłam zanieść je Marcie.

— To twoja kolęda odemnie! — powiedziałam — na te bowiem święta nic dla niéj nie wyhaftowałam, ani żadnéj szydełkowéj roboty, ki nie skończyłam, jak to dotąd pomiędzy nami było we zwyczaju.

Wysunęłam się, na wpół ubrana na dół do bawialnego pokoju gdzie pod choinką leżały nasze podarunki. Znalazłam po ciemku

koszyczek Marty, zebrałam co obok niego było a na wierzchu położyłam paczkę listów.

Tak obładowana podeszłam do jéj drzwi i zapukałam.

Usłyszałam szelest, jakby ktoś z ziemi powstawał i po długiéj chwili,—pewnie wprzód oczy obtarła,—zadźwięczał jéj głos pytający: kto tam i czego chce.

— To ja Marto — odpowiedziałam — przynoszę ci twój koszyczek, zostawiłaś go na dole.

— Weź go do swego pokoju, zabiorę go jutro — usiłowała mówić spokojnie.

— Ale jeszcze coś przybyło, głos mój także łzy tłumiły.

— Oddasz mi to jutro.

— To odemnie Marto!

I ta święta, pomimo całéj swéj rozpaczy, nie chciała mnie zmartwić i otworzyła mi.

Z płaczem rzuciłam się jéj na szyję, w lewéj ręce ściskając kurczowo koszyczek.

— Co ci jest Olgo? — zapytała, głaszcząc mnie po swojemu — dotąd, ty jedna starałaś się być wesołą — a teraz...

Zapanowałam nad sobą, przyprowadziłam ją do światła i pokazałam koszyczek. Poznała pismo od pierwszego rzutu oka, zbladła jak ściana i patrzyła na mnie nieprzytomnie, zaczerwienionemi od płaczu oczyma.

— Weź to Marto — przemówiłam.

Wyciągnęła rękę ale cofnęła ją zaraz jakby przed rozpaloném żelazem.

— Widzisz Marto! — odezwałam się, a pragnienie zemszczenia się za jéj milczenie i okazania jak wielkoduszną byłam wezbrało w mojém sercu — widzisz, nie miałaś zaufania do mnie, uważałaś mnie za dziecko, ale ja sama wszystkiego się domyślałam i kiedy ty się zamartwiałaś, ja myślałam o twojém szczęściu.

Nie rozumiała mnie jeszcze.

— Myślałaś, że on się już o ciebie nie troszczy — ciągnęłam daléj — tymczasem regularnie, co tydzień, musiałam zdawam mu sprawę o twojém zdrowiu...

Zachwiała się i oburącz schwyciła się za głowę, poczém podeszła do mnie, ujęła obie moje ręce i dziwnie chrapliwym głosem wyrzekła:

— Spójrz mi w oczy, Olgo! kto z was dwojga pierwszy list napisał?

— Ja — odpowiedziałam zdumiona, bo nie wiedziałam do czego ona zmierza.

— I tyś jemu, tyś jemu doniosła... co się ze mną dzieje... tyś mnie jemu narzuciła Olgo!

— Zkąd ci to do głowy przyszło? — odparłam. — On sam wyznał mi wszystko, jeszcze kiedy był tutaj. O, on znał mnie lepiéj niż ty — dodałam — niechcąc odmówić sobie tego małego tryumfu, on się nie bał zaufać mi...

— Dzięki Bogu! — wyszeptała z głębokiém westchnieniem i złożyła ręce jak do modlitwy.

— A teraz, chodź Marto — rzekłam, prowadząc ją do stołu — chodź, uciesz się twoją kolędą.

I czytałyśmy razem jego listy, jeden po drugim, a z każdego, przez proste, nie szukane słowa, promieniało jasno jego złote, wierne, uczciwe serce i ogrzewało nas swojém ciepłem. Przytulone do siebie, śmiałyśmy się i płakały razem i prawie do bólu ściskałyśmy sobie ręce, jakbyśmy wzajemnie odczuć chciały gorący uścisk jego silnéj dłoni.

Wtém naraz, było to w miejscu, gdzie on bardziéj nagląco prosił mnie, abym jéj strzegła i pieczę o niéj miała, szczęście tak ją przepełniło, że, wstydzę się... niewiem jak to napisać, że... upadła przedemną na kolana i przycisnęła usta do mojéj ręki.

Przelękłam się i zmieszałam bardzo, ale już nie uczułam tego bólu, który mnie tam, przed choinką, przejął. Wina moja była już zmazana i poprzysięgłam sobie z lekkiém, swobodném sercem, odtąd jak anioł opiekuńczy nad siostrą czuwać, bo ona była słabsza i bardziéj potrzebująca pomocy niż ja niedojrzałe dziecko.

Ona czuła to i bez oporu poddała się memu wpływowi.

Osiągnęłam więc nareszcie to, czego moje serce tak gorąco pragnęło. Miałam teraz kogoś, kogo mogłam pieścić i psuć do woli i całe bogactwo uczuć, które tak długo drzémało w głębi méj duszy, przelałam na siostrę.

Ojciec i matka dziwili się niemało téj nowo zbudowanéj serdeczności naszego siostrzanego stosunku, tém więcéj, że w ostatnich czasach pozostawiał on wiele do życzenia. Marcie też trudno było do niego przywyknąć, przyglądała mi się codzień z nowém zdziwieniem i mawiała często:

— Nie przypuszczałam nigdy, żebyś ty miała tyle serca Olgo.

Ach, gdyby ona wiedziała ile mnie kosztowało wydanie mojéj tajemnicy.

— Tak, ja to dobrze przewidziałam, z chwilą gdy Marta listy do rąk wzięła, znikła ich cała wartość dla mnie.

Robert był mi teraz obcym, a kiedy zasiadłam, by do niego napisać, wydawałam się sobie poprostu maszyną do kopiowania cudzych myśli. Często list, otrzymany od kramarza, oddawałam nieczytany Marcie.

Czasem, gryzła mnie myśl, żem jego zaufanie tak podeszła, ale kiedy na nią spojrzałam i zobaczyłam jéj kwitnący uśmiéch lub jak rozmarzona, szczęśliwością promieniejąca w dal patrzyła, uspakajałam moje sumienie i mówiłam sobie, żem postąpić inaczéj nie mogła.

Dotąd oszukiwałam tylko Roberta, wkrótce miałam téż i Marty tajemnicę zdradzić.

Lotem ptaka przeszła zima i wiosna i nadszedł czas, kiedy zaczynają snopki w stodołach układać.

Zaraz po żniwach miał Robert przyjechać, ale pisał, do téj pory jeszcze niejedno ciężkie przejście go czeka.

* * *

Pewnego dnia ukazał się w kuchni ojciec, z pozornie obojętną miną, kręcił się chwilę sapiąc pomiędzy kotłami i garnkami, przyczém uderzał szpicrutą po wysokich cholewach butów.

— Cóż ty dziś w garnki zaglądasz ojczylku? — zapytałam.

Roześmiał się krótko. — „Tak, tak, zaglądam w garnki,“ — chwilę jeszcze przebiegał, milcząc, tu i tam, nagle zatrzymał się przed Martą i rzekł:

— Jak będziesz miała czas, moje dziecko, to przyjdź na chwilę do mego pokoju. Matka i ja mamy z tobą do pomówienia.

— Aha—mówię—do tego to te długie przygotowania. Czy i ja mogę być przy tém?

— Nie — odpowiedział ojciec — pozostań w kuchni.

Marta rzuciła mi przeciągłe spojrzenie, odwiązała fartuch i poszła za ojcem.

Pozostałam więc w kuchni, w około mnie szumiała para, bełkotało w garnkach, dziewczyna czyszcząc noże sprawiała szmer głośny, ale cały ten hałas przygłuszył nagle krótki, przeraźliwy okrzyk. Poznałam odrazu, że wyszedł z ust Marty.

Drżąc, nasłuchiwałam, czy się nie powtórzy, gdy w téj saméj chwili wpadł do kuchni ojciec wołając: Wody!

Przebiegłam mimo niego i znalazłam siostrę leżącą na ziemi, zemdloną, z głową wspartą o kolana matki.

— Coście z Martą zrobili? — krzyknęłam, rzucając się przy niéj na kolana.

Nikt mi nie odpowiedział.

Matka niezaradna jak dziecko łamała ręce, ojciec gryzł wąsy, żeby łzy łatwiéj połknąć.

Kiedy schyliłam się nad biédaczką spostrzegłam obok niéj na podłodze arkusz niebiesko szarawego papiéru, podniosłam go i ukryłam, tak, że nikt tego nie zauważył.

Energicznie zajęłam się siostrą, przywołałam ją do przytomności i zaprowadziłam patrzącą jeszcze ciągle osłupiałemi oczyma, do jéj pokoju na górze.

Tam położyłam ją do łóżka. Wpatrywała się nieprzerwanie w sufit i kiedy niekiedy żądała pić. Widocznie przytomność jeszcze jéj nie wróciła.

Wyciągnęłam ukradkiem list z kieszeni i przeczytałam to, co tutaj dosłownie przytaczam albowiem przechowałam ten zabytek macierzyńskiéj i siostrzanéj miłości.

„Kochany bracie i droga bratowo!

Smutny obowiązek zmusza mnie dziś do napisania do Was. Wiem dobrze, żeście głęboko przekonani jak bardzo Was kocham i jak bardzo moje serce pragnie z Wami i waszemi dziećmi pozostawać zawsze w najserdeczniejszych stosunkach. Odkąd żyję, starałam się wyświadczać Wam wszystko dobre i tegoż samego doświadczałam od Was. W imię wzajemnego naszego przywiązania udaję się do Was z prośbą, którą mi, dręczone obawą, macierzyńskie serce moje dyktuje.

Dziś przybył do nas mój syn Robert i oznajmił mnie i memu mężowi, że postanowił prosić Was o rękę waszéj córki Marty, i że jednocześnie prosi też o nasze przyzwolenie, bez którego, jako dobry syn i gospodarz nie może się obejść, bo niestety, jeszcze wielokrotnie potrzebować będzie naszéj pomocy.

Gdybym była mogła iść za popędem serca, byłabym się mu ze łzami radości na szyję rzuciła, ale niestety, musiałam za męża i syna (obadwaj są istnemi dziećmi) miéć głowę na karku i byłam zmuszona powiedziéć im, że z tego nic być nie może.

Mój kochany bracie, nie chcę ci robić wyrzutów, żeś swego mienia utrzymać nie umiał, dalekiém jest odemnie mieszanie się do spraw, które mnie nie dotyczą, ale tym razem przypomniéć muszę, że wasze dobra są długami obciążone i że wasze córki, prócz odpowiedniéj wy-

prawy, (chętnie chciałabym choć temu wierzyć) nie będą miały ani szeląga posagu.

Z drugiéj strony, majątek mego syna Roberta jest również obdłużony sumami, ktore nam i swemu rodzeństwu miał wypłacić, a któreśmy na hypotece dóbr zostawili i od których procenta są naszém i reszty naszych dzieci utrzymaniem, tak, że związek z ubogą dziewczyną stałby się poprostu naszą zgubą.

Pomijam już to, że wasza córka Marta jest istotą wątłą i chorowitą, przez co wydaje mi się tém mniéj zdatną do podjęcia trosk wielkiego gospodarstwa a i niezdolną mego syna Roberta uszczęśliwić, sama myśl jednak, że weszłaby do domu z próżnemi rękami jest roztrzygającą i wystarcza mi do przekonania, że byłaby bardzo nieszczęśliwą i unieszczęśliwiłaby jego.

Jeżeli wasza córka Marta naprawdę kocha mego syna Roberta, sądzę, że nie będzie jéj zbyt ciężko w interesie jego szczęścia wyrzec się z nim związku; gdyby nawet on miał odwagę, pomimo zakazu rodziców, o nią się starać.

O waszéj braterskiéj i siostrzanéj miłości, moi drodzy krewni, jestem przekonana, nie wątpię więc, że i wy, wspólnie ze mną, temu szkodliwemu i nienaturalnemu związkowi nateraz i na zawsze waszego przyzwolenia odmówicie.

Kochająca Was wiernie
Joanna Hellinger.

P. S. Jak wypadły u Was zbiory? Oziminy u nas dobre, ale kartofle chorują."

Gniéw na te pospolite, obłudne bazgroty tak mnie uniósł, że z głośnym śmiéchem rzuciłam arkusz na ziemię.

Dopiéro cichy jęk Marty, którą mój śmiéch jakby zabolał, przyprowadził mnie do przytomności.

Marta leżała bezsilna, wyciągnięta, jakby powalona uderzeniem, które zabrało wszystkie jéj siły.

Kiedy tak patrzyłam na nią, dręczona świadomością własnéj bezczynności i niemocy, wydobyło się z głębi mojéj duszy owo westchnienie z przeszłych czasów: O! gdybym to ja nią była! Ale jakąż nową treść zawarło ono teraz! To, co wtedy niedorzecznością było i dzieciństwem, zamieniło się w poważną siłę do poświęceń i przekonanie o własnéj mocy ducha.

I postanowiłam działać póki czas jeszcze. Naprzód chciałam pójść do rodziców, chciałam im powiedzieć, com dotąd uczyniła, i żem już oddawna wtajemniczoną we wszystko i chciałam żądać od nich,

aby mi pozwolili mieć także głos w sprawach rodzinnych, chociażem jeszcze taka młoda.

Odrzuciłam tę myśl po chwili. Jeżeli wezmę udział w postanowieniach rodziców, powinnością moją będzie nie sprzeciwiać się temu, co oni za dobre uznają, gdy tymczasem, pozornie nie wiedząc o niczém, będę mogła według własnego planu i własnego uznania, na korzyść siostry działać.

Prędko przejrzałam jak rzeczy stały. Każdy wyczytał z listu co się najbardziéj z jego naturą godziło. Ojciec, zraniony w dumie ubogiego człowieka, uważałby odtąd za wstyd, dziecko swoje oddawać rodzinie, którąby na nią krzywo patrzyła. Mama znów dała się wzruszyć zapewnieniom miłości i przywiązania i była przekonaną, że zaufania bratowéj nigdy nie powinna zawieść.

A siostra?

Téj saméj nocy, kiedy czuwałam przy jéj łóżku, poczułam na mojéj ręce jéj gorącą dłoń; słabym uściskiem przyciągała mnie do siebie.

— Chcę z tobą pomówić, Olgo! — szepnęła, patrząc ciągle swemi smutnemi oczyma w sufit.

— Czy nie możemy tego do jutra odłożyć? — upominałam.

— Nie, bo tymczasem może się stać to, co się stać nie powinno. Od téj chwili skończyło się wszystko pomiędzy nim a mną.

— Źle go znasz — rzekłam.

— Ale znam siebie — odparła — ja z nim zerwę.

— Marto! — zawołałam oburzona.

— Ja wiem dobrze — ciągnęła — ja z tego umrę, ale cóż to szkodzi? Nie wiele na tém zależy, czy żyję lub nie. Lepiéj to, niż żebym go nieszczęśliwym uczynić miała.

— Mówisz w gorączce, Marto! — zawołałam — za tak głupią cię nie uważam, żebyś się dała otumanić piśmidłem staréj czarownicy.

— Zanadto czuję, że ona prawdę mówi — odrzekła.

Zimny dreszcz mnie przebiegł, kiedy usłyszałam, jak ona spokojnie i z zimną krwią wypowiadała te rozpaczliwe słowa, jakby to był przykład z tabliczki mnożenia.

— Nie przecz mi — ciągnęła daléj — nie od dziś ja to wiem, ja coś podobnego zawsze czułam i właściwie nie powinnam się była dziś tak przestraszać; jednakże trudno to znieść, gdy się tak czarno na białém zobaczy swój wyrok, choć go się przedtém we własném sumieniu uznawało.

Przekonywałam ją, jak mogłam, najwymowniéj. Ciotkę wtrąciłam do najciemniejszych otchłani piekła, a Marcie dowodziłam drobia-

zgowo, że stworzoną jest na to, aby została dobrym aniołem w domu Roberta.

Ale to nie na wiele się zdało, jéj wiara w siebie samą nie dała się już ożywić, za silnie cios w nią uderzył.

W końcu wymogła odemnie przyrzeczenie: żadnego już listu do niego nie pisać i raz na zawsze zerwać z nim wszelkie stosunki.

Przeraziłam się w głębi duszy, o siebie może nie mniéj jak o nią, broniłam się téż z całą energią do jakiéj byłam zdolną; ale ona obstawała przy swojém, a że nawet zagroziła zamianę listów odkryć przed rodzicami; musiałam się więc zgodzić na jéj żądanie.

(*D. c. n.*) *Sudermann.*





OKRES RYCERSKO-ROMANTYCZNY
W ŻYCIU
JULIUSZA SŁOWACKIEGO
(1840—1842).

(Dokończenie) *).

VI.

Dnia 29-go kwietnia, kiedy się ukazała literami J. S. podznaczona krytyka Nocy letniéj, będąca nietylko wymowną „powieści“ téj apologią, ale i wyzywającą zarazem odpowiedzią na Improwizatorów, Słowacki był już we Frankfurcie przy boku swéj dręczycielki; nie mógł więc, jako nieobecny, być naocznym świadkiem wrażenia, jakie „felieton“ ten uczynił w obozie Mickiewiczowskim, przeciwko któremu — w pierwszéj swéj części — był wymierzony.

Szczęściem dla poety, (bo zaprzeczyć się nie da, że go w téj walce z antagonistami szczęście, jak Cezara, nie opuszczało ani na chwilę) został w Paryżu Niedźwiecki, który mu, jak przystało na prawdziwego przyjaciela, o wszystkiém, coby pod niebytność jego zaszło, szczegółowo donosić obiecał.

Wiedząc, „jak jest niebezpiecznie, z demokratami nie być dosyć grzecznie“, należało się mieć na baczności. Odpowiedź na artykuł

*) Zob. „Ateneum“ zeszyt kwietniowy r. b., str. 1.

N. O., piętnująca wszystkich uczestników uczty u Januszkiewicza pogardliwém, znieważającém mianem „fałszerzy“, pisana ostro, zjadliwie, w sposób obelżywy i lekceważący, „gorzéj, dotkliwiéj, kwaśniéj, niżby na poetę przystało, a właśnie tak, jak przystało na felietonistę, który radby się dziennie ściérać i wygrywać bitwy, a ilekroć ukolą go fałszerze, rzuca się jak lew, leżący na podstawie dziennika“, nie przebierająca w wyrażeniach, przeciwnie, wszystko nazywająca po imieniu, chociaż skreślona „lekko, zgrabnie i stylem brylantowym“, zaprawna ironią i jadowitą złośliwością, mogła za sobą bardzo łatwo niemałéj wagi pociągnąć następstwa.

— Cieszymy się, opiewał między innemi ten Słowackiego felieton, że „taka wielka fantazya przewodniczy tworzeniu się kłamstw.“ „Oto Adam (Mickiewicz) powiedział Juliuszowi (Słowackiemu) wręcz, że nie jest poetą, oto Tygodnik poznański powtórzył głośno słowa Adama (Mickiewicza) i to nazwał improwizacyą... Na Boga! jeżeli tak było, to przynajmniéj wyrok ów improwizacyą nie jest, ale długo i dobrze pomyślanym poematem, który to poemat zapewne Grabowski w krytyce za kamień węgielny Litewskiéj szkoły położy.“

Następnie unosił się Słowacki nad „dobrocią“ owych fałszerzy, którzy, mogąc wszystko „skłamać“, powiedziéć np. że w improwizacyi swéj oskarżył go Mickiewicz „o brak honoru w grze, albo o jaki nałóg haniebny, albo inną rzecz jaką podłą“, o tyle tylko przeinaczyli prawdę, o ile przeinaczeniem tém spodziewali się go „w osobie poety zabić.“ Albowiem o to im jedynie — w przekonaniu Słowackiego — chodziło, żeby go raz zmiażdżyć doszczętnie; bo choć usiłowali to już dawniéj uczynić, kiedy poezyom jego wszelkich odmawiali zalet — on przecież, jak feniks, zawsze z tego krytycznego ognia wychodził nienaruszony, nie „zabity“.

„Tyle razy zmartwychwstawał“, że trzeba ostatecznie wymyślić nań sposób niezawodny. I przypomniało się nagle fałszerzom (inaczéj nie nazywał ich Słowacki przez ciąg całego felietonu), że „mają w ręku kamienie kłamstwa“, więc „rzucimy na niego głazy czerwone, a kysz, kysz! po co przychodzisz na Dziady!“

„O, nie przyjdzie już więcéj, przysięgam! Nigdy kawałkami serca swego nie będzie was karmił, nigdy za karm dany nie odbierze od was puharu nalanego goryczą i przykrytego kłamstwa pokrywą, nigdy więcéj, przysięgam!

Tak sobie tłómaczył Słowacki powstanie Improwizatorów, po których, jak mniemał, antagoniści jego nie spodziéwali się już, ażeby „zmartwychwstał“ raz jeszcze. Może teraz, tuszyli, „ostatecz-

nie zabity, już nigdy, nigdy, nie pokaże się na świata widowni.“ A kysz, a kysz!

Jeżeli tego istotnie spodziewali się po... przyszłym autorze Beniowskiego, to miał ich gorzki niebawem spotkać zawód.

Drugą połowę „felietonu“ zajmował rozbiór krytyczny Nocy letniéj, któréj autor, zdaniem Słowackiego, „jeżeli improwizuje, to nie w gronie pół pijanych zwolenników szkoły, ale wśród starych, siwych rycerzy.“ Aluzya to do uczty z dnia 25-go grudnia. „Wojewodowie, zbrojami okryci, z Chrystusowemi wizerunkami na puklerzach, słuchają słów jego, a kiedy śpiewa, to nie mdleją — jak po improwizacyi Słowackiego Ropelewski — to nie padają na kolana (jak w artykule o Improwizatorach, owi „pół pijani zwolennicy szkoły“), ale tylko wychylają czary, dobywają mieczów, i wstając, idą walczyć...“

Kończył się felieton „prośbą do krytyki poznańskiéj, aby w swoich lakonicznych wyrokach o dziełach sztuki [1]) była uważniejszą, jeżeli chce długo do nieomylności, prawie papieskiéj, rościć prawo: sąd jéj o Nocy letniéj, równie jak inne sądy o niewyszłych tragedyach, wglądające w tekę autorską [2]), mogą to zdziałać, że wkrótce wierzyć Tygodnikowi poznańskiemu nie będzie zwyczajem nawet w Poznaniu.“

Jakiéj replika ta stała się przyczyną wrzawy w obozie Januszkiewicza, wyobrazić sobie nie trudno.

A nie wiedziano jeszcze, że był to tylko pierwszy grzmot, jak gdyby pierwsza zapowiedź nadciągającéj burzy, która brzemienna ulewą szyderstw niemiłosiernych i piorunami sarkazmu, na dobre rozszaléć miała dopiéro w Beniowskim.

Ten ostatni ukazał się na pułkach księgarskich 18 maja, a więc we dwa tygodnie mniéj więcéj po wyjściu krytyki Nocy letniéj. Antagoniści Słowackiego, ujrzawszy nowe dzieło Juliusza, rzucili się na nie hurmem.

— Doskonała sposobność, myśleli sobie, ukarania zuchwałego pyszałka i napisania o nim z okazyi wyjścia tego poematu, jakiego złośliwego artykułu, w rodzaju krytyki. Trzech poematów i Dan-

---

[1]) Aluzya do działu „Doniesienia literackie“ w Tygodniku literackim. Patrz wyżéj: Rozdział III.

[2]) Aluzya do tego, co wydrukował Tygodnik (w doniesieniach literackich) o tragedyi Słowackiego Beatrix Cenci, o któréj w Nr. 20 Tygodnika (z r. 1840) pisało, że „Słowacki wydrukował nową tragedyę Beata Cenic, etc. Patrz wyżéj, rozdział II, str. 290 (Ateneum, luty).

tyszka. Po têm, co napisał teraz o uczcie z d. 25 grudnia i jéj uczestnikach należy mu się nauczka...

W takiém z góry powziętém przekonaniu zabrali się antagoniści Słowackiego do czytania Beniowskiego i osłupieli...

Albowiem był to policzek dla wszystkich i dla każdego z osobna policzek niemiłosierny, palący, a têm dotkliwszy, że zasłużony.

....do porządku mnie wołają woźni.
Ci woźni są to krytycy! Kolego!
Byłżeś w Arkadyi téj, gdzie Jezuici
Są barankami? Pasą się i strzegą
Psów, i têm żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza? Kraina niczego,
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutéj... Niebieska kraina,
Co za pieniądze b a b truć nas zaczyna [1]).

Ta „baba" to Eustachy Januszkiewicz, przez ową zaś „Arkadyą, gdzie Jezuici są barankami" należało rozumieć czasopismo, którego był redaktorem i wydawcą, a w którém różne „draby" krytykowały wszystko, co tylko ukazało się opatrzone nazwiskiem Słowackiego...

Jak owo jaje, w którém kiedyś Leda
Powiła syna bogu-łabędziowi,
Jak? dzisiaj się to wytłómaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi...
A gdym tłómaczył, to panna Praxeda
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała sanskryckiem,
A potém mi dała w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Bobym te wszystkie katolickie kwasy
Miał we łbie, wszystkie sześć! Bo ta kochana
Panna Praxeda, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo, jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczy
Rzuca na głowę, i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem Złotym Ołtarzykiem, który
Każdą klamerką mię ukłuł, jak szpilką,
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. Czémże jest ból? Jedną chwilką!
Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry, etc.

---

[1]) Por. „Złota przędza poetów i prozaików polskich" (Warszawa, 1884), t. I, str. 351.

W innêm miejscu, kilka kartek dalêj, poeta „rąbał“ swoich krytyków, którym zarzucał między innemi, oprócz braku bezstronności, jeszcze i... przedajność.

Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na têm pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia...

To znowu coś, jak gdyby zdarcie korony królewskiêj Mickiewiczowi!

Pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,
Reszta owczarzy moja. A tymczasem

tymczasem rozprawiał się z głównym owczarzem têj obory, „gdzie Jezuici są barankami“, z Eustachym Januszkiewiczem.

Nie podobało się już w Balladynie,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowêj płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie;
Że, w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;
Że w całêj sztuce tylko niezabity
Sufler i pismo pewne, co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię; które po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana, rozwaliu,
A pewnie nie woń mirry, ani malin.

Gdy mowa o Januszkiewiczu, trudno nie wspomnieć o jego bożyszczu, poecie-profesorze, dla którego pan Eustachy uwielbienie swe i miłość posuwał, jak sam się do tego przyznawał otwarcie, „aż do fanatyzmu“.

Per Bacco!
Różnemi drogi mój poemat wiodę,
Jak Chochlik,

albo jak kwestarz Robak w Panu Tadeuszu,

często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam odę,
Naprzykład drugą piękną odę taką,
Jak do młodości.

Nie zapomniał też Słowacki o drugim utworze Mickiewicza: o Konradzie Wallenrodzie.

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
 Zdradą na obóz napadł i wycinał,
Czego mu potém była wielka szkoda,
 Bowiem go czekał stryczek lub puginał...
Nie znano jeszcze wówczas Wallenroda
 I kończył, jak pies, kto zdradą zaczynał.

Wallenrodyczność czyli walenrodyzm
 Ten wiele zrobił dobrego... najwięcéj!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
 Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcéj już rymu na odyzm
 Co od włoskiego *odjar-lo*... najprędzéj
Może zastąpić brak polskiego słowa.
Walenrodyczność więc jest to rzecz nowa.

Przy sposobności dostało się raz jeszcze Witwickiemu, również zaprzyjaźnionemu z Mickiewiczem, a który powiedział niegdyś — w Tygodniku literackim — że ledwie się tytułu jednéj tragedyi Słowackiego na pamięć nauczy, już druga wychodzi. Za sarkastyczny ten dowcip należała się p. Stefanowi zapłata.

 Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie,
Nawet pisania łatwość rzuca plamę:
Mówią, że w czterech dniach układam dramę.

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
 Gdybym chciał wszystkich durniów być zabawą,
Wyspą dla grubych naszych Szanso Pansów,
 Na któréjby się uczyli ze sławą
Sylabizować...

Był czas, żem lękał się pospolitości,
 Jako święconéj duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
 Dla własnéj sławy, pokoju, wygody.
Krytykom, jak psom, rzucam kilka kości...
 Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł, jak Ugolino.

Tymczasem zaczął ich w następnych zaraz strofach „gryść“ za życia jeszcze, na ziemi. Za pretekst do tego posłużył mu... Koran Mahometa, gdzie napisane stoi, że w raju każda się gruszka odmyka i cztery z siebie wydaje huryski.

U nas liczonoby do rzeczy śmiałych,
 Gdyby kto, nawet tworząc poetycznie,
W rymach malując jedną z tych przestałych
 Owoców... starą pannę, seraficznie

jak panna Praxeda, Witwicki, Górecki Antoni *e tutti quanti*,

Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: płeć zieloną miała, jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
 Powiedział to w koranie, i krytyka
Milczy, krytyka owa, która co rok
 Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosoróg;
 Bo widzi ostro i rogiem przenika...
Imię krytyki? nie krytyków. A! bah!
 Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K.
Mówią, że pismo pewne pisze... baba!
 Ale ja, widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba.
 Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye,
W dyabelskim napisane dyalekcie [1]).

W owéj „babie“ domyślać się było nietrudno... znowu Januszkiewicza i owych krytyków, zasilających jego jezuickie pismo „tą przeklętą wodą, któréj pies nie chce, wąż nawet nie pije...“ Do niego też stosował się przydomek jezuity. „Drabem“ zaś, tłómaczącym „na język człowieka: hymny, przestrogi, pacierze i lekcye“ nie był nikt inny, tylko Stanisław Ropelewski, krytyk Balladyny, tłómaczący artykuły francuskie Jourdain'a na polskie i drukujący je, naturalnie! jako oryginalne... On też był autorem artykułu podpisanego literami Z. K.

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,
 Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
 Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni, dlatego, że jakiś teolog
 Krytyką mię chciał w kawałki posiekać!
Jakby... w baladach porównania szukaj,
On był przyjaciel wierny, a ja Pukaj.

Dlatego powiada, gdyby mu przypadkiem wypadło przenieść się *ad mubras*, jako ofiara nie miecza, ani „młodego zapędu“, ale krytyki,

---

[1]) Por. Złota przędza poetów i prozaików polskich (Warszawa, 1884), t. I, str. 357.

równie ciasnéj jak niegdyś edymburska, unieśmiertelniona przez Byrona, kto wié, czyby się tam szczęśliwszym nie czuł, niż tu, w Paryżu, gdzie tylc błędu,

Zawodów, głupstwa, nieszczęścia, przesytów,
Bankructw, poezyi głupich, jezuitów,
Heglów poznańskich, krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko-romansistów,
Kozako-powieściopisarzy i krytyków,
Którzy poklaski im, zamiast poświstów,
Dają, od czego ja aż do równików
Biegłem, unosząc zadziwione słuchy,
I byłbym został tam, gdyby nie muchy...

„Heglem poznańskim“ nazwano tu Libelta, który niegdyś w Tygodniku literackim napisał niepochlebną ocenę Mazepy. „Kozako-powieściarz“ to Michał Czajkowski, autor Kirdżalego i Wernyhory, powieści, niezwykłém się wtedy cieszących powodzeniem, a zachwalanych zwłaszcza przez Tygodnik [1]).

Pod adresem tegoż Tygodnika znajdowała się w pieśni V apoteoza... boćwiny, apoteoza, zakrawająca na parodyę Mickiewiczowskich hymnów pochwalnych w Panu Tadeuszu na cześć bigosu litewskiego, kawy litewskiéj, kuchni litewskiéj, grzybów litewskich, chłodniku zabielanego na sposób litewski, etc.

O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną,
    Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym, *ni piu ni meno*
    W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszu! O, nagrodo!
Że mi go kiedyś dasz, marzyłem młodo.

Lecz teraz tracę nadzieję. Niestety!
    Nie lża, jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem Parnasowe grzbiety.
    I miałem nieraz Dyanę usłużną...
Kiedym chciał zamknąć Północ w tryolety,
    Muza została mi rymami dłużną:

---

[1]) „Wyszły tu nowe romanse Czajkowskiego—Wernyhora i Kirdżali. Te znać musicie, albowiem romanse prędzéj jeżdżą, niż żelaznemi drogami jadące powozy. Tygodnik poznański admiruje autora. Radbym wiedzieć, czy wy podzielacie tę *extasis*.“ (Z listu J. Słowackiego do Jana Weisberga w Krakowie. Paryż, 14 maja 1839 r.).

Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną?... Czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze!
Z twoją tabliczką w ręku...

Ale to wszystko nic, drobnostka, w porównaniu z końcowemi oktawami pieśni V-éj, poświęconemi uczcie z dnia 25 grudnia i Mickiewiczowi za jego improwizacyą.

Po wzniosłéj, poetycznym panteizmem nacechowanéj modlitwie do Boga, który — zdaniem poety — nie jest tylko „robaków Bogiem i tego stworzenia, co pełza“, ale przeciwnie,

On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza,

po takim obrazie Boga, którego częściéj „wielki czyn“ ubłaga, aniżeli „łza próżna, stracona przed kościoła progiem“, następowało zapytanie, na które dla wtajemniczonych — a byli nimi wszyscy uczestnicy uczty z dnia 25 grudnia—jedna tylko istniała odpowiedź.

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?

Było to jak gdyby echo improwizacyi Mickiewicza, który się wyraził, że iskrę geniuszu „od Boga przejął na skrzydłach natchnienia.“

Ja go chcę jeszcze! W głowę tnę piorunem,
Tak, jakem wczoraj go w piersi uderzył.
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wié, żem skinął Ja i wieszcza wskrzesił!

....Ikwo! płyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiéj roztercc
Gadają. Tyś zmusiła Niemen stary,

t. j. Mickiewicza,

Przyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy!
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy.“

Ha! Ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci? gdzie? portowa wieża?
....Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną,
Pójdę gdzieindziéj i lud pójdzie za mną!

....Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi!
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar, prowadzi.

...Ha! Ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam
....Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!

Znajdziesz mię zawsze przed twojém obliezem,
Mię, powalonym, hardym i straszliwym!
Nie jestem tobą, ty nie jesteś Zniczem.
Lecz, choćbyś bogiem był, ja jestem żywym,
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym...

....Taka moja zbroja,
I takie moich myśli czarnoksięstwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj, przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!
Legnie przedemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jéj nie zbawi męstwo!
....Zabiję! Trupa twego będę włóczył,
A sąd zostawię wiekom! Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu
I pokazałem, że na twojéj korze
Pęknięcie serca znać, a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze...
Bądź zdrów! A tak się żegnają, nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych... bogi! [1]).

W jak wysokim stopniu zaostrzył Beniowski niechęć przeciwko Słowackiemu i jak się nań cała „Litwa“ obruszyła, tego nader plastycznie, a bądź co bądź bardzo przekonywająco, dowodzi fakt, że, kiedy Leonard Niedźwiedzki, bezpośrednio po wyjściu Beniowskiego, zgłosił się do Feliksa Wrotnowskiego, tłómacza prelekcyi Mickiewicza, pragnąc w jego Dzienniku umieścić płatne doniesienie o wyjściu dzieła Słowackiego, Wrotnowski nietylko że na to nie przystał, ale nawet powiedzieć nie chciał, czemu odmawia.

Istotnie, obóz Mickiewiczowski od dnia, w którym wyszedł Beniowski, podobny był do wzburzonego mrowiska. Wszystko kipiało nienawiścią ku Słowackiemu, nienawiścią i żądzą odwetu.

Pierwszy zatrąbił na trwogę Franciszek Szemioth, a głos jego, lubo wyszedł z Saint-Germain, — gdzie wtedy przemieszkiwał — nie

---

[1]) Por. Złota przędza poetów i prozaików polskich (Warszawa, 1884), t. I, str. 386—388.

przebrzmiał bez echa; najlepszy dowód, że w kilka dni potém przyjechali do Saint-Germain Mickiewicz i Januszkiewicz [1]), ażeby się naradzić: co czynić? Zupełnie, jak w Panu Tadeuszu przed zajazdem na Soplicę!

Tajemniczość osłaniała ich kroki. Były narady, zjazdy, a na nich postanowiono, że Ropelewski wyzwie Słowackiego na pojedynek, czyli że „stanie się kozłem ofiarnym za Litwę całą". Dowiedziawszy się, że Słowackiego nie ma w Paryżu, że wyjechał do... Niemiec, posądzono go natychmiast o... tchórzostwo.

Uciekł! Tchórz! Przeczuwał, że to grozi pojedynkiem i dlatego, ażeby strzałów uniknąć, wolał pod niebytność swoją wypuścić Beniowskiego na harc...

Ażeby mu dokuczyć o ile możności jak najsrożéj, uradzono na zwołaném *ad hoc* „kolegium", iż trzeba go koniecznie do strzelania się przymusić. W tym celu zniewolono Stanisława Ropelewskiego, choć się wypraszał od tego zaszczytu i choć nie był najbardziéj w Beniowskim obrażony, ażeby on honor Litwy ratował... Sekundować (bo to zawsze łatwiéj, aniżeli samemu służyć komuś za cel) ofiarował mu się Szemioth.

Oczekiwano tylko powrotu Słowackiego.

Tymczasem, zanim jeszcze poeta przybyć zdołał do Paryża, ponieśli antagoniści jego, i tak już „zrąbani" niemiłosiernie, nową, a niemniéj dotkliwą klęskę, która ich, kto wié, czy do pewnego stopnia boleśniéj nie ubodła, aniżeli dygresye w Beniowskim.

Dnia 1 czerwca nadszedł do Paryża Nr. 21 poznańskiego Tygodnika literackiego, zawierający między innemi początek dłuższego a z niepospolitym talentem krytycznym napisanego artykułu p. t. „Kilka słów o Juliuszu Słowackim". Artykuł ten, ku najwyższemu niezadowoleniu stronników Mickiewicza, ciągnął się przez trzy numery, aż do połowy czerwca [2]), doprowadzając sobą do rozpaczy całe grono stronników Mickiewiczowskich. Rzekłbyś, że niebo sprzysięgło się na nich i, zawarłszy sojusz ze Słowackim, wszystkich, którzy go nienawidzili, uwzięło się trapić, dręczyć i, co najgorsza, upokarzać.

Autor „Kilku słów o Juliuszu Słowackim"—a był nim Zygmunt

---

[1]) List Leonarda Niedźwieckiego do Władysława Zamojskiego z dnia 14 maja 1841 roku.

[2]) Zob. numery 21, 22 i 23 Tygodnika lit. z d. 24 maja, 31 maja i 7 czerwca 1841 r. Numer 21 z d. 24 maja nie mógł znaleść się w Paryżu przed 1 czerwca. Słowacki zaś, jak widzieliśmy opuścił Frankfurt 8 czerwca.

Krasiński — stanął na têm samém w stosunku do twórcy Balladyny stanowisku, jakie przed miesiącem zajął przyjaciel jego z willi Mills, pisząc o Nocy letniéj. Wyszedłszy z założenia, że „krytyka jest siłą o dwóch kierunkach“, dodatnim i ujemnym, postanowił, „mówiąc o wielkim duchu poetyckim, któremu na imię Juliusz Słowacki,“ trzymać się wyłącznie pierwszego, t. j. nie ganić, nie potępiać, nie „wytykać próżni, niezapełnionych życiem“, ale przeciwnie, wytknąć raczéj, w czém się poeta ten piękności nieśmiertelnéj zasłużył.

„Nie masz na téj ziemi ani życia bez grzechu, ani dzieła sztuki bez pewnéj niedoskonałości, lecz nam się zdaje, że w dziełach Słowackiego, jest taka wiara prawdy i piękności, że przez nią ich wady zbawiennemi i odkupionemi są, a gdzie zbawienie i odkupienie, tam życia zwycięstwo!

W słowach tych znalazło się — przypadkiem i mimo wiedzy piszącego — zaprzeczenie opinii Mickiewicza, zarzucającego Słowackiemu brak wiary, oraz potwierdzenie tego, co powiedział o sobie Juliusz Słowacki na końcu piątéj pieśni Beniowskiego, mianowicie, że „moje będzie za grobem zwycięstwo!“ Dla antagonistów Słowackiego był to cios nowy.

Niemniéj boleśnie dotknąć ich musiało również bezwzględne oświadczenie autora „kilku słów“, że dotychczasowym krytykom polskim, a krytykom Słowackiego w szczególności, wre w piersiach „zajadłe, pogańskie serce. Miłością chrześcian nie przepoili się dotąd...“ Zarzut taki, uczyniony pobożnym krytykom katolickiego czasopisma, musiał ich chrześciańskie uczucia połechtać bardzo niemile.

Oddzielnie pojąć i ocenić Słowackiego, zdaniem autora, „kilku słów“ o nim, niepodobna. Zrozumiéć go tylko można „w logicznêm następstwie po Mickiewiczu, têm ogromném *fiat lux* literatury polskiéj“. „Przed Mickiewiczem, daj Boże, abyśmy tu popełnili omyłkę, przed Mickiewiczem, o ile nam widno i wiadomo, nie było poezyi w Polsce“. Leżały jedynie nagromadzone materyały, mające się do niéj—do poezyi—w takim stosunku, w jakim kroniki, biografie i pamiętniki mają się do prawdziwéj historyi. Pierwszy Mickiewicz „oblekł w kształt organiczny polską ideę piękności“. Wszystko, co wprzódy rozlane lub rozbite pływało niesfornie, on, jak Tytan, skupił objęciem ramion i ścisnął „w żelazny pierścień natchnienia“. Tym sposobem stanął „grunt“ naszéj poezyi. „Czém Alp ogromy, czém piramidy pustyni, czém wszystko, co zasadnicze i wzniosłe, a zarazem nieporuszone i wieczne, têm Mickiewicza dzieła.“ Przemaga w nich nadewszystko siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń.

W dziełach Słowackiego tymczasem objawiła się, również jak tamta konieczna, siła odwcielań i zaprzeczań, której pęd, „poczęty z dołu, a bijący ku górze, stara się wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności.“ Poezya Mickiewicza — to „wielka poważna rzeczywistość“, to realizm, kiedy Słowacki to fantazya. „Czém tęczy około wodospadów umizgi, czém chmury co chwila zmienne, płynące na to, by przepaść gdzieś w niebie, czém szmery rozmarzonych strumieni, a szum daleki morza, tém jest w przekonaniu autora „kilku słów“ poezya Słowackiego w literaturze naszéj. Któż np. czytając Szwajcaryą lub Anhellego nie dozna „mistycznéj tęsknoty“? Komuż „te dwa arcydzieła wewnętrznéj melodyi ducha“ nie zostawią po sobie, jakby uczucia, że wszystko przeminęło, że, co swiatłem było, już nie jaśnieje, co łzą, już nie płynie, co chwałą, już nie połyska.

Innego zdania o poemacie W Szwajcaryi był w swoim czasie [1]) pan Z. K., uważający, że W Szwajcaryi należy „do téj osobowéj poezyi, która, gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniusza — jak np. czwarta część Dziadów Mickiewicza — albo téż źródłem jakichś nowych lirycznych natchnień, zajmuje zwykle więcéj samego pisarza, niż czytelników.“

Balladyna, w mniemaniu bezimiennego autora kilku słów o Juliuszu Słowackim, jest dziełem „innego gatunku“. Nowy to zupełnie utwór na widnokresie polskim; że zaś „każda piękność razi, zanim się da rozpoznać“ (zwłaszcza nim ją należycie ocenić zdołają uprzedzeni i nieżyczliwie dla autora usposobieni recenzenci), więc téż i Balladynę „dotąd ujemne tylko obarczały krytyki“, pomimo że jestto rzecz genialna. Co w niéj szczególnie wygląda „na głęboką genialność, na wewnętrzną energię sztuki, to jéj wysnucie z kilku wierszy pieśni gminnéj. Jak najbujniejszy kwiat z marnego nasienia, tak ona z jednéj zwrotki wykluwa się, rozrasta i płonie.“

Dla uszów antagonistów Słowackiego, zaprzeczających mu, jak w krytyce Balladyny np. nietylko talentu, ale nawet „poezyi, stylu i sensu“, wyrażenia takie, jak „dwa arcydzieła wewnętrznéj melodyi ducha“, albo „głęboka genialność“, musiały brzmiéć, jak zgrzyt żelaza po szkle.

Ze wszystkich poematów Słowackiego najdoskonaléj wcielony, najściśléj obrobiony—zdaniem Krasińskiego—jest Ojciec zadżu-

---

[1]) W r. 1839. Zob. Mł. P. Dod., marzec, oraz odpowiedzi Słowackiego w dod. do N-ru z d. 30 marca 1839 r.

mionych. Jeżeliś widział rysy Laokoona, czytając to poema, przypomnisz je sobie. Jeśli ci kiedy włosy powstały przed Ugolinem, tu poraz drugi rość i drżéć zaczną ci na głowie. A jednak, ani u rzeźbiarza greckiego, ani u toskańskiego Gibellina, nie zapożyczył się Słowacki „w niczém“: oni ból nad wszystkie bóle wydali „plastycznie“, kiedy Słowacki, jak zwykle, raczéj „następstwem muzykalném“, niż kamienną posągowością; „a wśród tych poetyckich akordów odzywają się tak mądre, tak głębokie, że musisz rad nie rad po każdéj łzie wylanéj krzyknąć: wielki poeta!“

Inaczéj dwa lata temu osądził Ojca zadżumionych pan Z. K., dla którego poemat ten, choć jest „ustępem żywym i zajmującym w p r a w d z i e (tém „wprawdzie“ zarobił sobie pan Z. K. na nieśmiertelność), ale tylko ustępem; a co do pomysłu jestto, zdaniem p. Z. K., p r z e r y s o w a n i e owego z n o w u ustępu, który p. Słowacki na pamięć umié:

La bocca sollevó dal fiero pasto
Et peccator, etc., etc.

Solą w oku musiał być również dla nieprzyjaciół Słowackiego następujący ustęp o „potędze“ jego stylu. Styl Słowackiego to on sam, to „roztapianie się nieustanne na wszystkie strony“. Stylem tym bije on ciągle, „jakby falami o granice wszechrzeczy“, wciąż je podmywa i stara się odsunąć. „N i k t jeszcze tak smukle, gibko, fantastycznie po polsku nie pisał.“

Nikt, a więc i sam autor Pana Tadeusza.

Pokora, z jaką wiersz staje się Słowackiego niewolnikiem, „przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo... Na króla nam wygląda, kiedy zacznie mowie polskiéj rozkazywać.

Ten „król“ musiał także niemało napsuć krwi antagonistom Słowackiego, którzy w nim gwałtem widziéć pragnęli mickiewiczowskiego „wasala“. Wszak dlatego tylko chcieli, ażeby na uczcie z dnia 1 stycznia wręczył puhar Mickiewiczowi, akt bowiem ten możnaby uważać poniekąd za „dowód wasalstwa...“

„Od prozy, n a d k t ó r ą p o e t y c z n i e j s z é j w ż a d n y m j ę z y k u n i e z n a m y, aż do wiersza krótkiego, doraźnego“, nic mu pod tym względem niedostępnego, przed czémby się cofać myślał, a nigdy w tém nie znać pracy, ni musu: słowem, „w czarnoksięstwie stylu“ stanął Słowacki tak wysoko, że „n i k t w y ż s z y m nad niego, a równym mało kto.“

A że dziełom jego brak niekiedy całości, że „ducha swego nie

ściska dość w karby“, to właśnie wynik talentu i rodzaju fantazyi, jaką go obdarzyły nieba. On nie rzeźbiarzem, jak Mickiewicz, ale muzykiem się urodził i kolorystą. Mickiewicz to Michał Anioł naszéj poezyi. Pan Tadeusz to prawdziwa epopea. „Na równie ogromną żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył. Genialność Homera i dowcip Cerwanta w niéj stopiły się razem.“ Słowacki tymczasem, ze swoją wyobraźnią lotną i niepochwytną, to Rafael, to Mozart: czyli kontrast twórcy Konrada Wallenroda, kontrast, wynikający z następstwa. Słowacki, ponieważ przyszedł po Mickiewiczu, „nie mógł być tém, co się przed nim odbyło.“ Jest on poprostu „w logiczném rozwijaniu się sztuki polskiéj“ drugim momentem, a zatém różnym od pierwszego.

Tych „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“ rozgoryczyło ostatecznie antagonistów autora Beniowskiego. Jaki budziły w nich wstręt, a przedewszystkiém, jak trudno im było przenieść to niespodziewane zupełnie wywyższenie poety, wywyższenie, które go czyniło drugim bogiem obok Mickiewicza, nie mniejszym, tylko innym, „różnym od pierwszego“ (co jakby potwierdzało zuchwałe jego oświadczenie, wypowiedziane w ostatnim wierszu pieśni piątéj Beniowskiego), i jak niemile czuli się niemi dotknięci: o tém świadczy najwymowniéj fakt, że Ludwik Plater, utaił przed klubem te numery Tygodnika literackiego, w których się tych „kilka słów o Juliuszu Słowackim“ znajdowało.

Nie chcieli poprostu, ażeby w klubie czytano takie herezye. Lepiéj więc ukryć je i usunąć z oczu... Zwłaszcza, że chodziło tu nietylko o członków klubu, których artykuł podobny mógł jeszcze na korzyść talentu Juliuszowego usposobić, ale i o Słowackiego, którego powrotu spodziewano się lada dzień, a którego podobne kadzidła mogły w o tyle większą wprawić zarozumiałość.

Może się uda oszczędzić mu téj chwili zadowolenia, może się szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie dowié wcale o tych „kilku słowach“ tak wymownéj pochwały. Wszak w klubie jedynie zdarzało mu się widywać Tygodnik.

Nareszcie dnia 10 czerwca, raniutko, „smutny i rozpaczny, łając szalonemu sercu swemu“, powrócił Słowacki do Paryża. Ledwo się rozpakował, kiedy „na drugi dzień zaraz“ zapukano do drzwi i „z miną bardzo dumną i zimną“ wszedł Franciszek Szemioth, jeden z przedstawicieli owéj „eleganckiéj litewskiéj młodzieży“. Zapytany, co go tu o tak rannéj godzinie sprowadza—przyszedł bowiem bardzo wcześnie—oddał poecie „bilecik“, z którego się Słowacki przeko-

nał, „do jakiéj otwartéj wściekłości przyszli ci Jezuici-Litwini, kąsający go dotąd bezimiennie po pismach“ [1]). Bilecik ten, skreślony w taki sposób, ażeby poetę „upiec“ o ile możności jaknajboleśniéj, informował go zarazem: w jakim celu złożył mu Szemioth wizytę. Chodziło o to, że Szemioth przynosi z sobą „papiér“, który Słowacki powinien podpisać. W przeciwnym razie wyzwie go Ropelewski na pojedynek...

Przeczytawszy bilecik, Słowacki schował go „z najzimniejszą krwią“ do kieszeni, poczém oświadczył Szemiothowi, że papiéru wzmiankowanego (w bileciku) widziéć nie chce i będzie się strzelał, przyjmując wszystkie warunki.

Wówczas Szemioth, jako sekundant, zaczął nalegać nań, aby przynajmniéj pismo to przeczytał.

— Czytaj sobie —odparł Słowacki — jeśli ci się tak podoba, ale ja bynajmniéj nie ciekawy.

Pomimo takiego *dictum acerbum*, Szemioth wyjął z zanadrza przyniesiony przez siebie (a jak twierdzi Słowacki, „bardzo głupio zredagowany“) papiér i odchrząknąwszy, rozpoczął czytanie:

„Ropelewski cytuje strofę z Beniowskiego:

Mówią, że pismo pewne pisze b a b a
    Ale ja widząc, że kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma d r a b a,
    Który tłómaczy na język człowieka
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye,
W dyabelskim pisane dyalekcie.

Ropelewski żąda od Słowackiego, aby tę strofę z przyszłéj edycyi cofnął, teraz zaś powiedział, że nie myślał przez nią...“

Tu Słowacki przerwał czytającemu:

— Dość, dość tego! Com napisał, zostaje, i pojedynek przyjmuję.

---

[1]) Cała część druga niniejszego rozdziału oparta jest na niewydanym dotąd liście Słowackiego do pani Bobrowéj, pisanym z Paryża d. 16 czerwca 1841 r., nazajutrz po wszystkiém. List ten, zarówno jak i inne listy Słowackiego do pani Bobrowéj, pisane pomiędzy rokiem 1842—1845, znajdują się w Warszawie w jednéj z większych bibliotek prywatnych. Dzięki uprzejmości dzisiejszych ich, J. W. posiadaczy, autor niniejszego studyum był o tyle szczęśliwy (a szczęścia tego może mu niejeden wielbiciel Słowackiego pozazdrościć), że listy te w s z y s t k i e przeczytał...

Zob. również artykuł dr. H. Biegeleisena, drukowany w Tygodniku powszechnym, w Nr. 41, z r. 1884, p. t. „Pojedynek Słowackiego z Ropelewskim“. (Rzecz skreślona na podstawie współczesnych wypadkowi listów Leonarda Niedźwieckiego do Władysława Zamojskiego, z Paryża d. 14 i 24 czerwca 1841 r.). Zob. też Listy do matki, t. II, str. 73—7*a*.

Po téj scenie udał się Słowacki do Nabielaka, z którym był dobrze, i prosił go na sekundanta. Nabielak, lubo nie bardzo chętnie, przystał w końcu na uczynioną sobie propozycyę, odmówić bowiem przyjacielowi takiéj przysługi niepodobna, i stosownie do polecenia Słowackiego, ażeby się zgodził na wszystkie przez sekundantów Ropelewskiego podawane warunki, rozpoczął z nimi pertraktacye.

Słowacki tymczasem, w przewidywaniu najfatalniejszego dla siebie obrotu sprawy, gotując się, jakby na śmierć niechybną, pisał testament, którego egzekutorem mianował Leonarda Niedźwieckiego.

Napisał także do matki, „do niéj“ i do Zygmunta [1]).

Na podobnych zajęciach, przerywanych długiemi wizytami w klubie, w gronie kolegów, zeszło mu pięć dni.

Dni te, z wielu powodow, były dlań — jak sam powiada w jednym z późniejszych listów — „bardzo gorzkie“. Przedewszystkiém „niespokojność“. Bo któż zaręczy, że nie są to ostatnie chwile jego życia? Gdzie pewność, że pojedynek ten nie skończy się dla niego nieszczęśliwie? Jak mówi piosenka: Jedna kulka świśnie w czoło, a na ziemię runie trup.

A tu tyle pomysłów niewykonanych, tyle dramatów, tragedyi, poematów nienapisanych! Beniowski nieskończony, urwany na piątéj pieśni! Z sześciu tragedyi, czyli kronik dramatycznych, mających objąć legendowe dzieje Polski, napisane dopiéro Lilla Weneda i Balladyna! A gdzie Krakus, gdzie Wanda, gdzie Piast, gdzie Ziemowit?

Kiedy pomyślał, że wszystkiemu temu koniec może położyć

---

[1]) W liście do matki nie wspomniał przecież Słowacki ani pół słówkiem o czekającym go lada dzień pojedynku (jak o tém świadczą dwa późniejsze listy, t. II. str. 73 i 77), Krasińskiemu wraz z listem posłał poeta jeden egzemplarz „Beniowskiego“. Na list ten, pisany prawdopodobnie 10 lub 11 czerwca, odpowiedział Krasiński listem z d. 18 czerwca 1841 r. (zob. Listy, t. III, str, 28—30), gdzie pisze między innemi: „Dotąd Beniowskiego. nie odebrałem.“ W liście tym znajduje się również ustęp, pozwalający domyślać się, jak rozpaczną była treść listu Słowackiego. „Tassowi — pisze w odpowiedzi swéj Zygmunt — nie mogę powiedzieć tego, coś żądał, bo nie będę już w Neapolu, ale, jeśli ci chodzi o to, by obłąkany i smętny człowiek wiedział o tém, to sobie samemu to powtórzę, a stanie się twojéj chęci zadość.“ Godzi się również przypuszczać, że Słowacki musiał także w liście swym podziękować przyjacielowi za ów artykuł w Tygodniku literackim (Kilka słów o Juliuszu Słowackim), który antagoniści jego zataić przed nim usiłowali, a o którym on się dowiedział (może jeszcze we Frankfurcie?) od Niedźwieckiego, który mu o wszystkiém, co jego dotyczyło, donosił. Na wniosek ten naprowadzają listy L. Niedźwieckiego do Wł. Zamojskiego.

drobny kawałek ołowiu wystrzelony z pistoletu takiéj, jak Ropelewski „blado-zielonéj“ lali, nie dziw, że mu chwilami „bardzo gorzko“ było na duszy.

Następnie tęsknota za ukochaną, któréj już nawet zobaczyć nie miał przed... śmiercią, a o któréj myśl mieszała się teraz do wszystkich spraw jego... [1]).

W niemniejszym stopniu do zaprawienia mu goryczą tych pięciu dni przed pojedynkiem przyczynił się także Nabielak, który, wbrew przewidywaniom poety, okazał się bardzo niefortunnym, jako sekundant. Wszędzie, gdzie mu tylko wypadło występować samodzielnie, spisywał się „najgłupiéj i najpoczciwiéj“. Pomijając już, że nie stosował się do żądania Słowackiego „nie przyjmowania żadnego tłómaczenia“, ani zbytniego wdawania się ze stroną przeciwną w dysputy, wyraził mu nadto—zaraz pierwszego dnia—swoją obawę, że go za sekundowanie mogą wsadzić na sześć miesięcy do kozy „Piękne dodawanie ducha sekundowanemu!“

Słowackiego boleśnie to dotknęło. Nie chcąc go zaś narażać na przypuszczalne straty, przeznaczył mu w testamencie 1,500 franków na utrzymanie.

Nareszcie dnia 14 czerwca, w poniedziałek, o godzinie 11-téj wieczorem, zawiadomił Słowackiego Nabielak, że pojedynek odbędzie się nazajutrz, t. j. we wtorek dnia 15 czerwca, a odbędzie się nie w Saint-Germain, jak ułożono z początku, ale koło Paryża, „na placu, otoczonym pustemi murami.“

Przespawszy się „najspokojniéj“ [2]), wstał o 5-éj z rana, „przysięgam pani, zupełnie spokojny“, spojrzał na drzewa, rosnące w dole pod oknami jego mieszkanka, na słońce złote, ubrał się cały czarno, tak, aby „żadnego celu“ na osobie swéj nie posiadał, wypalił cygaro, zjadł dwa ciasteczka, wypił szklankę starego wina, poczém o 7-éj, sam, wyszedł z domu, ażeby spotkać się z Nabielakiem, który go o wpół do 9-éj miał oczekiwać w ogrodzie Luksemburskim, koło fontanny, i zaprowadzić na plac boju, niedaleko od ogrodu będący, albowiem między dziewiątą a dziesiątą miał być pojedynek.

---

[1]) Pani, i zawsze pani mięszasz się teraz do wszystkich spraw moich. Myśl o pani jest zwierciadłem dla ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w niém zawsze bez wstydu mógł przejrzéć.

[2]) Spokój ten przypisać należy nie tyle jakiéjś odwadze osobistéj (odważnym bowiem z natury nie był Słowacki nigdy), albo jakiemuś wyrozumowanemu lekceważeniu niebezpieczeństwa, ile raczéj niezwykłemu znużeniu i wyczerpaniu, następujących nieodbicie po każdym dłuższym szeregu nadmiernych wzruszeń moralnych i wstrząśnień.

Mając dosyć czasu, nie wziął dorożki, lecz szedł piechotą. Przechodząc przez targ kwiatów, na placu obok kościoła Św. Magdaleny, kupił sobie różę za grosz, „ażeby mieć ją przez cały czas w ręku i potém, zwiędłą, w złym lub dobrym wypadku, posłać...

— Komu? Pani to zgadniesz...

Bo myśl o niéj nie odstępowała go ani na chwilę: szła za nim, jak cień.

— Pani, i zawsze pani mięszasz się teraz do wszystkich spraw moich...

Nie zapomniał též o Bogu, którego opiece dobrze się było przed pojedynkiem polecić. W tym celu, już z ową różą w ręku, idąc daléj ulicą *Saint-Honoré*, wstąpił do kościoła *Assomption* (w którym niedawno jeszcze widywał co niedzielę panią Bobrową modlącą się), gdzie trafił właśnie „na samo po skończonéj mszy błogosławieństwo". Uważając to za dobry prognostyk (w chwilach bowiem podobnego naprężenia psychicznego zawsze się bywa trochę przesądnym), przeżegnał się i, już nie bez otuchy pewnéj, opuścił świątynię.

Dalsza droga wypadała mu przez *Jardin des Tuilleries*.

— W ogrodzie, na który pani patrzałaś, stanąłem znowu i długo oczy moje zatrzymały się na dwóch dobrze znajomych mi oknach. Ten dom teraz walą... Okna były zamknięte, żaluzye pospuszczane. Poszedłem daléj... Pani nie wiész, co to jest iść samotnie, bez przyjaciela, z różą w ręku, przez cały Paryż, nie pożegnanemu przez nikogo, w téj pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może nikt żałować nie będzie. Dobrze jest jednak użyć takiéj przechadzki, uczuć w sercu siłę dumną i niezłamaną, uczuć nawet zachcenie krwi, w ręku mieć broń, na sobie samym oprzéć się i uśmiechnąć się, czując, że dobrą jest podpora.

Wszystko to, ile że poeta brał w nim i teraz nawet górę nad człowiekiem, miało dla niego, jak sam się przyznaje w liście do matki, „jakiś powab rycerski i piękność." Nie wiedział jeszcze, ani przewidywał, że go u kresu spotka zawód, a to z następującego powodu.

Ropelewski, „ten sam krytyk Balladyny [1]), który podczas improwizacyi m o j é j [2]) omdlał", młody, 28-letni chłopak, „ładny, lecz

---

[1]) Zob. M. P., Nr. 29, 10 paźdz. 1839 r.

[2]) Tymczasem Januszkiewicz (w liście do prof. Małeckiego) utrzymuje, że Rop. omdlał po improwizacyi Mickiewicza. Zdaje się, że wobec stwierdzonéj już kilkakrotnie nieprawdomówności Januszkiewicza, wierzyć należy Słowackiemu, zwłaszcza, iż, pisząc ten list do p. B., „przysięgał" jéj, że pisze prawdę. Nie zdarzyło mi się zresztą n i g d y pochwycić Słowackiego na kłamstwie... O Januszkiewiczu tego powiedziéć nie można.

chorowity i nieco nalanéj cery,“ otrzymawszy wiadomość od Szemiotha, że Słowacki pojedynek przyjmuje, „uczuł wtenczas, że ma cokolwiek słabe nerwy“ i zaczął zwlekać. Dopiéro, kiedy poeta naglił i cofać się nie było sposobu, przyjechał do Paryża, bo bawił na wsi, w Saint Germain, „gdzie serce swoje u panny Pauliny P. zostawił.“ Przywieziono go jednak w pożałowania godnym stanie. „Bez serca, blady, z czerwonemi, obłąkanemi oczyma, bardziéj do mdłości, niż do strzelania skłonny,“ był ze strachu „podobny do trupa i zupełnie zdezorganizowany.“

Nawiasem mówiąc, sekundant jego Szemioth, (z obawy, żeby się nie dostać na sześć miesięcy do kozy za sekundowanie) na kilka dni przed pojedynkiem powierzył swą rolę Eustachemu Januszkiewiczowi. Ale i Januszkiewicz, tą samą snać dręczony obawą, co Szemioth, uważał za stosowne wycofać się w ostatniéj chwili, prosząc Kołyskę aby go zastąpił.

Jednocześnie prawie, Cezary P., przyszły teść Ropelewskiego, dowiedziawszy się od córki, o mającym nastąpić niebawem pojedynku niedoszłego zięcia swojego ze Słowackim, uważał sobie za obowiązek wszelkich ze swéj strony dołożyć starań, ażeby spotkaniu przeciwników zapobiedz. W tym celu przybrawszy do pomocy brata swego, kasztelana Ludwika, podążył razem z nim do Paryża, wślad za Ropelewskim i rozpoczął działanie.

Najłatwiejsza sprawa była z Ropelewskim, który nie mając wcale ochoty służyć Słowackiemu za cel do strzelania (témbardziéj, że autor Beniowskiego, jako wyzwany, miał tém samém prawo pierwszego strzału) skoro go namawiać zaczęto, ażeby od pojedynku odstąpił, bardzo łatwo dał się przekonać, że w Beniowskim nie ma dla niego żadnéj obrazy, i ulegając perswazyom ojca panny Pauliny, przyrzekł mu ostatecznie w obecności kasztelana i sekundanta swojego, Kołyski, że strzelać się nie będzie.

Po Ropelewskim, przyszła koléj na sekundanta strony przeciwnej, na Nabielaka, o którego „poczciwości“ wiedzieli pp. P., zarówno jak i Kołysko, a który, skoro mu przyszło pertraktować z... hrabiami (jest to bowiem cechą charakterystyczną pewnych demokratów, że im najbardziéj imponują... arystokraci) nietylko, że pomimo wyraźnego pod tym względem zastrzeżenia Słowackiego wdał się z nimi w dysputę [1]), przyczem wyraził się między innemi, że gdyby kto na

[1]) Zachowaniem się swojém na drugiéj uczcie u Januszkiewicza (1 stycznia 1841), gdzie przerwał Mickiewiczowi jego natchnioną improwizacyę, posądzając go o tendencye arystokratyczne, dał Nabielak najoczywistszy dowód swoich demokra-

niego tak napisał, jak Słowacki, nie darowałby mu nigdy i szukałby go po całym świecie, ale jeszcze w poczciwości swéj, graniczącéj z naiwnością nie do darowania, zgodził się na to, że nie ostrzeże Juliusza o podstępie, jakiego się względem niego dopuścić postanowiono, a który to podstęp, bardzo sprytny i... przewrotny, zasadzał się na tém, że oni, t. j. Platerzy, wystąpią w roli pośredników i, jako tacy, starać się będą nakłonić Słowackiego do ustępstw. Tym sposobem poeta, nie wiedzący nic o ustąpieniu Ropelewskiego, ściągnie na siebie choć cząstkę wstydu, jakim pojedynek ten (z jednym tylko wyjątkiem Słowackiego) okrywał wszystkich uczestników swoich...

Szczególniéj sekundantów, Kołyskę i Nabielaka, którzy powinni byli wiedzieć, że pojednania, jeżeli już o pojednanie chodziło, mogli dokonać oni jedni tylko, nie zaś osoby obce; a powtóre, że „sprawy takie załatwiają się na placu pod wymierzonemi pistoletami,“ kiedy tutaj nie dano się nawet zejść przeciwnikom [1]).

Przezorność ich tymczasem, jako sekundantów, wytężyła się w inną stronę, przedewszystkiém obrali takie miejsce, gdzie nikt ich ruchów podglądać nie mógł, potém wyznaczyli im czterdzieści kroków do strzelania się [2]), a wreszcie kupili... królika, ażeby mu „w łeb wypalić w téj saméj chwili, kiedy antagoniści mierzyli w łby swoje.“ Mówili bowiem: gdyby nas kto złapał, rzeklibyśmy, żeśmy strzelali do królika. Jedyne w swoim rodzaju rozumowanie! Wynikało zeń jasno, jak na dłoni, iż nie przypuszczano wcale, ażeby ten „pojedynek“ mógł się zakończyć krwawo... [3]).

---

tyczno-republikańskich przekonań. Zob. Chmielowski, Adam Mickiewicz t. II, str. 328.

[1]) Por. Biegeleisen *Op. cit.* Zdaje mi się, że są to wszystko wyrażenia, paczerpnięte z listów L. Niedźwieckiego do Wł. Zamojskiego.

[2]) Słowacki, w liście do pani Bobrowéj, powiada, że wyznaczyli im 20 kroków „i strzelać, kiedy się podoba.“

[3]) Oto odnośny ustęp z listu L. Niedźwieckiego do Wł. Zamojskiego, cytowany przez p. Biegeleisena: „Przedewszystkiém — powiada dowcipnie Niedźwiecki — obrali takie miejsce, gdzie nikt ich ruchów podglądać nie mógł, miejsce murem obwiedzione. Potém wyznaczyli im 40 kroków do strzelania się. Kupili nadto królika i mieli mu (królikowi) w łeb wypalić w téj saméj chwili, kiedy antagoniści mierzyć mieli w łby swoje. Mówili bowiem: gdyby nas kto złapał, rzeklibyśmy, żeśmy strzelali do królika (rozumowanie niechybnie dobre w przewidywaniu, które sekundanci mieli zapewne, że przeciwników kule nie będą chciały pójść do ich głów *respective*). Na tyle mądrości nagromadzonéj, trzeba było wdania się państwa Platerów, których środek uwolnił sekundantów od kozy, łby antagonistów od kuli a królika biédnego od niechybnéj śmierci, bo cokolwiek by zrobiły z sobą przeciwników kule, to pewna, że wyznaczona na królika, nie byłaby go minęła.“

— Biédny królik — pisał później Słowacki do swéj dręczycielki — on był śmieszno-tragiczną stroną pojedynku naszego.

Tymczasem, nie przypuszczając zgoła, ażeby sprawa pojedynku tak „Donkiszotowski“ mogła przybrać obrót, spacerował Juliusz „z różą w ręku“ dokoła basenu fontanny w *Jardin du Luxembourg* i czekał na sekundanta. .

O trzy kwadranse na dziewiątą, ujrzawszy go wreszcie zbliżającego się, podchodząc ku niemu, zapytał:

— Co? Czy przychodzą?

Na to mu odpowiada Nabielak, że nowa się rzecz stała, że różne zaszły zmiany, że Ludwik P. przyjechał z Saint Germain za Ropelewskim, że nabożny Cezary P. mu towarzyszy, że oba są w téj chwili u Ropelewskiego i godzą sprawę, że oba mają natychmiast do Słowackiego „w prośby“ przyjechać... [1]).

W Słowackim, kiedy mu sekundant jego wiadomość tę zakomunikował, „zawrzała krew:“ postrzegł bowiem, że mu „Jezuici z rąk uciekają.“ Przeczuł, że ten „blado zielony wróg,“ któryby pod pistoletem jego omdlał, nie pokaże się... Rzekł więc do Nabielaka:

— Jestem na placu boju i nie ulegnę.

Słysząc to Nabielak, i widząc wściekłość, malującą się na twarzy Juliusza, począł go zaklinać, ażeby tylko grzecznie obszedł się z P., kiedy nadejdą — a spodziéwać się ich należy lada chwila — i żeby starał się zachować krew zimną w rozmowie z nimi.

Jakoż ujrzeli niebawem nadchodzących „pacyfikatorów,“ którzy, przywitawszy się z nimi — nader serdecznie — wzięli odrazu, Ludwik P. Słowackiego, a Cezary Nabielaka pod ręce, poczém „w głębokim milczeniu“ zaczęli z nimi przechadzać się po alejach.

Wówczas to zaczął Kasztelan, starający się udobruchać Juliusza, „lisią przemowę,“ w którėj Ropelewskiego „oskarżył o nierozwagę dziecinną,“ Słowackiego zaś postępowanie „wynosił pod niebiosa...“ Skończył „pokornie“ podstępną prośbą, ażeby go Słowacki u p o w a ż n i ł do medytacyi... [2]).

---

[1]) Jakoż przyjechali istotnie, lecz nie zastali już Słowackiego w domu: „Albowiem przez traf nadzwyczajny, jeden z przyjaciół sędziwych mego antagonisty (zdaje się, że poeta ma tu na myśli Ludwika) dowiedziawszy się o tém, wpadł najprzód do mnie i już mię nie zastał. Zob. List z dnia 10-go sierpnia 1841, t. II str. 78.

[2]) Wyraz „upoważnił“ podkreślił sam Słowacki (w liście swym do pani Bobrowej).

Tego było mu już nadto, a że wogóle hamować się nie umiał, więc i teraz odbiegła go rozwaga. Rozirytowany, a nadewszystko oburzony przewrotnością tych „jezuitów,“ nie wytrzymał, ażeby nie powsiąść na nich i nie powiedziéć im gorzkich słów prawdy.

— Nie upoważniam panów do żadnych medytacyi — rzekł. — Jestem na placu boju i jeżeli przeciwnik, który mię wyzwał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mię każdy błazen wyzywał, zwlekał od dnia do dnia, i na plac mię wyprowadzał napróżno.

A obróciwszy się do Nabielaka, dodał: „Panie Nabielak, proszę, aby mi wyznaczoną była dziś albo jutro, godzina pojedynku. Ja na nią stanę i będę czekał.

Usłyszawszy to, Nabielak, i widząc, że Słowacki w coraz większy gniéw wpada, wydał tajemnicę...

— Z kimże ty się chcesz bić, czy z wiatrem? Oni się cofnęli.

— A tak, już się cofnęli — odrzekł „z miną pokorną“ Kasztelan.

— A, jeśli tak — odparł z szyderskim uśmiéchem poeta — to życzę panom dobrego dnia...

Dopiéro teraz otworzyły mu się oczy, dopiéro teraz zrozumiał, o co tym „lisom“ chodziło, do czego i jaką drogą zmierzali!!! Oto ni mniéj ni więcéj, tylko spodziéwali się, że nic mu jeszcze nie mówiąc, co zaszło, wymogą na nim „podstępnie,“ że on, Słowacki, da Ropelewskiemu „słowną przynajmniéj ekskuzę.“

Jeżeli tego się spodziéwali — a spodziéwali się tego istotnie — to spotkał ich bardzo wielki zawód. Słowacki bowiem, nie tylko, że się „złapać“ nie dał, ale wpadł jeszcze w taką „wściekłość tygrysią“ (któréj się nawet zataić nie starał), że nie licząc się ani z wiekiem ani z tytułami pp. Pl., wyłajał ich, jak na to zasługiwali. Przy sposobności „dostało się“ również i Nabielakowi...

Ta Słowackiego „wściekłość“ zrobiła takie na parlamentarzach wrażenie, iż „zadrżeli (Cezary zwłaszcza) o swoją lalkę i prosto mu ją od pistoletu uchylili“ t. j. uprosili Słowackiego, ażeby zamiaru strzelania się z Ropelewskim zaniechał.

Słowacki „tryumfował.“ Przekonawszy się, „co to za wrogi“ są ci przyjaciele, więcéj o życie, aniżeli o honor protegowanych swoich dbający, zapalił cygaro, chcąc im przez to o tyle wyraźniéj lekceważenie swoje okazać, poczém zabiérał się do odejścia, pilno mu bowiem było „porzucić ich wszystkich z wielką wzgardą.“

Ale nie dopuścił do tego Kasztelan. Wziąwszy znów Słowackiego pod ramię, jakby zapominając o tém, że przed chwilą, słuchając

„łajań“ poety, zawołał „litośnie,“ z oczyma do nieba wzniesionemi: „Jak on mnie traktuje!“ próbował go nakłonić do jeszcze jednéj rzeczy, mianowicie: że najlepiéjby było, iżby on, Słowacki, dał słowo honoru, że „o tak zakończonym pojedynku“ milczéć będzie, zachowując całe to zajście dla siebie, w tajemnicy przed ludźmi.

Słowacki atoli dał i tutaj odmowną odpowiedź. O pojedynku tym — mówił — pisał już do kilku osób, gdyby więc milczał i te same osoby strzałów pistoletowych nie słyszały, mogłyby myśléć, że on się upokorzył i dał jaką wymówkę słowną lub na piśmie. Będzie więc mówił o tym pojedynku i pisał, jak mu się podoba.

Zgodzili się i na to. Bo i cóż mieli robić? [1]).

Nakoniec, Cezary, który w pobożności swéj pragnął, ażeby wszystko zakończyło się... po chrześciańsku, zaczął namawiać Juliusza, aby się tego samego dnia jeszcze, o ile możności zaraz, z Ropelewskim „widział, zgodził i kochał.“

Na to Słowacki: „Kochać można tylko człowieka, którego się szanuje, a ja dla pana Ropelewskiego szacunku miéć nie mogę. Będę z nim grzecznie i nie dam mu uczuć wzgardy, ani go poniżę w towarzystwie... Ale z kochaniem wstrzymam się, aż pan Ropelewski co dobrego zrobi.“

Po têm oświadczeniu Juliusza, pp. P., widząc, że „tygrys“ w nim nie jest już tak „wściekły,“ jak z razu, zaprosili go na śniadanie. „Tygrys“ jednak „wyrywał się,“ jak mógł, i w żaden sposób zaproszenia przyjąć nie chciał. I postawiłby na swojém, gdyby nie Nabielak, który, jako sekundant, „miał prawo rozrządzać czasem“ i którego rozkazowi, a przynajmniéj namowom, nie można było nie być posłusznym.

Śniadanie to odbyło się u Cezarego P. Pojechano też i po Ropelewskiego. Wprowadzając go do pokoju, gdzie już był Słowacki, Ludwik P. (on bowiem sprowadził Ropelewskiego) wystąpił z przemową, mającą na celu pogodzenie i pojednanie przeciwników. Dowo-

---

[1]) Oto, jak całę tę „przeprawę“ w Ogrodzie Luksenburskim opisuje w liście z d. 24 czerwca 1841 do Wł. Zamojskiego Leonard Niedźwiecki (cytowany przez p. Biegeleisena): „Słowacki mężnie się znalazł do końca. Naprzód odrzucił pośrednictwo panów P., podstępnie ofiarowane. Dawali mu je wtedy, kiedy już mieli słowo Ropelewskiego, że... strzelać się nie będzie. Chcieli, aby Słowacki zezwoleniem na medyacyą ściągnął na siebie cząstkę wstydu, jakim ten pojedynek okrył wszystkich niemal uczestników. Rzecz tak dobrze miała być ukartowaną, że sekundant Słowackiego, świadomy już odstąpienia Rop. od pojedynku i obecny negocyacyi P., nie ostrzegł go o podstępie. Było to na godzinę przed pojedynkiem. Słowacki czekał w ogrodzie Luksemburskim na zejście się i t. d.

dził, że do pojedynku racyi nie było, że to swoje przekonanie wpoił w serce Ropelewskiego, że Rop. wzruszył się i dał się nakłonić do cofnięcia wyzwania swego etc.

Po téj oracyi Kasztelana, Ropelewski z wyciągniętą ręką podszedł ku Słowackiemu, na co ten, nie odmawiając mu swojéj, rzekł wspaniałomyślnie, ale „zimno:“

— No, jeśli się mamy pogodzić i nie pamiętać o tém, co zaszło, to trzeba zapomnieć na zawsze.

Na te słowa, „choć nie bardzo czułe,“ Ropelewski rozpłakał się...

Potém dano śniadanie, podczas którego — jak powiada Słowacki w jednym z późniejszych listów do matki — nadskakiwano mu, jak zwierzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić.

Rzecz charakterystyczna, że w śniadaniu tém [1]) nie chciał wziąć udziału sekundant Ropelewskiego, Kołysko, który, choć cieszył się opinią „człowieka, lubiącego cudze śniadania, zwłaszcza, kiedy go na nie proszą,“ tym razem „przez wstyd“ nie przyszedł i pomimo nalegań ze strony Ludwika P., został w domu. Najlepszy dowód, jak mu się cała sprawa „krzywą“ wydała...

Co ciekawsze, to, że dzięki pojedynkowi temu zyskał Słowacki w Kołysce — niespodziéwanie zupełnie — szczerze oddanego sobie stronnika. W przekonaniu bowiem Kołyski, jeden tylko Słowacki wyszedł ze sprawy téj... nie splamiony. To też, choć do niedawna jeszcze, jako sekundant Ropelewskiego, musiał, chcąc nie chcąc, zachowywać się względem poety nieprzyjaźnie, teraz, skoro mu już nic na przeszkodzie nie stało otwarcie stanąć po jego stronie, zmienił front, i z pozornego antagonisty Juliusza (w gruncie rzeczy bowiem nie był dla niego nigdy wrogo usposobionym, czego dał zresztą dowód w dniu 25 grudnia), stał się odrazu zapalonym tryumfu jego „rozgłosicielem“ pomiędzy znajomymi swoimi, a przedewszystkiém w Klubie.

„Stało się tak, że klub się cały o pojedynku dowiedział rano,“ dzięki Kołysce właśnie, tak, iż wieczorem, kiedy poeta, jak zwykle, przyszedł na obiad, przyjęli go wszyscy „po bratersku.“ We wszystkich oczach widział „błyszczącą przychylność.“ Wszyscy też, cieka-

---

[1]) Po skończoném śniadaniu, Słowacki wrócił do domu, a P. z Ropelewskim wrócili tego samego dnia jeszcze do St. Germain, gdzie na nich czekały żony i... panna Paulina z herbatą dla swego narzeczonego, Słowacki tymczasem (jak pisze w liście do pani B.) nie miał w Paryżu nikogo, ktoby mu... podał herbatę.

wi przeczytać tę strofę, którą autor gotów był krwią własną okupić, poczęli się dobijać o Beniowskiego.

Takie bohatérstwo, nie dziw, że bardzo wielu „nawróciło“ na korzyść Juliusza (cóż dopiéro, kiedy przeczytali Beniowskiego!) bo cokolwiek o nim mówili „zrąbani“ w poemacie „jezuici-litwini,“ zaprzeczyć nie mógł nikt, że zachowanie się Słowackiego w ciągu tych pięciu dni przed pojedynkiem było podziwu godne: nie mówiąc nikomu, że ma się strzelać w tych dniach, potrafił tak dobrze „do ostatniego momentu“ ukryć przed kolegami „niespokojność“ swoją (bo trudno być zupełnie w takich razach spokojnym) że każdy dziwił się, iż na nim bynajmniéj tego nie spostrzegł.

Opowiadano sobie o tém szeroko podczas obiadu. Jeden mówił, że w poniedziałek jeszcze, wczoraj, a więc w wilię pojedynku, prosił Słowackiego o jakąś książkę, a on mu ją z najzimniejszą krwią przynieść obiecał we wtorek, dziś, choć dziś właśnie czekał go pojedynek. Ktoś inny, również wczoraj, w poniedziałek, umawiał się z nim na dziś do teatru... Leonardowi Niedźwieckiemu dało to asumpt do powiedzenia mówki na cześć Juliusza, mówki, w któréj wyraził się o nim między innemi, że zasłużył sobie, aby go — wrazie, gdyby padł w pojedynku — nabalsamowano po śmierci i nie w zwykłéj, drewnianéj, ale w ołowianéj pochowano trumnie, wprawiwszy mu uprzednio, jak Galanowi, parę szklannych oczu, któremi mógłby poglądać tam, dokąd mu się wciąż dusza wyrywała i serce...

— Uściskałem go za to — pisze Słowacki do pani Bobrowéj — bo te oczy jeszczeby i na panią spojrzały z trumny ołowianéj i możebyś przypomniała pani, żeś je często łzami zalane widziała...

Tak się zakończył ten „dzień Donkiszotowski“ w życiu autora Beniowskiego.

Nazajutrz, już uspokojony zupełnie, napisał Słowacki długi list do swéj dręczycielki frankfurckiéj, list, w którym jéj „z dziecinnemi szczegółami“ cały ten „ranek wtorkowy“ opisał, a który zakończył oświadczeniem, że wrazie, gdyby chciała od niego jakich wiadomości o Aleksandrze Potockim, który przyjechał właśnie do Paryża, albo o panu C... „to proszę mię o nie poprosić. Inaczéj będę milczał, jak gdyby mię zabito w pojedynku.“

VII.

Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi w i e l k i tom napiszę w lecie.

Poemat podobał się i, cokolwiek o nim myśleli „zrąbani antagoniści,“ zwrócił o tyle „wszystkich oczy“ na osobę swego autora, że na-

wet ci, „którzy nigdy przedtém nie oddali mu odkłonu,“ uchylili teraz przed nim czoła; należało więc, stosownie do wyrażonego w pieśni drugiéj przyrzeczenia, zabrać się do pisania „drugiego wielkiego tomu.“ Lato nadeszło.

Atoli planując sobie, że „w lecie“ napisze dalszy ciąg Beniowskiego, nie wiedział Słowacki, że wiosna spędzona we Frankfurcie, przy boku ukochanéj i w otoczeniu... książek niemieckich, czytanych w przerwach pomiędzy wizytami u pani Bobrowéj, książek, między któremi znajdzie się i Faust Goethego, że wiosna ta nie pozostanie bez wpływu na jego wyobraźnię poetycką i że ją pchnie w innym kierunku, nowemi zapładniając marami.

Faust, medytujący, jak Manfred, nad zagadnieniami bytu; cyniczny Mefisto, przebrany za hiszpańskiego hidalga; Wagner,

sługa Fausta, gap uczony,
Któremu zda się, że już wszystko umié,
A jeszcze słów są ogromne szwadrony,
Których rozumem swoim nie rozumié [1]);

tragedya Małgosi; szalony taniec Czarownic w noc walpurgową: wszystko to, przeniknąwszy do umysłu poety, gdzie napotkało takie „pół-upiory,“ jak pan Maurycy Beniowski, Sawa, ksiądz Marek, Aniela, panna Gruszczyńska, Książę Panie Kochanku wraz z całym tłumem „pijących gardeł, wąsów, psów“ etc., poczęło się z niemi bratać, łączyć, zlewać — niby różnokolorowe szkiełka w kalejdoskopie— z czego taki ostatecznie wyniknął rezultat, że Imci Pan Beniowski, z szlachcica, myślącego dotychczas o szabli tylko i pannie Anieli, zaczął się zwolna stawać podobnym do... Fausta. Jak Faust, począł — w wyobraźni Słowackiego — „zakładać straszną myśli pracownię;“ jak Faust w Małgorzacie, zaczął się kochać w Księżniczce, (którą sobie poeta mimowoli wyobrażał podobną do pani Bobrowéj, z takiemi samemi oczyma turkusami); jak Faust, zaczął się wdawać z dyabłami, z czarownicami; jak Faust, zaczął wywoływać z pod ziemi duchy bohaterów Homera i t. d.

Ztąd poszło, że fantazya poety coraz bardziéj zaczęła się do pomysłu tego zapalać, a że już na kilka miesięcy przed tém w pieśni drugiéj Beniowskiego powiedział, iż pociągnąwszy hausta,

Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta,

chwycił więc za pióro i, porzuciwszy chwilowo poemat, nie namyśla-

---

[1]) Zob. Beniowski (pośm.), str. 117.

jąc się długo przystąpił do pisania dramatu fantastycznego o Beniowskim w rodzaju Fausta [1]).

Od pracy nad tym utworem oderwał go na moment list Krasińskiego, pisany już na wyjezdnem z Rzymu do Niemiec, pod datą 18 czerwca 1841, a będący odpowiedzią na ów list Juliusza, pisany bezpośrednio po powrocie z Frankfurtu do Paryża.

„Bóg jeden tylko dotyka się umarłych i wskrzesza ich: kto śmiertelny, ten galwanizuje ich tylko i sam się zabija. I ja tak zginąłem, i ty teraz w taki sposób omdlałeś.“

Po tej uwadze, odnoszącej się do Słowackiego i pani Bobrowej, następował szereg uwag filozoficznych na temat, że „świat sprzecznościami stoi,“ że „ironia gości w tem życiu,“ bo ironia „to praktyka świata“ i t. d. Dlatego

szczęśliwi ci, co biją się w piersi i mówią: tu wiara i potęga jest; szczęśliwi, którzy lekkomyślności pełni; szczęśliwi, którzy miłością własną do purchawek podobni, bo nim pękną, dobrze im jest po wszystkie dni żywota, a gdy ich silniejsza noga roztrąci, już nie czują nic; szczęśliwi, którzy się kochają w koniach, powozach, powozikach, frakach, kamizelkach i infantkach hiszpańskich; szczęśliwi, głupcy i durnie i nikczemni wszelkiego gatunku, bo ich Królestwo ziemskie, a nam niebieskiego czekać trzeba. Kto wie czy nadejdzie? A kiedy nadejdzie może uż nam odechce się jego, jak wszystkich długo żądanych rzeczy bez skutku.

Uwagi te, wykazujące Juliuszowi nicość takiego „omdlenia“ dla kobiety i dowodzące, że choćby mu się ją nawet zdobyć udało w końcu, jeszczeby się „niebo“ to rychło w piekło przemienić mogło, bo „gdzie płyną fale, tam poniosą nas;“ uwagi te, niezaprzeczenie słuszne, zmierzały wszystkie do jednego celu: do życzenia i przyjacielskiej prawdziwie przestrogi: „Bądź zdrów, czem zdołasz, krzep się i niedaj;“ czyli innemi słowy, nie gmatwaj się dłużej w tej miłosnej sieci, bo miłość, to labirynt, w którym nietrudno paść ofiarą krwiożerczego Minotaura, szczególniej gdy nim jest kobieta, jak pani Bobrowa, nieszczęśliwa i już do pewnego stopnia umarła dla świata. Można wprawdzie „kilka razy przed ostatecznym końcem martwieć i odżywać na ziemi,“ ale i temu zaprzeczyć nie podobna, że każde zmartwychwstanie takie „coraz leniwsze, a sny, ospałość, smutki, coraz cięższe,“ dla mężczyzny zwłaszcza, który je dźwigać musi. Dlatego „szukaj żywych, Julu, z żywymi przestawaj: igrać nie można ze śmiercią.“

---

[1]) Zob. Słowackiego pisma pośm., t. III, str. 395 — 426, dwa fragmenty z dramatu „Beniowski.“

O sobie nie miał Krasiński tym razem nic tak dalece ważnego przyjacielowi swemu do doniesienia; tyle tylko, że za dni kilka opuszcza wieczne miasto.

Jadę tą samą, wieczną drogą moją: naprzód mokrą i parową do Genui, następnie suchą i górzystą przez Alpy, wreszcie równą i nudną przez Bawaryą do Kissingen, gdzie mineralne wody, pite przy odgłosie muzyki Greyschutzowéj o piątéj z rana, mają zdrowiu mojemu pomódz!!!

Stało się jednak inaczéj, zamiast bowiem do Kissingen, jak to było jego pierwotnym zamiarem, udał się autor Irydiona — razem z Danielewiczem — do Wildungen w księstwie Hessko-Kasselskiém, gdzie na nim ojciec-generał wymógł ostatecznie obietnicę ożenienia się... Z Wildungen wyjechawszy, „tłukł się“ Krasiński „safandulnie“ po Dreznach, Kasslach, Karlsbadach (w Karlsbadzie spotkał się ze swoją Beatrice), Toeplitzach, Frankfurtach, po kolejach żelaznych [1]) *„per Bacco!* żelaznych i dymem czarnym zamglonych,“ aż w końcu, razem z Danielewiczem i... panią Delfiną Potocką, zatrzymał się na czas jakiś w Lombardyi, w willi Melzo nad jeziorem Como, „nad jeziora włoskim brzegiem“ [2]).

Słowacki tymczasem, nic a nic o tych romansowych wędrówkach Zygmunta nie wiedzący, jeszcze jedno odniósł zwycięstwo nad swymi antagonistami. Zwycięstwem tém, bardzo schlebiającém jego miłości własnéj (w życiu Juliusza miłość własna grała podobną rolę, jak t. zw. *Leitmotiv* w operach Wagnera) był artykuł Jana Koźmiana, wydrukowany 10 lipca w Dzienniku Wrotnowskiego, tego samego Wrotnowskiego, który dwa miesiące temu nie chciał w piśmie swém umieścić płatnego ogłoszenia o wyjściu Beniowskiego, artykuł, opowiadający bezstronnie i przedmiotowo o obudwu ucztach u Januszkiewicza, szczególniéj o uczcie z dnia 25 grudnia.

O improwizacyi autora Beniowskiego powiedziano tam między innemi, że poeta wygłosił ją wierszem „pełnym giętkich zwrotów, śmiałych porównań i życia.“

Przebijała się czasem gorycz i ironia w jego strofach, ale piękność ich

---

[1]) Zob. Listy do St. Małachowskiego, str. 7.

[2]) Zob. St. Tarnowski, przedmowa do lw. wyd. pism Z. Krasińskiego, str. XXXV. W liście do Sołtana, datowanym d. 4 grudnia 1841 r. z Monachium (Listy t. II, str. 251 — 2) pisze autor Przedświtu pod wrażeniem choroby Danielewicza, co następuje: „A prócz tego, ileżeśmy razy ją (twarz Danielewicza) oglądali pod wszystkiemi życia światłami i cieniami: raz młodzieńczą, chudą, przebladłą, a pełną tajemniczego wdzięku! Tak ją widziałem niedawno temu jeszcze w willi Melzo nad jeziorem Como etc.

artystyczna uderzyła słuchaczy i kiedy siadł, wielkie dały się słyszeć oklaski.

Przy końcu uściskali się improwizatorowie: żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony. Jeżeli który z dwóch zwyciężył, to ten, co czuł więcéj, co szczerzéj dłoń drugiego chwytał. Tak to zrozumieli obecni.

Artykuł ten uważał Słowacki za oddanie sobie sprawiedliwości. Cieszyło go zwłaszcza, że „zrąbani antagoniści“ sami poniekąd przyznawali się do winy, skoro po upływie pół roku przeszło po fakcie uważali jeszcze za stosowne wystąpić z podobnym artykułem, będącym sprostowaniem tendencyjnéj wiadomości, podanéj w Improwizatorach N. O.

— Rzadko przed śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali: wydrzéć im to siłą jest bardzo miło [1]).

Chwilowe to jednak zadowolenie nie było zdolne rozproszyć tęsknoty za oddaloną kochanką (z którą, nie wiedział nawet, czy się zobaczy kiedy) oraz znużenia, wynikającego z kanikuły letniéj. Chodząc po rozpalonym bruku Paryża, rozpalającego się o téj porze, „prawie do atmosfery piecowéj,“ a zawsze „jedną tę serdeczną ranę“ mając na myśli, „tę jedną, smętną ranę, że Jéj nie ma,“ podobny pod tym względem do Krasińskiego w r. 1835 w Tryeście, bo i jemu nie mniéj dokuczała dziś „każda chwila bez niéj,“ ociężały, leniwy, do niczego, a przedewszystkiém do pracy twórczéj niezdolny, zobojętniały na to, co się dokoła niego działo pomiędzy rodakami — a działy się dziwne rzeczy — znudzony nietylko sobą, [2]) ale i towarzystwem kolegów swoich w klubie, na domiar złego zachorował w końcu: dostał grypy, [3]) która go „położyła na trzy dni między kołdrami.“

W taki to sposób upłynęły mu miesiące lipiec i sierpień, kiedy nagle, jednego z pierwszych dni września, dowiaduje się, że powróciła do Paryża... pani Bobrowa, (tym razem z obydwiema córkami, Lolką i Zosieńką).

Nie mogła mu większéj sprawić niespodzianki. Jakie na nim przyjazd ten [4]) zrobił wrażenie, jak go ucieszył, o tém świadczył bar-

---

[1]) Listy do matki, t. II, str. 77.

[2]) Godzi się także napomknąć, choćby w nawiasie tylko, że się poeta w tym czasie z Rue Castellane Nr. 11 przeprowadził na Rue de la Ville l'Evêque 10 (bis). Dnia 22 września 1841, w liście do redakcyi Orędownika Poznańskiego podaje już Słowacki ten adres. Zob. Krytyka krytyki i literatury, Poznań, 1891.

[3]) Listy do matki, t. II, str. 159, 160.

[4]) Czy pani Bobrowa całe lato spędziła w Niemczech, we Frankfurcie i Wiesbaden? czy też, spędziwszy tam wiosnę, na lato wyjechała na Wołyń, do Zahajec? Na te pytania dziś jeszcze odpowiedziéć stanowczo nie można. W każdym razie jedno jest pewném, mianowicie, że teraz, w roku 1841, przyjechała pani Bobrowa

dzo wymownie „weselszy“ o wiele, niż zwykle, list w tych czasach do matki napisany, list, w którym pani Becu wyczytać mogła między innemi, co następuje:

Teraz szczęśliwszy jestem, niż kiedykolwiek w życiu: wszystko się tak składa, jakby Bóg nademną czuwał i kochał mię, i błogosławił mię. Serce moje, długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że jeszcze może wiośnianém oddychać powietrzem: charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać: szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się jak człowiek szczęśliwy, żyłem.

Co zaś szczególną napełniało mu serce nadzieją, to, że zauważył obecnie u pani Bobrowéj jak gdyby pewnego rodzaju zmianę... na swoją korzyść. Już sam fakt, że przyjechała powtórnie do Paryża, nie mało dawał do myślenia...

Kto wié, czy to nie owa „troska serca nieszczęśliwego, szukającego tęskno jeszcze jednéj chwili życia i wiosny na ziemi“ nie skłoniła jéj głównie do powrotu i czy nie myśl o nim, o Słowackim, przeważyła ostatecznie na szali decyzyi? Kto wié, czy zostawszy samą nie zatęskniła czasem do niego? Kto wié, czy wtedy dopiéro, kiedy wyjechał — z Frankfurtu — nie spostrzegła się, że jéj na nim przecież „cokolwiek zależy?“ Któż zaręczy, że serce jéj nie biło teraz żywiéj dla niego?

Przypuszczenia te — chwilami — nie wydawały mu się nieprawdopodonemi, ani bezpodstawnemi, a że sama już myśl o możliwości pozyskania sobie z czasem serca pani Joanny anielską go przenikała radością, snuł więc w wyobraźni swéj czarowną przędzę marzeń i budując zamki na... lodzie, „wierzył,“ iż jest „w jakiéjś dobréj szczęścia epoce,“ w któréj nie potrzebuje obawiać się zawodu.

Są lata napełnione nudą i troską — pisał pod wpływem tego błogostanu do matki — w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię.

Nic mu wtenczas w porę nie przychodzi, usiłowanie żadne skutku nie bierze;

---

z obydwiema córkami, Ludwiką i Zofią, kiedy przedtém (jak to wynika z listów Słowackiego do Niedźwieckiego) miała przy sobie jedną tylko, Ludwikę. Jest to zresztą fakt małéj wagi, który na miłość Słowackiego do pani B. nie wpływał zupełnie...

Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że przyjechawszy teraz powtórnie do Paryża, pani Bobrowa (jak nas o tém informują listy Słowackiego do niéj), zamieszkała przy Rue de l'Elysée, naprzeciwko pałacu i ogrodu de l'Elysée... Nawiasem mówiąc, z Rue de la Ville l'Evêque, na którą się w tych czasach przeprowadził Słocawki było kilkadziesiąt kroków zaledwie na Rue de l'Elysée...

są to lata dążenia, gorączki podróży, upragnień, zachceń, bólu, złe słowem i bezsenne lata. Lecz nagle, jeśli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia że życie staje się pełniejszém, że jedni ludzie zupełnie się przeciw nam deklarują, drudzy są naszymi przyjaciółmi. Jest coś w sercu, co nas o tém ostrzega; może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobrą ona jest i mnie teraz weselej. Przyjechała tu moja znajoma z Frankfurtu i mam u niéj dom przyjazny, gdzie mi dobrze na rozmowie schodzą godziny... Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterystycznych mego humoru uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków... Przyjedź, droga moja, a zapoznamy się na nowo i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienbym był o wszystkiém zapomnieć, myśl o tobie zachmurzała mi czoło i wtrącała mię w tęsknotę... Ale ty mnie kochasz: twoja miłość wyprzedziła wszystkie ludzkie miłości i zapewne je przetrwa. Jeszcze raz ci powtarzam, bo wiem, że ci to serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiéj i szczęśliwiéj, a ja nie jestem, jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy teraźniejszego dobra nie czują i Bogu nie są zań wdzięczni. Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia; teraz z uśmiéchem patrzę na to, co minęło, i ty się, droga, uśmiéchnij i kochaj mię wesoło i z nadzieją... Zresztą wszystko po dawnemu: kocham ciebie, myślę o tobie najczęściej wtenczas, kiedy mi dobrze, śnię nawet czasem... Ileż mógłbym ci opisać maleńkich okoliczności, małych, codziennych tryumfów, z których podobno, jakoteż i z małych trosk, składa się życie każdego człowieka; ale każde takie maleńkie zdarzenie wymagałoby arkuszowych listów i łańcucha całego okoliczności miejscowych. Zostawiam to więc kiedyś na nasze rozmowy wieczorne... O, ilebym ja rzeczy miał do opowiadania, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli! Jak często płakałabyś i uśmiéchałabyś się radośnie słuchając o moich przygodach! [1]).

Opowiedziałby jéj wówczas, jaki żywot pędzi obecnie: jak „czasem chodzi do teatru“ (najczęściéj do *Comèdie Française* albo do *Variétés*) a głównie w tym celu, ażeby asystować w loży pani Bobrowéj i jéj córkom; jak podziwiają razem nieporównaną grę boskiéj Rachel w tragedyach Corneille'a i Racine'a; jak się spotykają na mszy w kościele l'Assomption, zkąd on je potem odprowadza do domu; jak go pani Joanna zaprasza na obiady; jak jéj grywa na fortepianie różne melancholijne kompozycye Chopina; jak jéj przynosi do czytania świéżo napisane przez siebie utwory (a pisze teraz rzeczy, które go często myślą w rodzinne strony zawodzą, tak, iż duch jego „przechadza się po księżycu w Julinkach i pływa z łabędziami po stawach“); jak dostaje od niéj kwiaty, które późniéj nosi zasuszone w pugilaresie („które gdybyś widziała, powiedziałabyś, że jestem głupie, 15-letnie dziecko“); jak się czuje szczęśliwym, kiedy jest przy niéj, a jak sobie już nie wystarcza dziś wieczorami, on, który dawniéj tak „lubił

---

[1]) Por. trzy listy z tego czasu, w wyd. lw., t. II, str. 70 — 74.

samotne wieczory;“ jak się ubiéra elegancko (bo „wszystkie kobiéty na ubiór patrzą, pióra i trzewiki“); jak w chwilach wolnych „zbiéra i sadzi tulipany,“ których ma cały ogródek za oknem; jak pozuje Oleszczyńskiemu do medalionu; jak patrząc na ten wizerunek „przecudowny w wyrazie twarzy“, cieszy się, że go niezadługo będzie mógł wysłać do Krzemieńca; jak na samą myśl o tém „prawie skacze z radości i dziwi się, że jest takim dziecinnym;“ jak dzięki zbiegowi różnych okoliczności „traci więcéj, niżby należało, (ale cóż robić?“); jak mu się swoją drogą zdaje, że go „Bóg nie zapomniał w niebie;“ jak się teraz czuje zdrów, lepszego, niż dawniéj humoru, spokojniejszego charakteru („słowem, zmieniony tak, jak dla mojego szczęścia było potrzebne“): a wszystko to zawdzięczając tym „wypadkom, dotyczącym serca“ jego, o których nie pisał, „bo, prawdziwie, nie wiedział, o czém i jak pisać,“ gdyby zaś chciał ją „o wszystkiém uwiadomić, musiałby napisać coś nakształt romansu Walter-Scotta...“

To jednakże uczucie moralnego zadowolenia, równającego się prawie szczęściu, nie przeszkadzało mu bynajmniéj, kiedy go redakcya Orędownika Poznańskiego zaprosiła do współpracownictwa, napisać feljeton, w którym, pod tytułem K r y t y k a k r y t y k i i l i t e r a t u r y „popłynęły znowu słowa pełne szyderstwa i gryzącéj ironii“ nietylko na pseudo-krytyków znienawidzonego przez poetę Tygodnika Wójkowskiego, konkurującego z wydawcami Orędownika [1]) ale i na cały zastęp poetów *minorum gentium* ze szkoły Mickiewicza. Nie obeszło się przytem naturalnie i bez tego, ażeby kilka kropel żółci nie spadło na autora Dziadów, którego „zadrasnąć“ i „okryć śmiesznością“ szczególną w tych czasach sprawiało jeszcze Słowackiemu satysfakcyą...

Artykuł ten, wysłany z Paryża d. 22 września, wraz z uprzejmym bardzo dla redakcyi Orędownika dopiskiem „do zupełnego Jéj rozrządzenia,“ uznała taż redakcya za niekwalifikujący się do wydrukowania. Czemu? Łatwo zgadnąć. Odstręczył ją od tego „uszczypliwy i szyderski ton, w jakim Słowacki dotknął literackich stosunków i niektórych działaczów krytyki i literatury w dzielnicy poznańskiéj,“ i powstrzymała obawa, ażeby nie narazić się tym, przeciwko którym wymierzone było ostre żądło pióra Juliusza [2]).

Niepowodzenia tego nie wziął sobie Słowacki bardzo do serca, serce jego bowiem i wyobraźnia zaabsorbowane były innemi „rzecza-

---

[1]) Józefem Łukaszewiczem i Antonim Poplińskim.

[2]) Zob. doskonałą przedmowę, jaką Dr. Bolesław Erzepki opatrzył wydanie téj Słowackiego „Krytyki krytyki i literatury“ (Poznań 1891).

mi.“ Wobec powabów życia, któróm poeta „żył“ obecnie, literatura ustąpić musiała na drugi plan.

Chodziło o stworzenie sobie raju na ziemi. Nadarzała się sposobność — tak się przynajmniéj zdawało Słowackiemu — zakosztowania słodyczy, po jakie niejeden marzeniem nawet nie sięgnął; słodyczy, dla których warto było poświęcić więcéj, aniżeli zgryźliwy artykuł przeciwko Tygodnikowi.

Wierząc, iż od chwili powtórnego przyjazdu pani Joanny do Paryża, wstąpił niespodziewanie „w jakąś dobrą szczęścia epokę,“ zaczął Słowacki (w imaginacyi swéj) wznosić dla szczęścia tego wspaniały gmach, podobny do jakiegoś fantastycznego pałacu padyszacha z baśni tysiąca i jednéj nocy, utkany cały z brylantowo-złotéj przędzy rojeń i snów, przejrzysty, słoneczny, wszystkiemi kolorami tęczy, jak bańka mydlana, grający, przepełniony atmosferą pożądań wzajemnych, atmosferą, która, jak haszysz, otumaniała zmysły i nerwy, a w któréj wszystko zdawało się zawodzić jakąś Salomonową pieśń nad pieśniami o miłości, rozkoszy i upojeniu.

W takim to gmachu myślał poeta zamieszkać z ukochaną, kiedy nagle, z jasnego lazuru nieba, ani jedną na razie nie splamionego chmurką, niespodziewanie zupełnie... gruchnął piorun, i nastąpiła katastrofa, jak dla Słowackiego, straszna: albowiem zaczarowany jego pałac szczęścia, niedaleki już, jak mu się zdawało, ukończenia, zapadł się w jednóm oka mgnieniu, jak piramida z kart, poeta zaś, na podobieństwo Samsona, znalazł się pod gruzami...

Piorunem tym, a raczéj długim, ulewnym deszczem piorunów, były nadchodzące raz po raz do Paryża wiadomości o Zygmuncie, który — jak głosiła pogłoska — „szczęśliwy i spokojny, jak nigdy,“ przebywa w Monachium razem z panią Delfiną Potocką [1]). Wiadomość ta, doszedłszy do uszu pani Bobrowéj, zdarła bandaże z niezabliźnionych jeszcze ran w jéj duszy, przyprowadzając tém samém do rozpaczy Słowackiego. Widząc, że dzięki téj plotce czy prawdzie (bo ile w tém wszystkiém było prawdy, nie wiedział) miłość pani Bobrowéj do Krasińskiego nanowo gwałtownym buchnęła płomieniem, płomieniem, który spopielił odrazu wszystkie nici wiążącéj go z nią... skłonności, widząc, że mu już teraz niczego spodziewać się nie należy, że wszystko — dla niego przynajmniéj — stracone, napisał w przystępie najwyższego rozdrażnienia z powodu tych zawiedzionych nadziei, dwa sarkastyczne wiersze, pełne łez i... goryczy, wiersze, tonem przypominające owe dwa sonety do panny Anieli Moszczyńskiéj, napisane

[1]) Zob. Dr. Antoni J. op. cit., str. 33.

niegdyś na wyjezdném z Florencyi [1]), z tą różnicą, że kiedy na dnie tamtych dźwięczała skarga, te zawiérały tylko cyniczne drwiny na temat miłości pani Bobrowéj dla Zygmunta... [2]).

Wiersze te, wraz z długim, pełnym melancholii i utyskiwań na „samotność“ listem [3]), posłał Słowacki przyjacielowi swojemu do Monachium, tłómacząc mu, jakie okoliczności złożyły się na powstanie tych „dwóch strof...“

Na list ten, w którym było także cokolwiek i o wystąpieniu Towiańskiego (o którego się Słowacki pytał Zygmunta, czy już czego o tym „mistycznym waryacie“ nie słyszał) odpowiedział Krasiński niezwłocznie, prostując przedewszystkiém mylną wiadomość o swoim rzekomym z panią Delfiną Potocką pobycie w Monachium [4]); Delfiną bowiem, z którą go istotnie łączyły tu stosunki przyjaźni i sympatyi, była nie pani Delfina Potocka, od paru tygodni już przebywająca w Nicei, przy matce, ale pani Delfina Heel-Handley, angielka, nadworna fortepianistka królowéj Bawarskiéj, a narzeczona Danielewicza, z którym on, nie chąc się rozłączyć, dlatego na czas jakiś osiadł w Monachium.

Potém następował morał *à propos* owych Słowackiego wierszy.

Nie, nie powiadam, żeby jakakolwiek wina twoja była w tém, nie, o nie, Julu mój drogi, nie skarżę się na ciebie. Rozumiem, pojmuję rzutną falę krwi, która te dwie strofy, te dwa kwiaty ci do serca przyniosła... Ale nieostrożna była to fala, nieprzezorna, ufna w miłosierdzie ludzkie, zatém grubo myląca się! Nadal więc ostrzegam cię, i zaklinam ciebie, bądź, jak wąż skryty, jeśli chcesz być dobrym, i czystym, i tkliwym, jak gołębica.

Reszta listu była już o nim tylko i o pani Bobrowéj.

Strzeż, pilnuj, rozbłogosław się opiekuńczo nad tém rannem sercem, nad tą rozbolałą głową... Wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś przeszłości, stań się jéj przyjacielem, a nie chciéj by serce, które pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało się upiorem, bo taki los, taka barwa konieczna dusz, które, w trumnie już usłyszawszy dźwięk harfy, pod-

---

[1]) Zob. pośm. pism., t. I, str. 50 — 51.

[2]) Zob. Tadeusz Sternal. *Op. cit.* w dodatku literackim do „Kraju“ Nr. 7 z r. 1890, str. 7.

[3]) Napisanym około 30 września. Krasiński otrzymał go pierwszych dni października (zważywszy, że wtedy list z Paryża do Monachium mógł iść cztery dni mniéj więcéj).

[4]) Téj częśli listu Krasińskiego nie posiadamy. Dochowała się tylko jego część druga, dotycząca stosunku Słowackiego do pani Bobrowéj, a ogłoszona po raz pierwszy z autografu (znalezionego pomiędzy rękopisami, darowanemi bibliotece Ossolińskich przez p. T. Wasilewskiego), przez p. Tadeusza Sternala w dodatku literackim do petersburskiego „Kraju,“ w Nr. 7, z r. 1890.

noszą się na chwilę i marzą, marzą, że mogą żyć raz drugi na ziemi harfowemi dźwięki. One nie wiedzą, że powtórne życie czeka na nie dopiero w niebie... Ale z tego złudzenia wynikają okropne skutki, wierz, wierz mi, Julu. Przyjaciel w téj chwili całém sercem się do ciebie odzywa. Chciałbym Cię przycisnąć do piersi i wlać w ciebie pogrobową mądrość tych piersi moich. W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale miłość, miłość *taka* stanie się goryczą wam obojgu. Czara szczęścia pęknie wam w dłoniach za pierwszém dotnięciem i rozleje się na strugi trucizny! Na przekleństwach kończyć będziecie ten gorzki dramat... Ale czas jeszcze! Możecie wyrobić go sobie pokojem, ciszą, błogością, wspólném czuciem, wiarą, zaufaniem. Szukaj tam przyjaciółki, gdzie żądasz kochanki, a będziesz miał duszę siostrzaną na wieki, a przestaniesz być samotnym! Będzie duch jeden w têm wielkiém mieście [1]) pod którym uczujesz się Doma! Lecz jeśli uniosą cię sny namiętne, jeśli nie posłuchasz głosu proroczego, który woła na ciebie: pamiętaj przynajmniéj, żem w czas dobrą radę przyniósł, i dla kochającego i dla ukochanéj, pamiętaj, że ci przepowiadam, jeśli pójdziesz drogą szału, że serce twoje dokłótém będzie, w czém niedokłóte dotąd, a siła ducha twego zmniejszy się o skrzydło jedno i t. d. [2]).

Na końcu listu [3]) takie się jeszcze znajdowało *post scriptum:* „Zkąd piszę, tam odpisz. O żadnych mistycznych waryatach nic nie słyszałem.“

Zamiast usłuchać tych niezaprzeczenie rozsądnych i z serca płynących przestróg przyjaciela swojego z willi Mills, Słowacki, nie mógł mu darować, „że tak się w sercu niewinném rozwielmożnił, że już w tém sercu dla niego t. j. dla Słowackiego, nie wiele miejsca zostało,“ i nie komu innemu, tylko jemu właśnie swoje przypisywał nieszczęście. On był przyczyną jego udręczeń, gdyby nie on, wszystkoby się pokierowało inaczéj:

Szczob ja jego miał był oczy,
Jego serdeczną przynętę,
Byłby ja wiódł życie święte,
Uciekł z nią do Pawołoczy [4])

i nie byłby, jak jest, niewolnikiém, ani żył „sercem przez połowę,“ tylkoby „podjął“ co dziś „gubi.“

Nie dyament szlifowany,
Ale perłę czystéj rosy,
Nie tęczę, ale jéj włosy.

---

[1]) W Paryżu.

[2]) Zob. Dodatek do „Kraju“ z r. 1890, Nr. 7.

[3]) List ten pisany być musiał w pierwszéj połowie października 1841 r.

[4]) Sen srebrny Salomei.

Nie rubin, w ogniach różany,
Ale usta jéj... maliny [1]).

Wówczas też nie istniałaby żadna dla pani Joanny „przeszłość,“ którą dziś, raz po raz „wywołując ją w pamięci,“ tak drażni jego dumę.

A jednak, gdyby mu wtedy wpadł był do ręki jeden z dawnych „dumnego Julka“ listów, to dowiedziałby się z niego, że i na nim już podobna ciążyła wina, i że nie tylko Zygmunt bronił przystępu innym do serca swoich dawnych bogdanek.

— Od Góreckiego — pisał Słowacki do matki dnia 3 września 1832 roku — dowiedziałem się, że mnie panienka w Dreznie zawsze czule wspomina. Mickiewicz mieszkał w tém samém, co ja mieszkaniu, ale napróżno starał się zdobyć serce téj panienki; ja, czyli pamięć o mnie, jest jak Horacyusz Kokles, który broni mostu wiodącego do jéj serca: jak uschłe drzewo zawaliłem drogę i nikt przestąpić zawady nie może...

W podobném zupełnie, jak Mickiewicz w Dreznie, znalazł się teraz on położeniu: Krasiński, czyli pamięć o nim, była jak Horacyusz Kokles etc.

Słowacki jednak, zrozpaczony, a nadewszystko dotknięty boleśnie w swojéj miłości własnéj, nie pamiętał czy téż nie chciał pamiętać o owym... Horacyuszu Koklesie i dlatego powziął — chwilowo przynajmniéj — jakby urazę do pani Joanny, a przez nią i do Zygmunta.

Ona mi wszczepiła
W to serce jakiś gniéw do tego człeka...

Wytrącony ze zwykłéj kolei, rozdrażniony, nie wiedzący gdzie szukać lekarstwa na to swojego „serća szaleństwo,“ zaczął Słowacki pod wpływem tych katuszy moralnych, przez jakie przechodził obecnie, dopatrywać się w pani Joannie pewnego pokrewieństwa z Dejanirą: jak tamta Heraklesa, tak ona jego o śmiertelne przyprawiała męczarnie. Paralella ta, dość pospolita zresztą, zaczęła mu stopniowo coraz bardziéj trafiać do przekonania, że zaś w charakterze jego było śmiać się, kiedy „serce pęka“ i „gryść sercem“ tych, z powodu których cierpiał, strzeliła mu więc nagle do głowy szalona myśl... ośmiészyć swą dręczycielkę, razem z jéj „królem i panem,“ którego choć ją porzucił, miłością swą prześladować nie przestawała...

I zarysował mu się w umyśle dramat, dramat... humorystyczny,

---

[1]) Sen srebrny Salomei.

którego głównych bohatérów, hrabiego Fantazego i hrabinę Idalię, cechowały wszystkie... śmiészności Krasińskiego i pani Bobrowéj, śmiészności, których nawiasem mówiąc, dostrzegało w nich bystre oko Słowackiego bardzo wiele.

Pomysł ten, właśnie dzięki ekscentryczności swéj, potrafił wyobraźnię poety do tego stopnia zapalić, iż się przyoblekł niebawem w konkretne formy pięcioaktowéj sztuki, p. t. Nowa Dejanira [1]).

Jak na tém wyszła pani Joanna? Czy dobrze? Czy byłaby zadowoloną, przeczytawszy taką np. swoją charakterystykę? [2]).

....dałaby dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.
Jéj trzeba rany: usta ma do picia
Trucizny. Byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem, takie biednéj przeznaczenie,
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył, chciała mię poznać: ja służę
Chętnie kobiétom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy. .
Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach,
Amiant prawdziwy! Tu rzekłem, że widzę
Na jéj błękitno-kruczawych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia... Myślała, że szydzę
Z początku: ale widząc, że ja na tém
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: Ach! Pan mi będziesz duszą, bratem!
Pan jeden w jednéj czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność skazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jéj dusza siostrzana,

---

[1]) Prof. Małecki ogłaszając ją po raz pierwszy w r. 1866, nadał jéj tytuł: „Niepoprawni.“

[2]) Utrzymywano dotychczas, że Słowacki, tworząc postać hrabiny Idalii, wzorował się na pani Delfinie Potockiéj. Pogląd ten wszakże przepuszczony przez alembik analizy psychologicznéj, nie wydaje mi się prawdopodobnym. Kwestyi téj poświęcić zamierzam wkrótce osobne studyum.

Jak rękawiczce nieparzystéj druga
Z téj saméj pary i z tego numeru.

Nie lepiéj też, aniżeli Joanna, odmalowany tam został „największy przyjaciel“ Słowackiego, autor Irydiona. Oto jego... portret humorystyczny:

Rzecznicki. Przecudna tyrada: periody długie...
Fantazy. Ta dawna zażyłość, chmura ta błękitno-blada
Szronu złotego, która go obwiéwa,
Te pod nim jary, pełne wilczych kości,
Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...
Rzecznicki. I w czarności kominie
Białą napisane krédą imię Dyanny...
Fantazy. Przeklęty człowieku, któremu jeszcze dziś świątynie w Knido
Dostarczą wody Kastalskiéj! O ćwieku z Byronowego krzyża!
O baranie! o którym niegdyś w mistycznêm widzeniu
Śnił Sanczo Pansa, w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło! O ty, co w płomieniu
Wiekowym głupstwa jesteś Salamandrą
I w ogniu będąc, tyjesz, o Rzecznicki!
Rzecznicki. O nieszczęśliwy wieszczu!
Fantazy. O Kasandro przedkontraktowa!
Rzecznicki. O ty, potrzebnicki zdrowego sensu!
Fantazy. O ty, sekaturo! Patrz, poszli wszyscy na ogród, a o nas ani [kto wspomniał.
Rzecznicki. Bo ty jesteś pióro, które sonety pisze... *et andronas scribit*,
I bawisz ludzi, gdy się nudzą a nudzisz, gdy się bawią.
Fantazy. Cóż, że kilka listów,
Które w gorączce można było spłodzić,
Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone mdlejąc
I krzycząc: Ach! ten list na Kapitolu
Był napisany! a ten z Wezuwiusza
Leciał jak gołąb aż na Ukrainę!
Że wykrzykniki te: ach, co za dusza!
Brzmiały tu stokroć razy: to ja, hrabia
Fantazyusz, głupim być już nie mam prawa?
...Mój Rzecznicki
Ty mnie zachwalaj, wynoś pod lazury,
Ponad Wezuwiusz, nad Alpy, obłoki!
Mów, żem napisał poemat ponury
O czterech wiatrach... Złoć mię, jak barana!
A mnie pozwól się troszeczkę zagapić
I z siebie lakier byroński szatana
Zrzucić...

Na szczęście, nie przeznaczył Słowacki utworu tego do druku i zachował go dla siebie w tece, tak, iż nie dowiedzieli się o nim nigdy, ani Krasiński, ani pani Bobrowa.

Swoją drogą, pisząc tę tragikomedyę, miał „łez pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech,“ pisał ją bowiem z sercem „obłąkaném, niezaspokojoném,“ a szamocącém się, jak motyl przekłuty szpilką... [1]). Widząc, że w pani Joannie dawne uczucie nie zamiéra, ale przeciwnie, z dniem każdym zdaje się potęgować, i że on, zamiast jéj chorobę tę z duszy wyplenić — bo takim był jego zamiar — stał się jeszcze gwałtownéj przyczyną recydywy; błąkał się ze swoją boleścią, jak Werther, i jak Werther, przekonany był, że on jest pierwszy, który tak cierpi „Bóg to wié, co się komu dzieje, kiedy widzi tyle wdzięków przed sobą, a nie może ich dotknąć. A jest to przecież najnaturalniejszą skłonnością ludzi.“

Niemożność zadosyć uczynienia téj skłonności, dotkliwsza nierównie, aniżeli męki Tantala, sprawiła ostatecznie, że niespokojność i smutek coraz głębiéj zakorzeniać się zaczęły w sercu poety; zaś umysł, nie znajdując wyjścia z tego labiryntu zwątpienia, do tego stopnia czuł się chwilami „burzą,“ tą „zmordowany“ że „prawie w grobie chciał być dla spoczynku.“ Jedyne, co go od tego wertherowskiego postanowienia odwodziło, to poezya, ta druga jego „zimna, marmurowa kochanka, która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków swoich dopiéro po śmierci ma łzy i uśmiéchy, a za życia z poświęcenia się często urąga.“

Choć zdarzało się, że i pod tym względem wątpił o sobie, a zdarzało się to mianowicie wówczas, kiedy probując pisać, nie mógł. Widząc się wtedy jakgdyby odtrąconym i przez tę drugą, „zimną, marmurową kochankę,“ usiłował „wmówić sam w siebie, że jest już mozaikowym tylko artystą,“ że mu fantazya z powodu tych „cierpkich życia trudności“ wypala się z mózgu, jak oliwa w lampie, i że nie ma już co myśléć o „nieśmiertelnych bluszczach po śmierci...“ Fantazya dramatyczna w rodzaju Fausta, zaczęta w lecie, a porzucona z chwilą przyjazdu pani Bobrowéj do Paryża, przestała go nęcić. Do dalszego ciągu Beniowskiego, choć mu się na razie wydawał „lepszym i piękniejszym“ aniżeli pięć pierwszych pieśni, także się nie mógł jakoś zabrać, może dlatego, że go w ostatnich czasach opuściło zupełnie

---

[1]) Zob. List do matki z d. 10 Listopada 1841 r. „Może ci się te wszystkie wyrazy dziwnemi zdadzą, może nie będziesz wiedziała, że ja tę prostą filozofię pisząc („o nicości szczęścia wszelkiego na ziemi,“) łez mam pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech, ale z tego papiéru wydobędzie się coś także, co ci płakać każe.

natchnienie; że to, co napisał, przymuszając się do pisania, nie zadawalniało go... Podobnie miała się rzecz i z Nową Dejanirą, o któréj wiedział najlepiéj sam, co sądzić.

Żeby mu to choć było pomocném w owéj walce nieszczęsnéj o serce téj kobiéty, któréj postać ścigała go we śnie i na jawie, a któréj czar pozbawiał go mocy nad sobą samym...

„Sam jéj widok za serce mię targa.“ Cóż, kiedy ona do próśb jego żadną się miarą przychylić się nie chciała. „Zimna, wzgardliwa, zalotna“, a dumna, niczém nie dawała się wzruszyć, ująć, nakłonić [1]). Zapytana zaś:

Kiedyż téj okropnéj próbie
Koniec położysz?

sobie żadnéj nie przypisywała winy i miała podobno słuszność... A zresztą, mówiła, „wszystko można przezwyciężyć, nawet żądze serca własnego.“

Słowacki jednakże zrozumiéć tego nie chciał, czy nie mógł, i krocząc daléj „drogą szału“, drogą, prowadzącą do... przepaści, upadał pod „falą smutku“, nie łudząc się bynajmniéj, że go ta fala „gnie i kładzie na ziemi.“ I cała „moc ducha“ jego szła tym sposobem „na fajerwerk spalony przed oczyma kochanéj osoby“ i „oddawał wszystko“, co w nim było, a potém „ze smutkiem wypróżnionego z ognia posągu“ czekał „ponuro na stronie, aż się ciało rozsypie“.

Cierpienia te równały się agonii „konania“, dusza bowiem „z takiego ciała wychodząca“, choć odradzała się znowu, lecz odradzała się, niestety, „już smętna, już pełna rozpaczy i zachceń niewymówionych, i często prawie wzywała Boga, ażeby się przed nią usprawiedliwiał, dlaczego ją z taką na świat przysłał naturą.“

Uwolnić ją zaś „z pod wszystkich ciała ucisków“ przechodziło siły Słowackiego [2]). Opętany tą miłością fatalną, zatruwał sobie życie myślą (która była słuszną po części), że pani Joanna niczego więcéj od niego nie pragnie, tylko „chce zamaskowanéj figurki podług teraźniejszego świata, na model poety lub dowcipnisia, z którym wieczór spędzić miło...“ Poprostu kazała mu „bawić siebie ciągłą o głupstwach pogadanką“, o to zaś, że mu „ssie serce“, ażeby potém, upita „bezużytecznie“ krwią jego, jak pijawka, odejść i wylać to co wzięła od niego „z ducha“, o to nie dbała... I musiał „wysadzać,

---

[1]) Zob. Sen srebrny Salomei, str. 136 (scena pomiędzy Sawą i księżniczką) i ksiądz Marek, str. 74 (Judyta i Kosakowski).

[2]) Zob. Listy do matki, t. II, str. 130, 131.

się na dowcip, na kwieciste konwersacye“ wówczas, kiedy mu serce „próchniało“ w piersi.

Oto uczucia, któremi powodowany, napisał — w połowie października mniéj więcéj — długi, pełny „melancholii“ list do Zygmunta.

W liście tym, pisanym po szalonemu, w przystępie najstraszniejszego *spleen*'u, znalazło się także cośkolwiek i o Towiańskim, o którym coraz głośniéj zaczynało być wśród Polaków w Paryżu. „Cud“, jakiego dokazał, wracając zdrowie żonie Mickiewicza, i wpływ, jaki odtąd na wieszcza Dziadów wywierał, budziły w jednych niedowierzanie, w drugich podziw. Słowacki należał do ostatnich... Stąd poszło, że w ostatnim swoim do Krasińskiego liście rozpisał się o „sprawie“ téj dość obszernie, zadając w końcu pytanie: co też on o tém wszystkiém myśli?

Na pytanie to odpowiedział Krasiński listem z dnia 27 października 1841 roku, listem, którego początek brzmiał, jak następuje: „Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie, w cudotwórców prawie nigdy. Nie znam zaś próżności próżniejszéj nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów.“ Zdaniem Zygmunta, „ukrytą sprężyną“ wszystkiego były: „brak dumy i przesyt próżności.“ Jak cud jest rodzajem pewnym niepracy w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki, tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały bez pracy i t. d. Trzy bite strony były na ten temat.

Czwartą zajęły przestrogi *à propos* miłości Słowackiego.

Teraz, mój drogi Julu, o tobie słów kilka. Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości: unikaj wszelkiéj, nie zapadaj w niemoc... Bądź dumny a pokorny! Lecz, kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym, lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, któréj za podstawę dałeś piersi twoje. O Julu! Ja wiem, że to ci wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na czas jakiś odebrało. Szkoda ciebie, byś z takiego zadraśnięcia miał się rozranić i osłabnąć... Otrząśnij się: gdzie Rafael nie malował, tam nie myśl o Rafaelu, marz raczéj o Rubensie i duszy twéj całéj nie kładź pod stopy aniołów Rubensowych. Daj im rękę, opiekuj się nimi, życz im dobrze, bądź im bratem, ale nie konaj dla nich. Bo twój grób po takowéj śmierci nie porósłby w bluszcze nieśmiertelne; poczciwe niezabudki, ładne gwoździki, małgorzatki i tulipany na nim by się urodziły: a o to idzie, by na grobie stał krzyż w laury opleciony, nie kwiateczki rosły... Julu, powtarzam ci, nieśmiertelność jest w tobie; od ciebie zależy z piersi ją własnych wyrwać i uzewnętrznić. Nie kładź się więc na ziemię, nie chciéj sobie samemu wmawiać, żeś tylko już mozajkowym artystą! Nie, tak nie jest! Artysta z ciebie, mistrz!... Tyś przeznaczony żyć, jeśli sam nie wyrzeczesz się wieczności dla znikomych

ułudek... Niech cię Bóg strzeże! Myśl o mnie zawsze, jako o istocie mającéj serce wiecznie rozkwitające i stulistne, gdy się obraca ku tobie. Odpisz do Münich.

Odpisał dobrze już po świętach Bożego Narodzenia, list zaś jego nie był ani o drobinę pogodniejszy i weselszy od poprzedniego. Ale-bo też nic się dlań nie zmieniło od czasu owego ostatniego listu, a jeżeli zmieniło się, to na gorsze. Najlepszy dowód, że... zaczął pić. Dwie butelki szampana, wychylone duszkiem, jedna po drugiéj, dawały mu zapomnienie wszystkiego i „wyrywały go z melancholii" przynajmniéj na parę godzin. Zaczął się téż do środka tego uciekać coraz częściéj... Wszystko mu obrzydło, wszystko straciło dla niego powab, nic go nie potrafiło zająć, zainteresować. Wybrany na jednego z dwunastu dyrektorów klubu [1]), powinności swe spełniał, jakby z musu; kolegów zaniedbywał. Stał się w stosunku do nich skryty, uszczypliwy, słowem, zmienił się do niepoznania. Jeden tylko Niedźwiecki, wtajemniczony w sprawy, serca Słowackiego dotyczące, wiedział, gdzie szukać przyczyny téj przykréj w nim metamorfozy...

Nawet koncert Chopina, w całém tego słowa znaczeniu *un concert de fashion*, jaki się odbył 19 lutego w sali Pleyelowskiéj, koncert, na którym, oprócz samego Chopina, grającego tym razem poloneza *A dur* i słynną sonatę z marszem pogrzebowym, a akompaniującego do śpiewu pani Viardot Garcia i Franchomme'owi, wiolonczeliście; nawet koncert Chopina, na którym mógł się przypatrzyć pani George Sand [2]), nie zrobił na nim takiego, jakby się spodziéwać należało, wrażenia, może dlatego, że uwaga jego zbyt była zaabsorbowana panią Bobrową... [3]).

---

[1]) W r. 1842 Juliusz Słowacki, wybrany na jednego z dwunastu dyrektorów klubu, świadczył za zgodność z księgami raportu rady gospodarczéj. W tymże samym roku rachunkowość klubu wykazuje, że 6-go lutego Słowacki kazał sobie podać dwie butelki wina szampańskiego za fr. 10 cent. 25.“ Zob. Władysława Mickiewicza, Żywot Adama Mickiewicza, t. II, str. 237.

[2]) Zob. Dzieło Nicksa o Chopinie, przekład niemiecki, t. II, str. 103.

[3]) Jestto tylko przypuszczenie, że Słowacki i pani Bobrowa byli na tym koncercie Chopina. Dowodu, że byli, nie posiadamy. Sądzę jednak, że, będąc wtedy oboje w Paryżu, nie mogli poprostu nie być na takim koncercie, gdzie cały *fashion* był reprezentowany. Pani Bobrowéj, jako żyjącéj w wielkim świecie paryskim, nie wypadało do pewnego stopnia nie brać udziału w podobnéj *fête musicale*. Słyszéć Chopina, módz się tém pochwalić przed innymi, w salonie, należało wówczas do dobrego tonu. Co do pani Bobrowéj więc, to o niéj prawie napewno można powiedzieć, że była na tym koncercie (zwłaszcza, że nie mogła być na pierwszym, który się odbył d. 26 kwietnia 1841 r., była wtedy już wyjechała do Frankfurtu); Słowacki zaś, który był jéj „wiernym cieniem“, poszedł może nie tyle dla Chopina, ile dla niéj...

Takim zastawały go teraz listy z domu, od matki, i z Monachium, od Krasińskiego. Ten ostatni, sam chory (20 lutego padł rażony dwoma atakami apoplektycznemi), siedział obecnie przy śmiertelném łożu Danielewicza, umierającego „na zgniłą gorączkę", jakiéj się nabawił w stolicy bawarskiéj. To sprawiało, że listy Zygmunta były smutne i również, jak dusza Słowackiego, pełne wewnętrznego rozdarcia. Usiłowania zaś jego wyrwania Jula z melancholii żadnego nie odnosiły skutku... Podobnież i rady, ażeby „nie tracił życia na nędzne zgryzoty", ażeby był „mężem z białego marmuru" i „zrzucił z piersi nogi Rubensowych Madonn..." Były to próżne dźwięki, odbijające się od duszy Słowackiego, jak groch od ściany [1]). Zbyt już daleko zaszedł na téj „drodze szału". *Lasciate ogni speranza voi qu'entrate!* Nękany „wewnętrzny gorączką", oddawna przestawszy się łudzić, co do swojéj roli względem pani Joanny, którą im bliżéj poznawał, tém większéj nabierał pewności, „że coś magnetycznego zachodzi w téj pamięci ciągłéj, skierowanéj" ku Krasińskiemu, wydobywał [2]) z obserwacyi tych, jak Stern, jedynie „łzy i rozczulenia", a nadto jeszcze takie rozdrażnienie, taki rozstrój całego systemu nerwowego, że pisząc np. do Zygmunta z zapytaniem, czy nie żąda czego od pani Bobrowéj, a jeśli żąda, to czego? zanim się w końcu zdecydował list taki wysłać, zawsze palił po kilka przedtém, pisane bowiem w nocy najczęściéj, „w gorączce", przeczytane nazajutrz „nad rankiem", nie wytrzymywały krytyki. Ale bo téż były to listy, pisane łzami i krwią, w chwilach desperacyi i niewysłowionych katuszy moralnych.

— A jednak czuję, że sam winien jestem, że była we mnie jakaś siła nie użyta, jakieś wojsko duchów nie wyprowadzone do walki, jakiś grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, jakaś głąb nie odkryta, coś takiego, co musiałoby pokonać, a czego się ja sam lękałem wyprowadzić na jaw, i część zimna, marmurowa mojéj natury, zwyciężyła.

I tak przez całą zimę „te wszystkie moce burzyły się" w nim, „chciały wybuchnąć!" Że zaś im ostatecznie wybuchnąć nie dał, siłą woli tłumiąc je w sobie, jak pożar, był więc „bardzo sam na ziemi",

---

[1]) Por. List Krasińskiego z d. 28 lutego 1842 r.

[2]) Otóż tak, droga moja, pisał Słowacki w tym czasie do matki, piszę ci sny moje, nie mogąc zupełnie opisać wszystkich chwil jawy i czuwania; bo dni i wypadki mego życia są takie, że jak Stern wydobywam z nich łzy i rozczulenia... Ale te łzy, to rozczulenie wydobyte jest ze szczegółów, nie z ogólnego wydarzenia. Trzebaby więc imion i rzeczy, a to wszystko ciebie obchodzić nie powinno (t. II, str. 82).

a pisząc do Krasińskiego, nie taił, że nigdy mu nie było tak „źle“ na świecie, jak teraz.

Nie przyniosła mu też ulgi nawet taka odpowiedź Zygmunta:

Pytasz, czego żądam od ciebie i od niéj? Od ciebie, byś mi dotrwał w przyjaźni, tak, jak ja tobie, a kiedy chwila taka się zdarzy, był tak! [1]). Od niéj zaś, cóż powiem? Nic zupełnie, chyba spokoju!

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia,
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie...
Daj mi więc jeszcze, tu, na żywych świecie,
Co zmarłym dają: pokój zapomnienia.

„Temi czterema zakończyłem ośm innych na jéj stoliku we Frankfurcie [2]). Czegóżbym innego mógł, lub miał prawo, zażądać od niéj, lub mogąc, chciał! Alboż już jéj nie dosyć złego kłopotu moja jaźń (styl Trentowskiego) wyrządziła?... Była niegdyś aniołem dobroci dla mnie, lecz szczęścia, podług jéj o szczęściu wyobrażeń, nie miałem na podorędziu, ni w losach moich było takiém pedanckiém, kiedy kogo módz obłogosławić szczęściem. Są błyskawice i pioruny, lecz nie ma niw jednostajnych szczęścia! Serce kobiece o pioruny nie dba, chce mu się niw tych gładkich, długich, jednakowych, konserwatorskich zawsze! Znajdźże je na ziemi!“

„Nie ty pierwszy już twierdzisz, że coś magnetycznego zachodzi w téj pamięci ciągłéj, skierowanéj ku mnie. Pamiętasz, i Malczewski, taką magnetyczną spójnią związany, i jéj poddawszy się, umarł z rozpaczy. Straszne to miłości, tam, gdzie magnetyzm działa, bo ślepe, jak los, jak ironia, gorzkie i nieszczęśliwe, jak nieszczęście.“

„Cóż więc rzec mogę o tém wszystkiém? Może raczéj ona czego żąda odemnie, to mi powiédz! Wtenczas i listów swoich do mnie, zaklinam cię, nie pal. Możeś pięć lub dziesięć prawd spalił, któreby mnie się wielce zdały, może dwadzieścia objaśnień, sto spostrzeżeń trafnych! I zostawiłeś mnie w ciemnicy!“

Czy po takim liście mogła pani Joanna jeszcze żądać czego od Zygmunta? W każdym razie, można sobie wyobrazić, jakie na niéj list ten, kiedy go jéj Słowacki przeczytał, zrobił wrażenie... [3]).

Tymczasem nadeszła Wielkanoc — dnia 27 marca — a potém wiosna, maj, i pani Bobrowa, jak zwykle o téj porze, zaczęła się gotować do wyjazdu nad Men, do Frankfurtu. A Słowacki? On, pomimo wszystkiego, co z jéj powodu „téj zimy“ wycierpiał, na myśl, że mu się z nią rozstać wypadnie — a tym razem prawdopodobnie na zawsze — że się dla niego skończy niebawem ta epoka „gawęd o nie-

---

[1]) Jaką chwilę ma tu Krasiński na myśli, nie umiem powiedzieć.

[2]) W r. 1837, w lipcu. Zob. Pierwsza miłość Zygm. Krasińskiego, Ateneum z r. 1892, październik, str. 54.

[3]) Z listów Słowackiego do pani Bobrowéj wynika, że jéj poeta listy Krasińskiego przynosił do czytania.

bieskich migdałach"; że znowu zostanie sam; że już nań nikt swojemi błękitnemi oczyma poglądać nie będzie; że ten „dom przyjazny", w którym mu tak dobrze na rozmowie schodziły godziny, a do którego on zawsze „z taką ufnością się chronił", (wiedział bowiem, iż znajdzie tam dużo „współczucia i ciszy"), że ten dom „uleci, jak gwiazda Loretańska" i zniknie, opustoszeje; że wszystko stanie się „snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich"; że odtąd nie będzie się miał przed kim wypłakać, ani poskarżyć; że mu już od niczyjego spojrzenia nie „rozwidni się ciemne powietrze"; że nikt się już gniewać na niego nie będzie, ani udzielać „win przebaczenia"; że znów go, jak dwa upiory, opadną smutek i nuda: na myśl o tém opadało go zwątpienie, o jakiém pojęcia miéć nie może, kto sam podobnego nie doznawał nigdy.

A jednak, z drugiéj strony, rad był do pewnego stopnia, że się już te męczarnie skończą, bo, podobnie jak wtedy we Frankfurcie, mógł i dziś powiedziéć o sobie: *Il est impossible que je souffre plus longtemps une torture pareille.* Wyjścia zaś z tego zaczarowanego koła nie widział. Jeżeli było jakie, to jedno tylko: rozłączenie, rozłączenie na zawsze, i... zapomnienie. Innego dla siebie przynajmniéj nie widział lekarstwa.

W tém przekonaniu, w dzień świętéj Zofii, 14 maja, napisał pani Bobrowéj takie pożegnanie:

— Oto żegnam panią! Nic w mojém sercu nie ma, coby się mogło przydać pani. Owszem, wszystko może odwiodłoby ją od egoizmu, od szczęścia. Jam ciągnął za panią dawny jęk przeszłości, ze mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienia, boleść dawna...

A ile mu to przysporzyło katuszy, ile wycierpiał, przez jakie przechodził upokorzenia, jak się burzyły w nim wszystkie „moce" jego duszy, jego dumy, jego miłości własnéj, o tém się ona od niego nie dowié nigdy. Woli odejść i zniknąć jéj z oczu na zawsze, przestać wogóle istniéć dla niéj, aniżeli skarżyć się dłużéj, w tém przekonaniu, że skargi te nic mu nie wyjednają u niéj.

— Ostatnia to moja skarga, bo mi już wszystkie inne nie pomogły, ostatnia i wiem, że próżna!

To téż „lepiéj, że się rozstaniem", lepiéj dla niego i dla niéj. Bo po co męczyć się dłużéj? Po co być saméj nieszczęśliwą i jeszcze przysparzać nieszczęścia drugim?

Niechaj więc jedzie z Bogiem, a wyjechawszy, niechaj wspomni o nim choć czasem, jako o człowieku, który, choć nie kochany, kochał ją przecież nad życie, ją jedną!

Czy wtedy, myśląc o nim, nie dozna czasem wyrzutów sumienia, to inne pytanie.

....Sumienie pani powie samo głuche.
Że niegdyś łzy tak sączyły się z oczu,
A dzisiaj oczy patrzą, takie suche!!!

Czyś tém przeklęta. czy błogosławiona.
Że serce zimne, oczy łez nie leją?
Powie ci kiedyś mogił druga strona,
Gdzie serca pękną, albo się rozgrzeją...

Co do mnie, wiem ja, jak to praca pusta.
Serce kobiéce na czas przeanielić...
Dlatego odtąd wiecznie zamknę usta
I wolę nie być z panią, niż zgon dzielić.

Bo to okropnie: rany pozamykać
Zagoić wszystkie dawne serca blizny,
Iść, i aniołów już nie napotykać [1])

i nie miéć więcéj ani serca, ani nadziei, że kiedyś temu sercu będzie przecież lepiéj na świecie i szczęśliwiéj...

---

[1]) Wiersz ten „zaimprowizował“ Słowacki wśród następujących okoliczności. Dnia 14 maja wypadały imieniny Zosieńki, drugiéj córki pani Bobrowéj. Słowacki, dowiedziawszy się o tém z kalendarza (tak przynajmniéj powiada), uważał sobie za obowiązek powinszować jéj. a przy téj sposobności zobaczyć się z matką, któréj, ponieważ wyjeżdżała już wkrótce, wiele miał rzeczy do powiedzenia—przed rozstaniem. Jakoż o godzinie 4-éj po południu, ubrawszy się po wizytowemu, poszedł na Rue de l'Elysée (gdzie, jak wiadomo, mieszkała pani Bobrowa) w nadziei, że ją zastanie w domu i... zawiódł się u kresu. Służąca, która mu otworzyła drzwi, gdy zadzwonił, oświadczyła, że nie ma nikogo. Wszyscy pojechali do Wersalu, na *grands eaux*. Usłyszawszy to, Słowacki wrócił do domu i wszystko to, co chciał dziś pani Bobrowéj powiedziéć, napisał, poczém wrócił raz jeszcze na Rue de l'Elysée, gdzie oddał służącéj napisany przed chwilą list, prosząc, ażeby go wręczyła pani, jak przyjedzie.

List ten, długi, jak wszystkie listy Słowackiego do pani Bobrowéj, skreślony jest w większéj swéj części... wierszem (jednym z najnamiętniejszych, jakie poeta napisał w życiu), po którym łatwo poznać autora „W Szwajcaryi“,

Wiedząc, że pani Bobrowa w chwili. kiedy on słowa te kreślił, znajdowała się w Wersalu „z dziećmi, z panią Andlej, z panem Andlej, z doktorem Dagobertem, z Manem i z połową Paryża“, wyobraził ją sobie „w koczu“ na tle kaskad i fontann wersalskich, a że poeta w nim nie zasypiał, rzucił więc na papiér *à l'improviste* kilkanaście strof, z których pierwsza brzmiała, jak następuje:

O, gdybym ja wiódł panią do kaskady,
To tak, jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci blady
Śród leszczyn Giesbach, a śród laurów w Terni.

Takie były ostatnie akordy tego wertherowskiego prawdziwie w życiu Juliusza Słowackiego *chant d'amour*, akordy, po których mu przyszło niebawem zanucić pieśń pożegnalną. Czy na zawsze? Nie wiedział. Pani Bobrowa bowiem, wyjeżdżając, zostawiła go w niepewności [1]).

....Wrócił więc Anhelli do jamy pustéj i, spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jéj nie było.

Warszawa, 25 lutego 1893 r.

Ferdynand Hösick.

Ostatnia zaś:

Gdybym był duchem wersalskiéj natury.
A ciebie taką między tłumem zoczył,
Zleciałbym na cię jak kaskada z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył!

[1]) Na kilka dni przed wyjazdem, starsza córka pani Joanny, Ludwika, poprosiła Słowackiego, ażeby jéj wpisał jaki wiersz do sztambuchu. Życzeniu temu czyniąc zadosyć, nakreślił Słowacki kilka strof (miejscami bardzo podniosłych), w których opisał... oczy Lolki, takie same „niebieskie", jak oczy matki, tak samo jak tamte, „karmione złotem i tęczową czczością", i tak samo wreszcie, jak tamte spoglądające na świat „spokojnie, ale z ogniem i miłością."

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy całe pokażą niebiosa,
Aż do błękitu dusz i jeszcze daléj...

Wtenczas ja powiem, srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie,
Że choć widziałem w oczach cztery zmiany;
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

(Zob. J. Słowackiego, Pisma pośm., t. I, str. 55, „Do Ludwiki Bobrówny").

Dnia, w którym pani Bobrowa opuściła Paryż, nie potrafię dokładnie oznaczyć. Tyle tylko pewne, że wyjazd ten nastąpił po dniu 14 maja, a przed 3-im czerwca 1842 roku; 3 czerwca bowiem datowany jest pierwszy list Słowackiego do pani Bobrowéj, kiedy 14 maja pani B. jeszcze była w Paryżu, jak o tém świadczy ów „wersalski" wiersz Słowackiego.

Czerwiec i lipiec 1842 r. spędziła pani Bobrowa częściowo we Frankfurcie nad Menem, częściowo w leżącém tuż obok Wiesbaden, gdzie od wielu już lat pijała wody o téj porze. Czy stamtąd udała się na Wołyń, do Zahajec? Nie umiem powiedzieć. Listy Słowackiego do pani B. nie dają na pytanie to żadnéj odpowiedzi. W każdym razie, w roku 1844 była pani Bobrowa w Dreźnie. Ponieważ od

15 lipca 1842 roku aż do 6 czerwca 1844 r. nie ma ani jednego listu, sądzę więc, że na ten czas przypadać musi pobyt pani Joanny w kraju. pod dachem rodzinnego domu, czémby się do pewnego stopnia wytłómaczyć dała ta przerwa w korespondencyi poety ze swą dręczycielką z lat 1840—1842.

O korespondencyi téj cóżby powiedzieć? Przedewszystkiém, że nie ustała aż ze śmiercią poety. Bo jakkolwiek ostatni list Słowackiego do pani B. (ostatni z przechowanych) nosi datę 18 stycznia 1845 r., to przecież z listów poety do matki wiemy, że pisywał do pani B. jeszcze w r. 1848. W liście swym z Ostendy d. 14 lipca 1848 r. (t. II, str. 191) donosi Słowacki matce (z którą niedawno temu widział się we Wrocławiu), że, przejeżdżając przez Drezno, nie znalazł tam swojéj dręczycielki frankfurckiéj. „Ale b o l e s n ą miałem drogę—pisze—ta myśl, że się znowu od was oddalam, ciągle mi siedziała na sercu. W Dreznie nie znalazłem pani Bobr. i dzień cały niedzielny przepędziłem w nudzie aż do wieczora“, etc. „Nie znalazłem“—to znaczy, że jéj szukał... Pisze daléj Słowacki, mówiąc o Dreznie, że wieczorem dopiéro „napotkał mię jeden ziomek, o przybyciu mojém uwiadomił innych, tak, że zaraz (już nie u Periniego), ale na promenadzie, pod drzewem, musiałem dawać posłuchanie licznéj przyjaciół gromadce...“ Od nich to dowiedział się niezawodnie, że pani Bobrowa znajduje się obecnie w Wiesbaden, a dowiedziawszy się o tém, nietylko że do niéj napisał, ale się nawet wiadomością tą podzielił z matką. „Do pani Bobr. do Wiesbaden pisałem“, czytamy w tymże liście z Ostendy z d. 14 lipca 1848 r. (t. II, str. 193). Widocznie, że, będąc z matką we Wrocławiu, opowiedział jéj szczegółowo o swoim romansie wertherowskim z panią Bobrową...

Nic piękniejszego, jak te listy Słowackiego do pani Bobrowéj, listy, które są wszystkie hymnem pochwalnym, śpiewanym na jéj cześć. Z listów tych dowiadujemy się o mnóstwie ciekawych rzeczy. Przedewszystkiém, że i pani Bobrowa pisywała do Słowackiego. Co ciekawsze, to, że pisywała (jeszcze wtedy) i do Krasińskiego także...

Na pytanie: czy przed śmiercią, t. j. w ciągu lat 1845—1849, widział się Słowacki jeszcze z panią Bobrową? czy téż nie spotkali się już nigdy za życia? nie potrafię dać stanowczéj odpowiedzi. Zdaje się, że się spotkali i że pani B. od roku 1845 znowu co zimę przebywała w Paryżu. Dlatego nie ma listów z lat 1846, 1847 i 1848. W ostatnim z listów Słowackiego do Wojciecha Stattlera w Krakowie znajduje się (na str. 239, t. II) następujący ustęp: „Wielu z młodych braci mówili mi z uwielbieniem o twoich świętych obrazach, a ci, którzy obrazów nie uczcili, zachwyceniem zostali zhołdowani tobie pięknością dzieci twych tak, że mi teraz, kilka dni temu, będąca tu pani Bo... o zjawieniu się dzieci twoich w oknie, jak o zjawieniu się aniołów mówiła.“ Kto wié, czy tą panią Bo... nie była pani Bobrowa? Wątpliwość tę mogą z łatwością rozstrzygnąć oryginały listów Słowackiego do Stattlera.

F. H.





SAMORZĄD DLA IRLANDYI.

Gdy wybory powszechne do parlamentu odbyte w roku zeszłym zapewniły większość stronnictwu liberalnemu, i gdy ono, powracając do władzy, uorganizowało rząd pod przewodnictwem Gladstona, z góry wiedzieć było można że pierwszém zadaniem jego będzie wywiązać się z obietnic uczynionych Irlandyi. Postępowe warstwy społeczeństwa angielskiego pogodziły się były z myślą samorządu tego kraju, i zaufały wytrawnemu doświadczeniu starego swego wodza, że potrafi pokonać praktyczne trudności, nieodłączne od tak doniosłéj reformy. Siedm lat ubiegło od pogrzebania dawniejszych projektów Gladstona i opinia publiczna, pouczana przez nieustanną a wszechstronną dyskusyę, zagrzewana przez entuzyazm postępowego obozu, dojrzała, ustatkowała się. Nie było wątpienia, że i członkowie rządu skorzystali z tego okresu przygotowawczego i że ich nowy bil, z góry w zasadzie usankcyonowany przez naród, będzie dziełem głęboko obmyślaném, zostawiającém mniejsze pole krytyce, aniżeli dawniejszy. Idea przewodnia miała być taką samą, ale w szczegółowych postanowieniach mogły, co więcéj, musiały być wprowadzone zmiany.

Rzeczywistość odpowiedziała całkowicie oczekiwaniom. Parlament zebrał się na sesyę w końcu stycznia i w mowie tronowéj bil irlandzki zapowiedziany został jako pierwszy z długiego szeregu projektów prawodawczych mających być mu przedłożonemi z ramienia rządu. Istotnie jak tylko rozprawy nad adresem do korony zakończone

zostały, p. Gladstone, wniósł go na posiedzeniu z 13 lutego, które w konstytucyjnym rozwoju Wielkiéj Brytanii stać będzie obok pamiętnego posiedzenia z 8 września 1886 r. W mowie przeszło dwugodzinnéj scharakteryzował on zasadnicze rysy bilu i zażądał od izby upoważnienia do złożenia go na jéj stole. Trwała przez tydzień szermierka, zadługa, gdy się weźmie na uwagę, że izba nie znała jeszcze dosłownego brzmienia projektu, ale gdy każda z grup na jakie się ona dzieli, zaznaczyła swoje stanowisko, pierwsze odczytanie nastąpiło bez głosowania. Walka na dobre pomiędzy orędownikami a przeciwnikami proponowanéj reformy odłożona została do drugiego odczytania, które o jéj losie rozstrzyga.

Mając już obecnie przed sobą całkowity tekst bilu z jego 40 artykułami rozpadającemi się na liczne paragrafy i z jego siedmiu dopełniającemi tablicami, możemy już wyrobić sobie o nim zdanie i ocenić jego doniosłość. Zbytecznêm było by dodawać, że jest ona potężną. Rzadko przyszło mężowi stanu podejmować rozleglejsze zagadnienie i rozwiązywać bardziéj skomplikowane aniżeli to, które obecnie Gladstone ma przed sobą i czém głębiéj wnika się w naturę tego zadania, têm jaśniéj zdajemy sobie sprawę z nieprzepartej siły prądu historycznego, obalającego naturalne oraz sztucznie nagromadzone przeszkody i doprowadzającego sprawę, na pozór pokonaną i sumarycznie załatwioną, do nieprzewidzianego niedawno jeszcze, ale jedynie logicznego końca.

Najpierszy, zasadniczy punkt nowéj ustawy tyczyć się musiał stosunku, jaki istnieć będzie pomiędzy usamowolnioną Irlandyą a zjednoczonemi królestwami Wielkiéj Brytanii. Ustawicznie słyszeliśmy dotąd dwa zarzuty: namiętni a płytcy przeciwnicy samorządu utrzymywali, że doprowadzi on do rozerwania jedności państwowéj, chłodniejsi byli zdania, że Irlandya będzie na przyszłość państwem kolonialnêm, nie zaś składową częścią monarchii. Na oba te nieuzasadnione zarzuty odpowiada bil obecny, że władza prawodawcza sejmu irlandzkiego będzie się jedynie i wyłącznie rozciągała do spraw wewnętrznych, ale że sprawy dotyczące się całości monarchii (następstwo tronu, regencya, pokój i wojna, siły zbrojne lądowe i morskie, sprawy stanu, traktaty handlowe, moneta, etc.) należéć będą do parlamentu wszechbrytańskiego. Oprócz tego, sejm irlandzki nie będzie miał w swych atrybucyach przywilejów kościelnych, ani żadnych praw, mocą których mógłby ograniczyć swobodę osób, wiary, etc. mniejszości kraju. Gdy się do tego doda, że władza wykonawcza powierzaną jest wice-królowi, mianowanemu przez królowę, który będzie miał w swych atrybucyach *veto*, zawieszające wszystkie uchwały

sejmu irlandzkiego nielegalne, to się będzie musiało dojść do wniosku, iż całość państwowa nie jest bynajmniéj zagrożona przez ustanowienie krajowego sejmu i że nie będzie on mógł nigdy stanąć jako równy z parlamentu W. Brytanii.

Wice-król irlandzki, jako reprezentant rządu centralnego i najwyższa władza wykonawcza, będzie miał obok siebie komitet wykonawczy, czyli radę ministeryalną. Nominacya jéj członków jest w ręku korony: jest tu nowa rękojmia legalnego działania instytucyi narodowo-irlandzkich.

Sejm albo parlament krajowy składać się będzie z dwóch izb: rady prawodawczéj i zgromadzenia prawodawczego. Pierwsza liczyć będzie 48, druga 103 członków; tamci wybierani na ośm, a ci na pięć lat. Członkowie zgromadzenia prawodawczego wybierani będą podług obowiązującego obecnie prawa wyborczego; członkowie rady prawodawczéj przez ciało specyalnych wyborców płacących *minimum* 20 f. szt. podatków. Nie dotykając tu bynajmniéj zasadniczéj kwestyi, czy jest potrzebném dzielić sejm irlandzki na dwie izby, wyższą i niższą, oczywista, że autor projektowanéj ustawy zamierzał w ten sposób dać rękojmię zachowawczym interesom, a mianowicie wielkim właścicielom ziemskim, należącym do arystokracyi angielskiéj.

Nie wchodzimy tu w szczegółowe postanowienia, dotyczące przedstawienia projektów prawodawczych w obu izbach sejmu krajowego, oraz sposobów usunięcia jurysdykcyjnych pomiędzy niemi sporów. Kwestye wielkiéj wagi, dotyczące policyi, finansów i sądownictwa, są zarówno jak powyższe rozstrzygnięte w duchu umiarkowanym i pojednawczym. Siła policyjna, żandarmerya etc., będzie w przeciągu kilku lat początkowych na żołdzie władzy centralnéj i wyłącznie od niéj zależna, ale stopniowo przejdzie pod dyrekcyą władz krajowych. Co do kwestyi podatków, to sejm irlandzki może nakładać je stosownie do swych potrzeb krajowych, ale udział Irlandyi w wydatkach ogólnych, wszechpaństwowych pozostawiony jest naturalnie parlamentowi westminsterskiemu. Gladstone odrzucił swój dawniejszy system stałéj sumy corocznie pobieranéj z Irlandyi na wydatki ogólne, zarówno jak system pewnéj raz na zawsze oznaczonéj proporcyonalności, ale wolał zatrzymać pewne źródła dochodowe, jak komory, akcyzę i t. d., i po potrąceniu z nich wszystkich wydatków na Irlandyę przypadających, przewiduje, że będzie mógł wręczyć jéj po zamknięciu roku skarbowego sumę, którą w przybliżeniu oznacza na 500,000 f. szt. Sędziowie posiadać będą nienaruszalność taką samą, jaką posiadają obecnie angielscy.

Rozporządzenia bilu o samorządzie Irlandyi, które najżywsze

wywołują różnice zapatrywań, dotyczą kwestyi zatrzymania albo wyłączenia deputowanych obecnych irlandzkich w parlamencie Wielkiéj Brytanii. Jak wiadomo, przed siedmiu laty p. Gladstone był zdania, że nie ma potrzeby ich zatrzymywać i rozporządzenie to było uważane przez przeciwników jego bilu za zerwanie wszystkich węzłów, łączących Irlandyę z wszech-monarchią, za postawienie tego królestwa na téj saméj stopie, co kolonie Kanady albo Australii. Ulegając presyi, jaką na niego z wielu stron wywarto, zaproponował on obecnie, nie tając wszakże, że swego dawniejszego zapatrywania nie zmienił, powołanie do parlamentu westminsterskiego 80-ciu deputowanych irlandzkich. Nie będą oni jednak mieli prawa zabierać głosu, ani wotować w żadnéj kwestyi, dotyczącéj wyłącznie innych części Wielkiéj Brytanii, w żadnéj kwestyi podatkowéj nie-irlandzkiéj, albo wydatków innych, jak ogólnie państwowych. Komplikacye, jakie to rozporządzenie za sobą pociągnie, są do przewidzenia łatwe i nie można się dziwić, że sam Gladstone nie uważa go za organiczne, ale poprzedza je zastrzeżeniem, że istniéć ono będzie o tyle, o ile parlament nie postanowi inaczéj. Z góry tedy nie czyni z tego artykułu kwestyi gabinetowéj i oświadcza swą gotowość zastosowania się do woli większości.

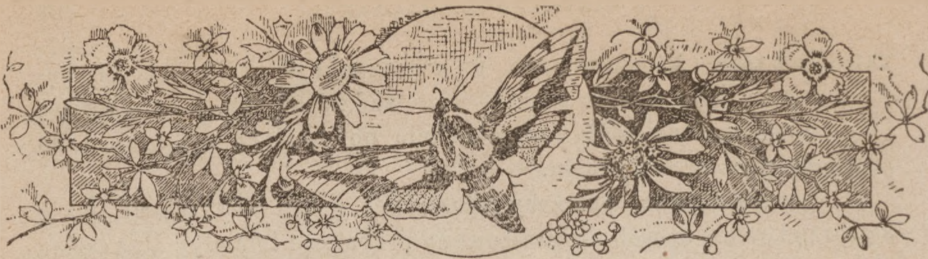
Takie samo pojednawcze usposobienie stwierdzić się daje w każdym drobiazgu, zarówno jak w każdym ważnym artykule bilu. Znać tu doświadczonego męża stanu, który wié, że polityka jest systematem wzajemnych ustępstw; nie radykalny to jakóbin, wysnuwający abstrakcyjną konstytucyę ze swojéj mózgownicy, ale empiryk, człowiek wykarmiony na tradycyi, umiejący się obracać, jak nikt inny, w pośród instytucyi pełnych nielogiczności, wyjątkowości, zdążający krok za krokiem do uproszczenia i ułatwienia stosunków, przeświadczony, że postęp, aby był trwałym, musi nie burzyć, ale podtrzymywać. Stając na stanowisku bezwzględném, jest tedy nadzwyczaj łatwo uczynić temu projektowi wiele zarzutów. Nie najmniejszym jest bezwątpienia ten, że przez kilka lat pierwszych zabrania sejmowi dublińskiemu zajmować się rozstrzygnięciem kwestyi gruntowéj w Irlandyi i uwłaszczeniem jéj czynszowników. Nie ma sprawy ważniejszéj i bliżéj dotyczącéj najwyższych interesów tego kraju. Ale jestto jabłko niezgody. Dawniejszy bil o samorządzie Irlandyi runął dla tego, że wprowadzonym był do niego wykup czynszowników. Jest tedy niezaprzeczonym dowodem rozumu stanu ze strony Gladstona, iż taką jątrzącą kwestyą, któréj częściowe nawet rozstrzygnięcie lat by całych wymagało, na pierwsze przynajmniéj lata z porządku dziennego usunął. Trzeba będzie nową całkiem machinę w ruch wprowadzić,

zapobiedz tarciu kół i sprężyn. Po wykazaniu jéj praktyczności, będzie można rozszerzyć atrybucye, wprowadzić zmiany, albo kwestye obecnie zastrzeżone podjąć odpowiednio do trwałych wymagań i do chwilowych interesów kraju.

Nie ma zapewne potrzeby rozszerzać się nad korzyściami, jakie samorząd w ten sposób uorganizowany przyniesie Irlandyi. Raz będąc w jego posiadaniu, nie będzie się już miała ona powodu skarżyć, że się z nią po macoszemu obchodzi Anglia; za losy swoje, za przyszłość swoją sama odpowiedzialna będzie. Znając swe potrzeby istotne, poszuka środków najwłaściwszych do zadośćuczynienia im i stopniowo wzniesie się do tego materyalnego i moralnego poziomu, który przy dotychczasowych instytucyach nie był do osiągnięcia podobny. Ci, co oskarżali Irlandczyków, iż im idzie nie o ulepszenie swego stanu, ale poprostu o rewolucyjne zerwanie węzłów z resztą W. Brytanii, nie są w stanie poprzéć swego oskarżenia żadnym poważnym argumentem. Wszyscy przywódcy narodowego ruchu irlandzkiego, którzy w imieniu społeczności przemawiać mieli prawo, wypowiedzieli nie raz ale tysiąc razy zdanie, że nie marzą o samodzielności swego kraiku, ale, że chcą jedynie samorządu. Nowy dowód tego umiarkowania złożyli obecnie przez organ swych reprezentantów w parlamencie, bo wszyscy jednozgodnie oświadczyli się wysoce zadowoleni z bilu Gladstone'a i jeżeli czynią na tym lub owym punkcie zastrzeżenia, to uważać będą jego wprowadzenie w czyn za prawdziwe błogosławieństwo dla swéj ojczyzny, za punkt zwrotny w dotychczasowéj jéj historyi.

Zbytecznêm by było rozszerzać się nad bilem o samorządzie Irlandyi, który przy drugiém, a jeszcze więcéj przy trzeciém czytaniu, mniejszym lub większym ulegnie zmianom.

Osobiście nie wątpimy, że izba gmin zawotuje go pomimo nieprzejednanéj opozycyi stronnictwa zachowawczego. Ale będzie to dopiéro pierwsze stadyum. Izba lordów, niewątpliwie bil nadesłany jéj przez izbę gmin odrzuci. Nie wiadomém jest jeszcze, jakie środki przedsięwzięte zostaną przez rząd do złamania tego oporu, czy ucieknie się do mianowania wielkiéj liczby liberalnych członków, czy ograniczy się do powtórnego przedłożenia bilu na przyszłoroczněj sesyi. Ale rząd oznajmił, że uważając wyrok wydany przez kraj za dostatecznie zrozumiały, nie rozwiąże izby gmin i nowych wyborów nie rozpisze. Jest on zdania, że mu nie brakuje środków do przeprowadzenia wielkiego dzieła reformatorskiego, i niedaleka przyszłość pokaże jakiemi się posługiwać będzie. *N. T.*



H. TAINE.

Z wyjątkiem Herberta Spencera, wszyscy wielcy wodzowie myśli europejskiéj w ostatnich latach trzydziestu, wszyscy ci, co wysnuli z siebie najwspanialszą i najsubtelniejszą przędzę poglądów i uogólnień, wytwarzających atmosferę umysłową tego czasu, zeszli już do mogiły.

Najprzód legł w niéj przedwcześnie ten, co historyę pragnął wznieść na stopień nauki ścisłéj i prawa jéj najogólniejsze sformułować, Henryk Buckle. Za nim poszedł ten, co teoryę indukcyi najświetniéj, najrozleglej i najkonsekwentniéj rozwinął, Jan Stuart Mill. Następnie rozstał się z tym światem najgłośniejszy zapewne, a może i najoryginalniejszy z téj grupy twórca teoryi przemiany gatunków Karol Darwin. Nakoniec w bardzo krótkim odstępie czasu przyszła koléj po tych Anglikach na dwu Francuzów, którzy sami jedni z pomiędzy bardzo tu licznego grona badaczy pozyskali wielki i rozległy wpływ na inteligencyą europejską; mówię o Erneście Renanie i Hipolicie Tainie.

Wszyscy oni podjęli nanowo badawczą i krytyczną myśl wieku XVIII-go w rozmaitych dziedzinach wiedzy ludzkiéj; ale myśl tę rozwijali z większym zapasem wiadomości niewątpliwych, oraz z większą oględnością i wszechstronnością. Nie dawali oni bezpodzielnego władztwa w duchu ludzkim rozsądkowi, czy rozumowi; pojmowali i uznawali prawa uczucia i fantazyi; starali się nie narzucać ludziom i rzeczom form urobionych zgóry w umyśle, ale wnikać jak można najgłębiéj w ludzi i rzeczy, odsuwając na bok, o ile to było podobna, swoje osobiste sympatye i antypatye.

Bądź co bądź, świadomie czy bezwiednie, wszyscy oni stanowili przeciwieństwo względem prądu umysłowego, który przezwano romantyzmem, a który ze swéj strony był przeciwieństwem względem tego krytycyzmu racyonalistycznego, jaki się w wieku XVIII-ym przejawił. Wszyscy oni byli pozytywistami, nie w ciasném znaczeniu zwolenników doktryny A. Comte'a, lecz w rozległém pojmowaniu i stosowaniu ściśle naukowéj metody dla wykrycia wzajemnej zależności zjawisk. Romantycy—poeci czy filozofowie — zbyt wielki kładli nacisk na samotwórczość jednostki, wydobywającéj jakoby z głębin ducha wszystkie prawdy i wszystkie kształty artystyczne. Pozytywiści, przeciwnie, zaakcentowali uwarunkowanie téj twórczości całym ogółem świata otaczającego, materyalnego czy umysłowego.

I oto obecnie, pod koniec stulecia, wiele umysłów zaczyna się odwracać od tego stanowiska i znów w dziedzinie subiektywnéj szukać odpowiedzi na niepokojące zagadki bytu. Powstaje opozycya uczuciowo-fantazyjna przeciwko panującemu dotychczas na szczytach duchowych poglądowi pozytywnemu, opozycya podobna do téj, z jaką romantyzm wystąpił przeciw racyonalistom. Nie ma ona jeszcze wielkich utalentowanych przedstawicieli, nie sformowała się jeszcze w jakiś jednolity, siłą dowodów lub potęgą talentu porywający program; owszem, znajduje się do téj pory niemal w stanie mgławicy, wśród któréj najróżnorodniejsze i najdziwaczniejsze nawet pojawiają się kształty, od udających natchnienie i głębokość, Zaratustrowym mistycyzmem owianych aforyzmów Nietzsche'go, od prób wskrzeszenia lub ożywienia uczuć religijnych, aż do spirytystycznych doświadczeń i nauk okkultyzmu. We wszystkich atoli tak przeróżnych kształtach jest jedna cecha niewątpliwa — dążność do wydobycia na wierzch z pod przygniatającéj je jakoby metody pozytywnéj, swobodnego polotu wzruszenia i wyobraźni.

Czy wskutek takiéj dążności ma być już zaniechana metoda pozytywna, jak się to krewkim a płytkim umysłom może wydawać? Czy już zdobycze téj metody zarówno w sferze badania naukowego, jak i twórczości artystycznéj mają być odrzucone z lekceważeniem?

O ile wiadomo, nic się nie powtarza w dziejach jako powrót całkowity stanów poprzednich. To też i powrót romantyzmu w filozofii czy sztuce jest niemożliwy. Jak nabytki krytyki XVIII-go wieku, o ile były istotne, o ile opierały się na zbadaniu rzeczywistości, nie zostały wcale zniszczone przez romantyzm; tak też nabytki pozytywizmu, będące wynikiem rzeczywiście naukowéj metody nie mogą zaginąć, lecz wejść muszą jako składniki do tego nowego nastroju, do

tego nowego prądu, którego początek dopiéro co zaznaczyliśmy. Co więcéj twierdzić wolno, że nabytki te o tyle trwalszemi będą od zdobyczy wieku XVIII, o ile metoda, za pomocą któréj do nich się doszło, ściślejszą jest od metody zeszłego stulecia.

W tém przekonaniu postaramy się nakreślić tutaj zarys umysłowości jednego z owéj grupy, zmarłego w marcu r. b., jednego z tych, którzy nietylko we własnym, lecz i w obcych, a w tej liczbie i w naszym kraju, wywarli wpływ doniosły nie na masy wprawdzie, gdyż do popularnych pisarzów zgoła nie należał, ale na umysły wykształcone, pragnące zdać sobie sprawę z rozwoju duchowego ludzkości i swego czasu.

I.

Taine był duchowym wychowańcem dwu przeciwnych sobie prądów: romantyzmu i filozofii idealistycznéj Hegla z jednéj, a nauki doświadczalnéj i filozofii pozytywnéj Comte'a z drugiéj strony. Czynniki te nie działały na niego równocześnie, lecz kolejno i w rozmaitém skombinowaniu. Młode jego lata (urodził się 1828 r. w Vouziers, mieście powiatowém departamentu Ardenów), spędzone w stolicy umysłowego rozwoju, w Paryżu, w liceum Bonapartego, przypadły na czas, kiedy studenci rozkoszowali się najsubiektywniejszym i najszczerszym z poetów francuskich, Alfredem de Musset, i chłonęli w siebie te fale uczuć namiętnych, jakie się w poezyi i powieściopisarstwie owoczesném tak bujnie i tak gwałtownie wylewały. I Taine był wielbicielem cudnych piosnek Alfreda i z pewnością umiał niejedną z nich na pamięć, bo mu one ciągle w późniejszym zawodzie literackim były na pogotowiu, lubił je przytaczać, lubił je porównywać z utworami obcych poetów.

W r. 1848 zdał świetnie egzamin do Szkoły Normalnéj i przez ciąg trzyletniego w niéj pobytu pracowitością, powagą, wytrawnością zdania zwracał na siebie uwagę przełożonych i spółuczniów. Koledzy przezwali go swoim „kacykiem", mówili do niego z poważaniem „*monsieur Taine*" i w razie sporów powoływali go na sędziego. Niemało wsławionych późniéj pisarzy miał za towarzyszów na oddziale literatury, jako to: Edmunda About'a, Prevost-Paradol'a, J. J. Weiss'a, Franciszka Sarcey'a. Metoda nauczania w Szkole Normalnéj wielce sprzyjała obudzeniu i rozwinięciu zdolności umysłowych. Toczono tu rozprawy ze swobodą największą; profesorowie zachęcali do otwartego wyrażania poglądów własnych. Tym sposobem wycho-

wańcy wytwarzali w sobie silne poczucie niezależności w zdaniach, a wstręt do wszelkiego przymusu duchowego.

Jakim był Taine, opuszczając Szkołę Normalną, wiedzieć oczywiście trudno. Ponieważ lubił naukę i był pilnym, musiał już posiadać mnóstwo wiadomości szczegółowych; ponieważ odznaczał się rozwagą, musiał wiadomości te poddawać krytyce i szeregować wedle jéj wskazówek; ale czy miał jaki pogląd ogólny na świat? czy miał jakie ustalone przekonania? Zdaje się, że poczęści z siebie bierze wzór, kreśląc obraz młodzieńca francuskiego po skończeniu studyów [1], gdy powiada: „Francuz, wchodząc w życie, ma co do wszystkich wielkich zagadnień same tylko wątpliwości. W tém starciu opinii musi sam sobie wytwarzać swoje wyznanie wiary; umysł jego, nie mogąc tego dokonać przez znaczny przeciąg czasu, stoi otworem dla wszelkich niepokojów. W téj próżni, szerokiéj jak morze, marzenia, teorye, fantazye, tłumne pożądania, poetyczne i chorobliwe, gromadzą się i rozpędzają wzajem, jak chmury. Kiedy się w téj ciżbie form ruchomych szuka jakiego ciała stałego, coby posłużyło za podwalinę dla przyszłych opinii, znajduje się powolne budowle umiejętności, które tu i owdzie, w cieniu jak polipy podmorskie, zakładają w niedostrzeganych krzewach koralowych podstawę, na któréj się oprą wierzenia rodu ludzkiego.“

Taine wśród téj próżni radził sobie zapewne na własną rękę: wyuczył się języka niemieckiego i angielskiego, rozczytywał się w literaturze narodów, których mowę posiadł, polubił Heinego; historya, filozofia, fizyka wchodziły także w zakres tych samodzielnych studyów.

Kiedy w r. 1851 ukończył Szkołę Normalną, we Francyi zaczął już wiać wiatr reakcyjny, przeciwny bezwzględnéj swobodzie myślenia. Kto przy jakimkolwiek egzaminie złożył wyznanie polityczne i religijne, miłe władzom ówczesnym, ten dostawał dobrą t. j. dobrze pod względem materyalnym opatrzoną posadę. Taine nie podobał się; zauważono bowiem, że w jego poglądach filozoficznych zadużo jest śmiałości. Bądź co bądź, wskutek poparcia Guizot'a i Saint-Marc Girardin'a, którzy zajęli się utalentowanym uczniem, dano mu posadę nauczycielską w Tulonie; po czterech miesiącach przeniesiono go do Nevers, gdzie także bawił tylko cztery miesiące, gdyż wysłano go następnie do Poitiers. Zwierzchnicy patrzyli nań ciągle okiem podejrzliwém; zgorszono się mianowicie tém, że gdy kapelan zażądał od niego ody łacińskiéj lub francuskiéj na cześć biskupa, on odmówił.

[1] „Histoire de la littérature anglaise“. V, 465.

Zagrożono mu w razie powtórnego zajścia natychmiastową dymisyą. Położenie jego stawało się nieznośném; to téż kiedy w parę miesięcy przenieść go chciano na bardzo podrzędną posadę do Besançon, poprosił o uwolnienie od służby, czego mu nie odmówiono.

Podczas pobytu na prowincyi zapoznał się z dziełami Hegla. „Czytywałem go codziennie — powiada — w ciągu całego roku; prawdopodobnie nigdy już nie odczuję wrażeń równych tym, jakie on we mnie obudził. Ze wszystkich filozofów nie ma ani jednego, coby się wzniósł na takie wyżyny, albo któregoby geniusz zbliżał się do tego cudnego ogromu... Kiedy się po raz pierwszy wstępuje do jego Logiki i Encyklopedyi, doznaje się wzruszenia podobnego, jak na szczycie wielkiéj góry. Powietrza braknie, wzrok ćmi się; nie jesteśmy już w krainie ludzkiéj; z początku widzimy jedynie stos strasznych abstrakcyi, pustynię metafizyczną, w któréj niepodobna, zdaje się, zamieszkać żywéj duszy; poprzez Byt i Niebyt, poprzez Stawanie się, Szranki i Istotę przesuwamy się z piersią ściśnioną, nie wiedząc, czy kiedykolwiek odnajdziemy grunt stały i spójny. Zwolna wzrok przebija mgły; dostrzegamy punkty świetlne; mgła się rozwiewa; przed oczyma rozwijają się nieskończone perspektywy, za jednym rzutem oka ogarniamy całe lądy, i gotowibyśmy mniemać, żeśmy się dostali na szczyt wiedzy i na punkt widzenia wszechświatowy, gdybyśmy tam w kącie stołu nie zobaczyli tomu Woltera położonego na tomie Condillaca“ [1]).

W tém właśnie spostrzeżeniu znajdujemy pierwszy znamienny rys umysłowości Taine'a. Zachwyca go Hegel. Czém? Oczywiście mistrzowską umiejętnością ogarnięcia całego świata zjawisk z jednego punktu widzenia. Nie podbija go sobie jednak na stałego wyznawcę; Taine trzyma się Woltera i Condillaca, t. j. zdrowego rozsądku, zaostrzonego wielostronném wykształceniem i powolną, umiejętnie ustopniowaną i porządnie prowadzoną analizą pojęć. Nie darmo jest Francuzem i nie darmo wykształcił się na naukach specyalnych; pociąga go otchłań metafizyczna, lecz fakta sprawdzone i zanalizowane zatrzymują go na jéj skraju. Nie może poprzestać na mdłym eklektyzmie, który żadnéj prawdy ściśle naukowéj wytworzyć nie zdoła, ale też nie chce się oddać bezwarunkowo ani bezwzględnemu idealizmowi Hegla, ani teoryi sensualistycznéj Condillac'a. Musi szukać łącznika pomiędzy temi krańcami, łącznika nie frazeologicznego, lecz naukowego. Czuje swe braki w wiedzy ścisłéj, postara się je dopełnić.

---

[1]) „Les philosophes classiques du XIX siècle“, str. 132—3.

Gdy w r. 1852, uwolniwszy się od służby rządowéj, przybył do Paryża i zamieszkał Quartier-latin, uczył innych, ażeby zarobić na utrzymanie, uczył się sam, chodząc na wykłady w Szkole Medycznéj, w Sorbonie i Muzeum nauk przyrodniczych, ażeby zaopatrzyć się w większą ilość faktów naukowych. Wtedy to niewątpliwie zaznajomił się z pozytywizmem Comte'a i odczytał dzieła Spinozy. Comte odpowiadał mu jego żądzy systematyzowania faktów, ale odtrącił od siebie zupełném odrzuceniem i potępieniem metafizyki; Spinoza, tak samo jak Hegel, wywarł nań urok jednolitością swoich poglądów, lecz nie mógł go zjednać sobie apodyktycznością swych twierdzeń. I u tych zatém filozofów nie znalazł jeszcze rozwiązania swych wątpliwości. Żył z kilkoma młodzieńcami, którzy lubili czytać, a przepędziwszy dzień w bibliotekach lub w klinikach, wieczorem zabawiali się dysputami. „Jeden z nich—opowiada Taine — znał wyższą matematykę i języki wschodnie (był to Franciszek Woepke) i pracował nad historyą matematyki. Drugi, botanik, pisał fizyologią storczyków. Trzeci, medyk, studyował dziedziczność chorób. Inny (Emil Planat, znany pod nazwiskiem Marcelin'a) utrzymywał, że historya obyczajów z ostatnich trzech stuleci znajduje się w bibliotece rycin. Ci oddawali się prawu, inni—chemii. Znaliśmy kilku uczonych i paru artystów, traktowaliśmy ich jak wyższych, ponieważ oni traktowali nas jako równych. Rozmowy były bardzo żywe i szczere. Często dyskutowano piśmiennie, by lepiéj przeprowadzić rozumowanie i uniknąć dwuznaczników. Śmiano się głośno z doktryn śmiesznych, a kiedy napotykano dowód fałszywy, to chociażby był urzędowym, zwalczano go odparciami i drwinami, jako głupca i wroga“ [1]).

Wśród takiego żywego grona przebył lat trzy i w ciągu tego czasu, mając lat 25, otrzymał stopień doktora literatury, napisawszy dwie tezy: jedną łacińską „*De personis Platonicis*“ [2]), drugą francuską: „*Essai sur les fables de la Fontaine*“ (w późniejszych wydaniach ma tytuł: „*La Fontaine et ses fables*“). W téj drugiéj mieszczą się już w zarysie wszystkie późniejsze poglądy krytyczne Taine'a.

Analizę swoję bajek „wielkiego dziecka“ podjął Taine nie jako krytyk literacki, lecz jako filozof; obchodzą go szczegóły, dba o nie, zestawia je starannie, ale dąży do uogólnień i dla nich głównie, dla ich okazania i sprawdzenia, zajmuje się faktami szczegółowemi. „Chciałem pokazać — mówi on w zakończeniu — całkowite tworzenie

---

[1]) Tamże, Przedmowa, str. III.

[2]) Przerobiona po francusku weszła w skład „Essais de critique et d'histoire“: „Les jeunes gens de Platon“, str. 155—197.

się dzieła poetyckiego i na jednym przykładzie zbadać, na czém polega piękno i jak ono powstaje.“

Otóż w tym celu stara się autor poznać najprzód rasę, z któréj poeta pochodzi; rasa ta bowiem wskutek właściwego sobie charakteru ma pewien rodzaj umysłu i pewien sposób pojmowania piękna. „Ten grunt narodowy — powiada — bardzo dobry dla jednych roślin, ale bardzo zły dla innych, niepodatny do bujnego wzrostu ziaren z kraju sąsiedniego, podatnym jest do dostarczenia swoim ziarnom wytwornego soku i doskonałego rozkwitu, kiedy bieg wieków sprowadzi temperaturę, jakiéj one potrzebują. Tak-to urodził się La Fontaine we Francyi w wieku XVII, Szekspir w Anglii w dobie Odrodzenia, Goethe w Niemczech za naszych czasów.“

A więc, obok rasy i ściśle z nią złączonych fizycznych warunków życia (grunt, klimat, pożywienie) wyróżnia już tutaj autor wpływ chwili dziejowéj, w któréj poeta się zjawia. „Geniusz, to potęga rozwinięta—powiada—a każda potęga tam tylko w całości rozwinąć się może, gdzie się znajduje w sposób naturalny i u wszystkich, gdzie wychowanie ją żywi, gdzie przykład ją wzmacnia, gdzie charakter podtrzymuje, gdzie publiczność ją wywołuje. To téż im jest większą, tém przyczyny jéj są większe. Im poeta jest doskonalszy, tém bardziéj jest narodowy. Im głębiéj wnika w swą sztukę, tém głębiéj wniknął w ducha wieku swego i swej rasy... Wskutek téj odpowiedniości między dziełem, krajem i wiekiem wielki artysta staje się człowiekiem publicznym. Wskutek niéj-to można go zmierzyć i wyznaczyć mu stanowisko. Wskutek niéj-to podoba się mniejszéj lub większéj liczbie ludzi, a dzieło jego żyje w ciągu dłuższego lub krótszego czasu. Należy go tedy uważać za przedstawiciela i skrót ducha, od którego otrzymuje swą godność i swą naturę. Jeżeli duch ten jest modą tylko i panuje kilka lat jedynie, pisarz jest Voiture'm. Jeżeli duch ten jest formą literacką i rządzi wiekiem całym, pisarz jest Racine'm. Jeżeli duch ten jest samą istotą rasy i zjawia się w każdym wieku, pisarz jest La Fontaine'm. Stosownie do tego, czy duch jest przemijający, długotrwały czy wieczny, dzieło jest przemijającém, długotrwałém, wieczném; i można dobrze określić ducha poetyckiego, godność jego, tworzenie się i początek mówiąc, iż on jest streszczeniem (*un résumé*). A to dlatego, że sam robi streszczenia i to najlepsze ze wszystkich. W tém poeci są szczęśliwsi od innych wielkich ludzi.“

Wypowiadając to ostatnie zdanie, Taine zbliża się do określenia indywidualności twórcy. Bo jakkolwiek usposobienia, uczucia, wrażenia w pewnym narodzie i w pewnym czasie są wspólne różnym jed-

nostkom, każda z nich przecie inaczéj wrażenia odczuwa i każda inaczéj zdaje z nich sprawę, inaczéj je streszcza. Taine wyróżnia przedewszystkiém dwie grupy wielkie śród jednostek: jedna z nich dochodzi do uogólnień i w formie tych uogólnień streszcza tę dziedzinę wrażeń i myśli, jaką sobie obrała; są to uczeni i filozofowie; druga zaś dochodzi wprawdzie także do uogólnień, ale przedstawia je za pośrednictwem szczegółów żywych i barwnych: są-to poeci. Poeta bowiem, rozumié się, prawdziwy i wielki poeta, jest, zdaniem Taine'a, i filozofem i malarzem. Utwór takiego poety zastępuje nam doświadczenia osobiste, które same tylko mogą wrazić w nasz umysł rys ścisły i odcień dokładny; ale równocześnie daje nam on pogląd ogólny, wykazujący jedność w zdarzeniach, ich znaczenie i podstawę. Za pośrednictwem poety „widzimy giesty, słyszymy akcent, odczuwamy tysiące szczegółów niedostrzegalnych i nikłych, jakichby nie potrafiła oddać żadna biografia, żadna anatomia, żadna stenografia, i dotykamy wielkości nieskończenie małych, będących na dnie każdego wrażenia; atoli, za jego téż pośrednictwem chwytamy charaktery, pojmujemy sytuacye, zgadujemy własności pierwotne czyli panujące, które stanowią lub przemieniają rasy i wieki, i ogarniamy wielkości nieskończenie wielkie, obejmujące każdy przedmiot.“ Poeta „jest równocześnie na dwu krańcach: we wrażeniach szczegółowych, od których umysłowość rozpoczyna, i w ideach ogólnych, na których umysłowość kończy, tak dalece, iż posiada całą jéj rozciągłość i wszystkie części, i że wskutek pełni i rozmaitości sił swoich, jest on najzdolniejszym do odtworzenia tego świata, wobec którego się znajduje“ [1]).

Wyjąłem z książki o La Fontainie te tylko poglądy, które są w niéj najogólniejsze i które miały się stać potém podwaliną teoryi krytycznéj naszego myśliciela. Ale poglądy te wysnute zostały ze szczegółowego a bardzo pięknego rozbioru składowych części utworów wielkiego bajkopisarza, oraz z ciągłego zestawiania tych utworów ze stanem umysłów i obyczajów we Francyi wieku XVII-go. Taine z prawdziwie artystyczném zamiłowaniem i talentem umiał odtworzyć wrażenia, jakie wywierają bajki, a zarazem te ogólne okoliczności i względy, do których wrażenia te skupione iześrodkowane doprowadzić mogą i doprowadzają. Ta artystyczna strona obrobienia jest w książce nader wydatną, a staranność, z jaką autor usiłował żywo i plastycznie oddać wszelkie właściwości talentu La Fontaine'a, porywa pisarza, sprawiając, że z uwielbienia dla pięknych szczegółów

---

[1]) La Fontaine et ses fables, str. 343—346, conclusion.

nie widzi w uwielbianym twórcy żadnych braków i niedoskonałości, i dlatego w wywodzie ogólnym tak wielkie, tak niespodziane nadaje stanowisko poecie, jako człowiekowi, co najlepiéj potrafi odtworzyć świat, wśród którego żyje. Jest-to drugi rys bardzo ważny w rozwoju umysłowości Taine'a — rys artystyczno-poetyczny, znaglający autora do szukania pełni i dobitności wyrażeń, a wskutek tego poszukiwania popadanie w pewną przesadę artystyczną co do ekspresyi uczuć i poglądów.

Te dwa rysy, które dotychczas zaznaczyłem, t. j. dążność do jednolitego na świat poglądu i zmysł artystyczny w uwydatnianiu szczegółów dotykalnych, rysy, jakie spotykamy u 25-letniego młodzieńca, potęgować się tylko będą w następstwie, kiedy coraz większa masa wiadomości faktycznych i coraz subtelniejsza analiza tych wiadomości wypełniać będzie jego umysłowość.

W r. 1854 Akademia francuska ogłosiła konkurs na rozprawę o Liwiuszu. Z prac nadesłanych żadnéj wprawdzie nie przyznano nagrody, ale wyróżniono pracę Taine'a, jako najlepszą, zarzucając jéj to głównie, że brakło jéj poważnego i przejętego uwielbieniem traktowania o geniuszu znakomitego dziejopisa. Taine przerobił swe dzieło, przesłał je Akademii powtórnie i tym razem dostał nagrodę (1855). Villemain, który był referentem komitetu nagradzającego, nadzwyczajnie wychwalał utwór Taine'a, lubo z duchem jego nie zgadzał się bynajmniéj; a w końcu sprawozdania swego powiedział: „Z powodu tego pięknego początku w dziedzinie umiejętności klasycznych. niech nam wolno będzie powinszować autorowi i wyrazić życzenie, żebyśmy przy wszystkich naszych konkursach mieli takich spółubiegających się, a w naszych szkołach—takich nauczycieli,“ — co było niewątpliwie sarkastyczną aluzyą do losów laureata, wywołującą łagodny uśmiéch na usta 40 nieśmiertelnych. Taine obniżał w pracy swéj znaczenie historyka rzymskiego, nazywając go przedewszystkiém wielkim krasomówcą; zarówno piękności, jak i wady jego dzieła wywodził z retorycznego przeważnie usposobienia jego ducha. Ogłaszając drukiem ten „*Essai sur Tite-Live*“, poprzedził go przedmową, w któréj powołując się na Spinozę, zaznaczał z naciskiem, że stosunek człowieka do przyrody nie jestto bynajmniéj stosunek państwa w państwie, lecz raczéj stosunek części do całości, że wewnętrzna istota człowieka tak samo jak świat zewnętrzny podlega prawom, że zasada panująca kieruje myślami i porusza maszynę ludzką w sposób nieprzeparty i nieunikniony.

Z powodu ciężkiéj choroby gardła, musiał Taine szukać odpoczynku i pomocy w wodach pirenejskich. Podróż ta dostarczyła mu

treści do pierwszego jego dzieła podróżniczego: „*Voyage aux eaux de Pyrénées*“ (1855), należącego do najpopularniejszych stosunkowo prac Taine'a. Gdyby szło o szczegółową charakterystykę usposobienia, nastroju i myśli autora o przeróżnych stronach życia, możnaby z téj podróży, obfitującéj w osobiste wywnętrzenia się, wyciągnąć dużo interesującego materyału. Tu zaznaczyć tylko należy, że wówczas Taine przeważnie zajęty był badaniami naukowemi nad przeszłością miejsc, które zwiedza, lubo bynajmniéj nie zaniedbuje napawania się pięknemi widokami.

Powróciwszy z Pirenejów, zaczął ogłaszać w „*Revue de l'instruction publique*“ szereg artykułów, którym dał tytuł: „*Les philosophes français du XIX siècle.*“ Był to śmiały a pełen werwy i dowcipu napad na panujący wówczas w szkołach francuskich eklektyczny spirytualizm. Wybrał pięciu jego przedstawicieli (Laromiguière, Royer-Collard, Maine de Biran, Wiktor Cousin i Jouffroy), ale głównie uderzył na Cousin'a, którego ówczesne znaczenie urzędowe nadawało pismom jego wpływ ogromny. Taine odtwarzał tu swobodny ton poufnych pogadanek, jakie prowadził z owymi kilku towarzyszami, z którymi żył w *Quartier-latin*. Spodziéwał się, że czytelnik wybaczy mu i ten ton i żywość zarzutów, zważywszy, iż szło tu o filozofię panującą, urzędową, która od ćwierć wieku formowała umysły i formować je miała daléj, która ciężyła nad niemi całą potęgą instytucyi i pod wszelkiemi kształtami i przez wszelkie usta co chwila māciła lub tłumiła wszelką wynalazczość i wszelki wysiłek. „Ja sam podlegałem jéj — dodaje Taine—i czuję, że nie potrafiłbym mówić o niéj inaczéj.“

Zasadniczą kwestyą, około któréj skupiała się dyskusya, była kwestya przyczyn ostatecznych. Spirytualiści twierdzili, że przyczyny te istnieją po za światem widzialnym, tworząc świat odrębny, świat duchowy; uważali je za byty metafizyczne. Pozytywiści (ze szkoły Comte'a) utrzymywali, że przyczyny pierwsze leżą po za granicami poznania ludzkiego tak, iż ani ich zaprzeczać, ani też nic o nich twierdzić nie można; wyłączali je zatém z zakresu poszukiwań naukowych.

Taine, przejęty dążnością filozofii niemieckiéj ujęcia wszechświata w jedną formułę, postanowił dowieść przeciwko spirytualistom, iż owe przyczyny nie są odrębnemi bytami, a przeciwko pozytywistom, iż one dadzą się ująć i wyprowadzić na drodze naukowéj. Sądził, że dokona tego za pośrednictwem dokładnéj analizy pojęcia przyczyny. Przyczyną pewnego faktu jest własność zasadnicza, z któréj fakt ten się wyprowadza; mieści się więc ona w samymże przedmiocie

czy zjawisku i może być z niego wyprowadzona; przyczyny pierwsze niczém się pod tym względem nie mogą różnić od przyczyn ostatecznych, a więc można je za pomocą abstrakcyi wydobyć z faktów najogólniejszych, do których dochodzi analiza. Zdawało mu się wówczas, że nie jestto zadanie trudne i w najogólniejszym zarysie tak przedstawił swoją metafizykę, opartą na wynikach nauk specyalnych, na ich ostatecznėm streszczeniu w kilku wyrazistych formułach: „Przypuśćmy, żeśmy dokonali téj pracy względem całéj historyi, psychologii, wszystkich nauk umysłowych, względem zoologii, fizyki, chemii, astronomii. W jednéj chwili wszechświat taki, jakim go widzimy, znika. Fakta się streściły, zastąpiły je formuły; świat się uprościł, powstała nauka. Istnieje już tylko pięć czy sześć zdań ogólnych. Zostały określenia człowieka, zwierzęcia, rośliny, ciała chemicznego, praw fizycznych, ciała niebieskiego i—nic więcéj nad to. Zwracamy uwagę na te określenia najwyższe, wpatrujemy się w te twórczynie nieśmiertelne, jedynie stale w nieskończoności czasu, który rozwija i niszczy ich dzieła, jedynie niepodzielne w nieskończoności przestrzeni, która rozrzuca i mnoży ich skutki. Ważymy się na więcéj jeszcze; ponieważ jest ich kilka i ponieważ są one faktami, jak i inne, staramy się wykazać w nich i wydobyć z nich fakt pierwotny i jedyny, z którego się one wywodzą i który je rodzi. Odkrywamy jedność wszechświata i rozumiemy, co ją wytwarza. Nie wynika ona z jakiéjś rzeczy zewnętrznéj, obcéj światu, ani z jakiéjś rzeczy tajemniczéj, ukrytéj w świecie. Wynika ona z jakiegoś faktu ogólnego, podobnego do innych, z prawa tworzącego, z którego wyprowadzają się inne, tak jak z prawa ciążenia wypływają wszystkie zjawiska ciężkości, jak z prawa falowania wypływają wszystkie zjawiska światła, jak z istnienia typu wypływają wszystkie funkcye zwierzęcia, jak z zasadniczéj zdolności narodu wypływają wszystkie strony jego instytucyi i wszystkie zdarzenia jego dziejów. Ostatecznym przedmiotem nauki jest to prawo najwyższe; a ktoby jednym rzutem zdołał się przenieść na jego łono, ujrzałby roztaczający się stamtąd, jak ze źródła, różnemi i rozgałęzionemi kanałami, wieczny potok wydarzeń i niezmierzony ocean rzeczy“ [1]).

Ponad to ogólnikowe stwierdzenie monizmu nigdy się Taine nie posunął; tylko coraz bardziéj przekonywał się o trudności dokonania syntezy metafizycznéj; o jéj możliwości nie zwątpił wprawdzie, ale nie czuł się na siłach, by tę możliwość zamienić na rzeczywistość.

Poprzestawszy tym razem na otrząśnięciu się z więzów filozofii

[1]) Les philosophes classiques, str. 368—9.

eklektycznéj, i przyczyniwszy się swém dziełkiem do jéj zdyskredytowania wśród młodzieży myślącéj, Taine rzucił się ponownie do prac szczegółowych nad literaturą francuską i angielską. W czasopismach pomieszczał krytyki dzieł nowo wychodzących z zakresu filozofii, historyi, polityki, podróży, powieści i sztuk pięknych, a oceny te zebrał następnie w osobnym tomie: „*Essais de critique et d'histoire*“ (1858 r.). Pisarzami angielskimi zajmował się już oddawna, lecz teraz powziął myśl nakreślenia pracy, obejmującéj ogół dziejów piśmiennictwa angielskiego. Ażeby, stosownie do swéj metody, już w La Fontainie zarysowanéj, módz wywody oprzéć na spostrzeżeniach własnych, odbył w r. 1861 podróż do Anglii i z wielką pilnością przypatrywał się naturze i badał ludzi, ich zwyczaje, myśli, sposób postępowania. Za powrotem zajął się wykończeniem dzieła, które wyszło w 4-ch tomach r. 1863 p. n. „*Histoire de la littérature anglaise*“. Zrobiło ono odrazu ogromne wrażenie w świecie naukowym, a komitet Akademii zalecił je do nagrody 4,000 franków. Na posiedzeniu jednak pełném, biskup orleański, Dupanloup, zaprotestował przeciw temu projektowi, mówiąc, że książka ta jest niemoralna i niereligijna, gdyż autor zaprzeczył wolności woli, a głosił fatalizm, lekceważył ojców kościoła, a anglikańską książkę do nabożeństwa wyraźnie pochwalił i zalecił. Wiktor Cousin skorzystał z téj sposobności, ażeby okazać swoją zupełną uległość kościołowi, a równocześnie przeciwnika swego filozoficznego ukarać, przychylił się do wniosku Dupanloupa. Większość poszła za głosem dwu wybitnych mówców; książka nie została nagrodzona; ale tém skwapliwiéj ją czytano.

Nie była ona historyą literatury w zwykłém znaczeniu wyrazu; ktoby w niéj szukał biografii autorów, dokładnego oznaczenia daty wyjścia książki lub zupełnego jéj tytułu, zawiódłby się najzupełniéj. Ażeby z niéj korzystać, potrzeba już mieć luźne przynajmniéj wiadomości o faktycznéj stronie literatury angielskiéj; bo ona nie jest historyą książek, ani zbiorem życiorysów, ani analizą estetyczną, lecz dziejami myśli, uczuć, pragnień i ideałów narodu angielskiego, o ile się one wyraziły w pierwszorzędnych utworach pisarzy angielskich. Jest-to właściwie filozofia dziejów literatury angielskiéj, poparta szczegółami znamiennemi, w sposób zarazem umiejętny, jak i artystycznie ugrupowanemi i oddanemi w słowach pełnych barwy, siły i polotu. Są w niéj omyłki, wykazane mianowicie przez późniejszego historyka literatury angielskiéj, Filona; lecz chociażby więcéj ich jeszcze było, niż ich tenże udowodnił, dzieło nie straciłoby wartości, bo w niém prócz szczegółów, są owe uogólnienia filozoficzne, które rozbudzają myśl, zapładniając ją świeżemi i oryginalnemi poglądami, bo

jest w niém ogromna potęga talentu psychologicznego i artystycznego, sama w sobie wartość niepospolitą posiadająca.

W przedmowie wyłożył szczegółowo tę teoryą rasy, otoczenia i chwili dziejowéj, którą w szkicu poznaliśmy już przy La Fontainie, a któréj znaczenie rozbiorę niebawem w związku z uzupełniającemi ją późniejszemi wywodami; to tylko dodam, że Taine konsekwentnie ją przeprowadził od zaczątku dziejów angielskich aż do Byrona włącznie, wykazując, jak pierwotne rasowe skłonności i uzdolnienia Anglosasa przemieniały się koleją wieków, a więc zmian otoczenia i chwili dziejowéj, i jak wytwarzały te szeregi pojęć, uczuć, pożądań, które w pisarzach angielskich odtworzone znajdujemy. Literaturę XIX-go wieku obrobił Taine już według innego planu ze względu, iż traktował o ludziach jeszcze żyjących lub świeżo zmarłych, o których nie można było mieć szczegółów ściśle sprawdzonych i zupełnych. Wybrał sześciu znakomitych pisarzy (Dickens, Thackeray, Macaulay, Carlyle, Mill i Tennyson), w których najwybitniejsze gałęzie literatury: powieść, historya, filozofia i poezya znalazły najwymowniejszych i najgłośniejszych przedstawicieli, i podał świetną ich charakterystykę, doszukując się w każdym cechy umysłu zasadniczéj i panującéj.

Po napisaniu tych utworów czuł się wyczerpanym. Przez czas jakiś czytanie nawet dziennika stanowiło dla niego trudność nieprzezwyciężoną. Dla wypoczynku zmienił miejsce, udał się w podróż do Włoch, gdzie zabawił od połowy stycznia do maja 1864 roku, podziwiając przyrodę, ale więcéj jeszcze przesiadując w muzeach i galeryach, a wieczorem rozczytując się w dziełach traktujących o sztukach pięknych. Owocem téj wycieczki była dwutomowa „*Voyage en Italie*“, w któréj złożył i wrażenia swoje i historyę malarstwa we Włoszech.

Za powrotem objął katedrę w Szkole sztuk pięknych i rozpoczął wykłady, które prowadził aż do zgonu. Nie był on mówcą we właściwém słowa znaczeniu, lecz jasnością, niezłomną logiką, siłą i obrazowością wyrażenia zyskiwał słuchaczów, a uprzejmością, gotowością do objaśnień i wskazówek jednał sobie ich szacunek i miłość. Wykładów tych nie ogłosił w całéj rozciągłości i podawał z nich tylko to, co w nich było najogólniejszego, wierny swemu usposobieniu i przekonaniu, że są to rzeczy najważniejsze. Po kolei więc wychodziły: „*Philosophie de l'art*“, „*De l'idéal dans l'art*“, „*Philosophie de l'art en Italie*“, „*Philosophie de l'art dans les Pays-Bas*“. „*Philosophie*

de l'art en Grèce" [1]. Mieszczą się tu wszystkie estetyczne poglądy Taine'a.

Równocześnie ogłosił jeszcze nowy zbiór swoich ocen z literatury francuskiéj p. n. „*Nouveaux essais de critique et d'histoire*" (1865), a przy powtórzoném wydaniu seryi pierwszéj (1866) streścił w przedmowie swoją metodę badań krytycznych.

Przysposobiwszy sobie, przez tyloletnią pracę nad różnemi stronami umysłu ludzkiego, obfity materyał do uogólnień, postanowił je wyłożyć systematycznie i dokonał tego przez wydanie w r. 1871 dwutomowego dzieła „*De l'Intelligence*". Ze wszystkich utworów francuskich, traktujących ten przedmiot, jestto niewątpliwie najdokładniejszy i najściślejszy. Dawniejszą umiejętność analizy na wzór Condillaca pogłębił tu Taine gruntowném zapoznaniem się z zasadami indukcyi, rozwiniętemi przez Milla, a korzystając z badań fizyologów i psychologów francuskich, angielskich i niemieckich, wyłożył w sposób jasny, a częstokroć obrazowy i zajmujący pierwiastki naszego poznania; doprowadziwszy je do formy najprostszéj, kiedy z jednéj strony przedstawiają się jako ruchy cząsteczkowe materyi nerwowéj, a z drugiéj jako najelementarniejsze wrażenia, usiłował następnie objaśnić „mechanizm poznania". Wyszedłszy z określenia, że wrażenie jest h a l u c y n a c y ą p r a w d z i w ą, t. j. odpowiadającą rzeczywistości, określenia, które podał już był dawniéj, kiedy pisał o filozofach klasycznych we Francyi, utorował sobie drogę do uzasadnienia poglądu, iż pojęcie przyczyny nie jest dowolnością, ani hypotezą, ale koniecznością i że jak w wypadkach, w których przyczynę znamy, tak i w wypadkach, kiedy jéj nie znamy, musimy uznać jéj istnienie. Stąd wysnuwa możność dojścia przyczyny bytu wogóle, a więc i możność metafizyki. „Matematycy — powiada — przyjmują dziś, że ilość rzeczywista jest tylko szczególnym przypadkiem ilości urojonéj, przypadkiem pojedyńczym, w którym składniki ilości urojonéj przedstawiają pewne warunki, jakich brak w innych przypadkach. Czyżby więc nie można przyjąć podobnie, że istnienie rzeczywiste jest tylko przypadkiem istnienia możliwego, przypadkiem szczególnym pojedyńczym, w którym składniki istnienia możliwego przedstawiają pewne warunki, których brak w innych przypadkach? Przypuściwszy to, czyż nie moglibyśmy się zająć wyszukaniem tych składników i tych warunków?" Sam jednak podjąć tego zadania nie chciał „wskutek poczucia swojéj słabości"; ale twierdził, że dokonać go można, mó-

[1] Wszystkie te rozprawy, ze zmienionemi cokolwiek tytułami, stanowią obecnie pięć części dwutomowego dzieła z napisem: „Philosophie de l'art."

wiąc: „widzę granice własnego umysłu, — ale granic umysłu ludzkiego nie widzę.“

Po dokonaniu téj pracy odbył powtórną wycieczkę do Anglii, a jéj wynikiem były pięknie skreślone „*Notes sur l'Angleterre*“ (1872), następnie zaś, może z początku dla dopełnienia swego dzieła o umysłowości—rozbiorem uczuć i woli, chcąc się przyjrzéć ludziom działającym na polu walk społeczno-politycznych, zaczął się rozpatrywać nie już w tworach myśli i fantazyi człowieka, ale w tworach jego namiętności. Bolesna przegrana Francyi w walce z Niemcami, następnie straszna wojna domowa nasunęły mu myśl zbadania przyczyn, które się na te doniosłe fakta złożyły, a ta go powiodła do rozważania „Początków Francyi spółczesnéj“ („*Les origines de la France contemporaine*“). Zrazu sądził, że praca ta da się zawrzéć w paru tomach, ale w miarę posuwania się w niéj, rosła ona ogromnie. Pierwszy tom pod oddzielnym tytułem „*L'ancien régime*“ wyszedł w r. 1876; w trzy lata potém pojawił się tom drugi „*La Révolution*“, potém dalsze dwa tomy tenże przedmiot rozwijające, a w r. 1891 „*Le régime moderne*“, gdzie odmalował działalność Napoleona. Emil Faguet (w „*Revue Bleue*“, 1893, N. 10) zapewnia, że praca ta została doprowadzoną do końca, i że, o ile mu się zdaje, rozpoczął był Taine nową o Sainte-Beuvie, zamierzając wrócić do filozofii, prawdopodobnie, by napisać rzecz o woli. Śmierć przerwała te zamierzone roboty. Pozostawił atoli Taine dosyć dla swéj nieśmiertelności.

II.

Przyjrzyjmy się teraz dokładniéj temu, co odtąd nazawsze związanem będzie ściśle z nazwiskiem Taine'a, jego metodzie krytyczno-literackiéj.

Powstała ona z ogólnéj dążności do nadania wiedzy humanistycznéj cech naukowych, któreby ją upodobniły do wiedzy przyrodniczéj. Jak Buckle próbował uczynić historyą wogóle umiejętnością ścisłą przez wykrycie praw nią rządzących, tak Taine, znając już dzieło Buckle'a, lecz nie poczytując praw przezeń postawionych za niewątpliwe, usiłował dla historyi literatury i krytyki estetycznéj wyprowadzić inne, ogólniejsze, o których prawdziwości był przekonany. Utrzymywał, że je znalazł na drodze obserwacyi i doświadczenia; wzywał więc tych, co przeciw prawom przezeń ustalonym występowali, ażeby je obalili również za pośrednictwem obserwacyi i doświadczenia. Jak chemik powiada: weź taką a taką materyą, podziel ją w ten a w ten sposób, zrób z nią takie a takie działania w pewnym określonym po-

rządku, a dojdziesz do wykrycia takich a takich zależności i do ustalenia takiéj to zasady; podobnie i Taine zapewniał, że jeśli chce się dojść do jakichś stałych i ścisłych uogólnień co do danego pisarza czy artysty, danego okresu dziejowego, danéj rasy i t. d., to należy z niemi w ten sam sposób postępować.

A więc, ażeby się przekonać, że w autorze pewnym wszystkie jego właściwości zależą od jednéj czy dwóch głównych, zasadniczych, trzeba według téj metody zrobić, jak następuje. Kto chce dobrze odczytać jego dzieła, podzieli je na „grupy naturalne“, a w każdéj z nich wyróżni te trzy rzeczy odrębne, które nazywamy: charakterami, akcyą i stylem. W każdym z tych działów, zwyczajem każdego krytyka, zaznaczy kilkoma krótkiemi a dobitnemi słowy, odrębności wydatne, rysy panujące, przymioty właściwe temu autorowi. Przeszedłszy w ten sposób cały utwór, jeżeli tylko nabierze niejakiéj wprawy w takiéj pracy, wpadnie mimowoli na zdanie silne i znaczące, które streści całą jego dotychczasową czynność i postawi mu przed oczyma pewien rodzaj smaku i talentu, pewne usposobienie umysłu i serca, pewien szereg zamiłowań i wstrętów, zdolności i braków — słowem, pewien „stan psychologiczny“, panujący i trwały, który znamionuje owego autora. Niechże następnie powtórzy krytyk tę samą czynność na innych utworach tegoż pisarza; niech porówna te kilka streszczeń, do jakich go doprowadziły rozbiory częściowe; niechaj doda do pism życie autora, czyli postępowanie z ludźmi, jego filozofię czyli sposób patrzenia na świat, jego etykę i estetykę czyli ogólne poglądy na dobro i piękno; niech zestawi wreszcie wszystkie owe krótkie określenia, w których ześrodkował swe uwagi i swe sądy poszczególne. Jeżeli określenia te są dokładne, jeżeli krytyk umié dojrzéć uczuć i uzdolnień pod wyrazami, co je oznaczają; jeżeli jego oko wewnętrzne, za pomocą którego wyróżniamy i określamy natychmiastowo odmiany istoty moralnéj, jest dość wyćwiczoném i przenikliwém, to zobaczy, że owe określenia *zależą* od siebie nawzajem, że gdy jedno jest takiém, to inne nie mogły być odmiennemi, że zatém przymioty przez nie oznaczone łączą się ze sobą jaknajściśléj, że gdyby się zmienił jeden, toby się odpowiednio zmieniły inne; że więc tworzą one system jak jakie ciało organiczne. Osiągnie on nietylko niejasne poczucie téj wzajemnéj zgodności, co harmonizuje różnorodne uzdolnienia umysłu, lecz nadto ujrzy ją dotykalnie; będzie mógł dowieść drogą logiczną, że pewien przymiot, dajmy na to bujność lub suchość wyobraźni, zdolność krasomówcza lub liryczna, stwierdzona w jednym punkcie, musi przewagę swoją wywrzéć na resztę. Za pomocą ścisłego rozumowania złączy w ten sposób różne skłonności człowieka ba-

danego w szczupłą liczbę uzdolnień kierowniczych, z których się tamte wywodzą i które je tłómaczą; i roztoczy się przed nim widok „cudownych konieczności“, wiążących ze sobą niezliczone, różnobarwne, zgmatwane nici każdéj istoty ludzkiéj.

Jak tu z jednym autorem (co Taine dokonał względem Lafontaine'a, Liwiusza, Balzaca, Racine'a, Saint-Simona i tylu innych), tak samo należy postępować z grupami autorów, ze stuleciem całém, z narodem, z grupą narodów i t. d. Tylko, że działanie wtedy będzie trudniejsze i bardziéj złożone. Cechy przez nas odkryte wydadzą się tak odmiennemi od siebie, że je zrazu trudno będzie do jakiejś jednolitości doprowadzić. Tak np. mówiąc o wieku XVII we Francyi, „między szpalerem w Wersalu, rozumowaniem filozoficznem i teologicznem Malebranche'a, przepisem wersyfikacyjnym Boileau'a, ustawą Colbert'a o hipotekach, komplementem przedpokojowym w Marly, zdaniem Bossuet'a o władzy królewskiéj Boga, odstęp wydaje się nieskończonym i nie do przebycia.“ Fakty są tu tak niepodobne do siebie, że na pierwszy rzut oka uważa się je za całkiem odosobnione. Potrzeba namysłu i rozwagi, ażeby je odnieść do pewnych grup, do których należą, a definicye tych grup wskażą nam łączność faktów napozór odrębnych. Każdy bowiem z tych faktów jest dziełem tego człowieka „idealnego i ogólnego,“ wkoło którego gromadzą się wszystkie wynalazki i wszystkie właściwości epoki; każdy z nich jest wywołany jakąś zdolnością czy skłonnością panującego wzoru. Różnorodne skłonności czy zdolności „osoby centralnéj“ równoważą się, harmonizują, miarkują nawzajem pod działaniem usposobienia lub uzdolnienia kierowniczego, gdyż wszędzie taż sama dusza myślała, modliła się, bujała wyobraźnią i działała, gdyż wszędzie ta sama sytuacya ogólna i taż sama przyrodzona właściwość wytworzyła owe dzieła odrębne i oddzielne, gdyż taż sama wszędzie pieczęć odcisnęła się odmiennie na odmiennych materyałach. Żadne z tych odciśnięć nie może się zmienić, nie wywołując zmiany w innych, gdyż jeśli jedno z nich się zmienia, to wskutek zmiany pieczęci.

Pociągająca to rzecz módz osiągnąć wiedzę pewną i ścisłą w sprawach dotyczących duszy ludzkiéj i jéj działań, a zapewnienie badacza, iż dojdzie się do tego drogą takąż samą jak w naukach przyrodniczych, przejmowałoby nas otuchą, gdybyśmy byli naprawdę przeświadczeni, że postępując metodą przezeń wskazaną otrzymamy te same co on rezultaty, tak jak chemicy, gdziekolwiek są, jeśli tylko mogą i umieją zrobić wskazane doświadczenie, otrzymują wyniki identyczne. Niestety! przekonania takiego nie możemy w sobie wyrobić. Badanie naukowo-literackie, opisane przez Taine'a, różni się zasadni-

czo od doświadczeń chemicznych tém, że w badanym przedmiocie żadnéj zmiany zaprowadzić nie możemy, tylko musimy go przyjąć takim, jakim jest, jakim go nam przedstawiają gmachy, pomniki, książki, malowidła, instytucye i t. d. Możemy zrobić wiele, ażeby się w badaniu tworów umysłu ludzkiego zbliżyć do badania tworów i zjawisk przyrody: możemy odosabniać pewne części całości i rozpatrywać je oddzielnie, możemy zestawiać je i porównywać z podobnemi częściami w inném miejscu lub w innym czasie; możemy śledzić genetycznie rozwój osobnika czy instytucyi; — ale nie możemy ani jednéj duszy postawić w odmiennych warunkach, aniżeli ona żyła, ni śledzić, jakie zmiany w niéj zachodzą pod wpływem odmiennych warunków. Przez zbadanie podobnych dusz do téj, którąśmy chcieli poddać doświadczeniu, a żyjących w takich warunkach, jakie są dla doświadczenia tego pożądane, nie osiągniemy wyniku ścisłego, tylko analogię, cenną niewątpliwie jako wskazówkę, lecz nie przekonywającą jak oczywisty dowód.

Ale nie nastawajmy na ten szczegół; powiedzmy, że zestawienie badania naukowo-literackiego z doświadczeniem chemiczném nie było ścisłem, że o doświadczeniu we właściwym zakresie nie mogło tu być mowy, że autor użył tego wyrazu tak, jak go używają ci, co piszą o psychologii doświadczalnéj w przeciwieństwie do psychologii, opartéj jedynie na obserwacyi wewnętrznéj. Nie możemy w rzeczach historyczno-literackich robić doświadczeń, ale możemy dokonywać dokładnych i ścisłych spostrzeżeń. Czy na tém stanowisku zdołamy osiągnąć wyniki, któreby równać się mogły pod względem ścisłości naukowéj z rezultatami nauk przyrodniczych? Podobno nie. Wielu badało literaturę angielską niemniéj starannie i gruntownie jak Taine, ale czyż ktokolwiek zgodził się we wszystkich szczegółach z wywodami i uogólnieniami, do jakich on doszedł? A przecież takiéj właśnie zupełnéj zgody potrzebaby było, żeby wyniki badania historyczno-lirackiego mogły co do pewności i precyzyi zrównać się z wynikami badań przyrodniczych. Możnaby tu zarzucić, że owi badacze nie posługiwali się jego metodą i stąd wynikła różnica w ich wywodach. Na taki zarzut nie podobna zapewne byłoby znaleść faktycznego odparcia; lecz znajdzie się odpowiedź ogólniejsza nie dosyć jest posługiwać się metodą Taine'a, ale trzeba jeszcze mieć umysł taki jak Taine, ażeby dojść do jego wyników, a to już jest zgoła niepodobieństwem. I na tém polega druga różnica ważna między poszukiwaniami historyczno-literackiemi a przyrodniczemi. Badacze przyrody mają wprawdzie także umysły różne, z którémi do studyów przystępują; atoli udział czynnika podmiotowego w badaniach daje się wykryć i określić,

a w końcu strącić z rezultatu ich obserwacyi; przytem materya, którą badają, jest stosunkowo prosta, a spostrzeżenia jednego zmysłu dają się kontrolować, sprawdzać za pomocą spostrzeżeń innych zmysłów oraz narzędzi, które sprawność tych zmysłów potęgują. Tymczasem w naukach, mających za przedmiot duszę i jéj twory, pozbawieni jesteśmy tych wszystkich pomocy zewnętrznych, bo nawet te obserwacye i przyrządy, które w nowszych czasach do badań psychologicznych zastosowano, określają właściwie jedną tylko, fizyologiczną stronę zagadnienia, a w tém wszystkiém, co się tyczy wyobrażeń, myśli i wszystkich bardziéj złożonych czynności duszy, opiérać się musimy tylko na obserwacyi wewnętrznéj, na zdolności naszego umysłu, od których zależy jasność lub mętność, świéżość i bystrość lub powszedniość i tępość, siła lub słabość naszych sądów, określeń, uogólnień.

Czyżby Taine o tém nie wiedział? Zanadto był trzeźwym umysłem i zbyt dużo się kształcił w naukach specyalnych, ażeby się miał dać unieść abstrakcyi chociażby najświetniejszéj, najbardziéj czarującéj. Stwierdziwszy [1]), że jak w przyrodzie tak i w sprawach ducha mamy ostatecznie zagadnienie mechaniczne, iż wynik ostateczny określony jest całkowicie wielkością i kierunkiem sił, które go wydają, dołącza tę doniosłą uwagę: „Jedyną różnicę, dzielącą zagadnienia duchowe od fizycznych, stanowi to, że kierunki i wielkości nie dają się oznaczyć z jednakową ścisłością w pierwszych jak w drugich. Choć potrzeba jaka czy zdolność jest ilością dającą się stopniować tak samo jak ciśnienie czy ciężar, to przecież ilości téj niepodobna zmierzyć tak jak ilości ciśnienia czy ciężaru. Nie możemy ująć jéj w formułę dokładną lub przybliżoną; z jéj powodu nie możemy miéć ani dać nic innego nad wrażenie literackie; musimy poprzestać na zanotowaniu i przytoczeniu faktów wybitnych, przez które się ona ujawnia i które mniéj więcéj, w rysach grubych wskazują, na jakiéj wysokości skali należałoby ją umieścić.“

Był zatém myśliciel ten świadom względnéj wartości uogólnień, jakie w naukach historyczno-literackich porobić można; nie dał się jednak tém odstraszyć od poszukiwania tych uogólnień i słusznie. Przewidziéć niepodobna, jakie jeszcze udoskonalenia w sposobie badania spraw umysłowych dokonane być mogą, a tymczasem potrzebujemy, z natury ducha naszego, poglądów ogólnych, ujmujących w pewną całość szereg zjawisk, aby nie utonąć w masie szczegółów, gromadzą-

---

[1]) Hist. de la litt. anglaise. Wstęp XXXII.

cych się w coraz większéj liczbie. I w naukach przyrodniczych robiono szczęśliwe hipotezy, które posłużyły do odkrycia istotnych praw natury. Dlaczegóżby hipotez podobnych nie próbować w sferze umysłowéj, zastępując niemi te niejasne, sprzeczne częstokroć z sobą określenia, które krytyka podmiotowa, felietonowa nam pozostawiła?

Człowiek jest dalszym ciągiem świata organicznego; dlaczegóżby więc nie miały się do niego stosować prawa biologii zarówno co do tych czynności, które są mu wspólne ze zwierzętami, jak i do tych, które jemu tylko są właściwe? I tu i tam odnajdujemy te same główne pierwiastki ruchu t. j. siły, kierunki i wielkości; dlaczegóżby więc wynik ostateczny nie miał się dokonywać według téj saméj zasady? Wziąwszy pod uwagę moc wewnętrzną, ciśnienie z zewnątrz i chyżość już nabytą, wyczerpujemy nie tylko wszystkie przyczyny rzeczywiste, ale też wszystkie przyczyny możliwe każdego ruchu. Zastosujmy tę zasadę do spraw człowieka rozważanego w masie.

Mocą wewnętrzną będzie rasa, z któréj człowiek pochodzi, t. j. te usposobienia wrodzone i dziedziczne, jakie z sobą na świat przynosimy, a jakie się łączą zazwyczaj z wydatnemi różnicami w wyglądzie i budowie ciała; są one najtrwalsze ze wszystkich i prawie niewzruszone. Ciśnieniem z zewnątrz będzie otoczenie czyli środowisko (*le milieu*), wśród którego człowiek żyje, a więc natura ze wszystkiemi swojemi właściwościami oraz inni ludzie, urządzenia polityczne i stosunki społeczne. Chyżością już nabytą będzie wreszcie chwila dziejowa, w któréj czy jednostka, czy naród, czy rasa tworzy jakieś dzieła. Kiedy w pewnéj dobie oddziaływa charakter narodowy i okoliczności, to nie oddziaływają one na jakąś gołą tablicę, lecz na tablicę, na któréj już są pewne wyciski dawniejsze. Stosownie do tego, czy się bierze tę tablicę w téj lub owéj chwili, wycisk będzie odmienny, a stąd i wynik ogólny działania czynników twórczych będzie inny.

Czy te siły działające na wytwarzanie się instytucyi i wszelkiego rodzaju utworów były po raz pierwszy przez Taine'a wskazane? Bynajmniéj; on sam wymienia poprzedników swoich, co się do przemiany metody badań historycznych przyczynili. O wpływie klimatu, nieba, gruntu, pożywienia mówiono oddawna, a w XVIII wieku od Montesquieugo poczynając, opiérano na tym wpływie bardzo wiele wywodów. O charakterze narodowym i jego znaczeniu w powstawaniu dzieł różnorodnych jako téż o t. z. „duchu wieku“ mówiono również dużo. Ale mówiono luźnie, czasami jakby dla retorycznéj tylko ozdoby, w sposób nieokreślony. Taine usystematyzował, co do owéj pory było rozproszoném, ujął w ścisłe określenia, ośmielił się powiedzieć,

że w rasie, otoczeniu i chwili dziejowéj wyczerpał wszystkie nie tylko rzeczywiste, ale możliwe przyczyny ruchu umysłowego w ludzkości; w dodatku zaś połączył to uogólnienie z uogólnieniem mechaniki, przedstawiając związek zjawisk duchowych z fizycznemi.

To się właśnie nie podobało nie tylko feljetonowym krytykom, ale i tym wszystkim, którzy sądzili, że pogląd ten zagraża idei swobody ducha i ściąga go na poziom materyi.

Nie oburzano się na Mickiewicza, gdy wołał:

Człowieku, sługo wieczny! bo nietylko zmysły,
Ale i sądy twoje od drugich zawisły.
Pierś dziecinną ojcowskie napełniają czucia;
Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia.
Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie,
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie,
Albo nim nauczyciel poił ucho twoje,
Zawżdy część własnéj duszy mieszając w napoje;
A tak gdzie się obrócisz, z każdéj wydasz stopy,
Żeś... Polak, mieszkaniec Europy.

A przecież w tych wierszach odszukać można wszystkie trzy czynniki, jakie Taine w system ujął. Tylko, że wiersze te napisał poeta, który następnie miał zawołać: „Ja mistrz! Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę! Cóż Ty większego mogłeś zrobić, Boże!“ i tym sposobem wynieść indywidualność twórczą wieszcza na wyżyny wszechtwórczéj potęgi. U Taine'a zaś indywidualność — zdawało się — niknie zupełnie w uściskach rasy, otoczenia i chwili dziejowéj. Atoli zdawało się tylko i to tym, którzy albo nie przywykli do rozbioru oderwanego, albo téż z zasady metafizycznéj całkiem wyodrębniali ducha ludzkiego z pośród zjawisk przyrody.

Istotnie zarzut zaguby indywidualności twórcy równa się zarzutowi, iż chemik, który rozłożył wodę na tlen i wodór, wskazując wzajemny tych pierwiastków stosunek, zagubił samą istotę wody. A jednak zarzut ten dawał się słyszéć i dawniéj i teraz i to w ustach ludzi, którzy niby zgłębili teorye francuskiego myśliciela. Tymczasem w rzeczywistości Taine nie tylko nigdzie nie zaprzeczył znaczenia indywidualności twórcy przy tworzeniu, lecz ją przy każdéj zdarzonéj sposobności podnosił. Dość jest odczytać cały szereg studyów poświęconych poszczególnym postaciom pisarzów, ażeby się przekonać, jak starannie dbał on o uwydatnienie cechy znamiennéj każdego twórcy, cechy, która go od wszystkich innych stanowczo wyróżniała. Ale mógłby ktoś twierdzić, że w studyach tych nie posługiwał się Taine swoją własną metodą. Nic niedorzeczniejszego! Autor „Historyi literatury angielskiéj“ był jednym z najkonsekwentniejszych ludzi,

tylko ciągle miał na pamięci stosunek szczegółów do ogółu i gdy wyprowadzał prawa ogólne, nie mógł w nich się rozwodzić nad znaczeniem indywiduów, tak jak fizyk podający teoryę gradu nie może się rozpisywać o tym gradzie, który wczoraj padał, chociaż i ten grad wchodzi do jego uogólnienia.

Pojęcie odrębności każdego indywiduum, ba, każdego przedmiotu w naturze, oparte było u Taine'a na trochę szerszéj podstawie niż drażliwość ludzka o swoją godność. „To, co nazywamy podmiotem— powiada on w dziele o Umysłowości — podmiotem odrębnym jest sumą lub połączeniem cech, które nie znajdują się wszystkie i ściśle też same w żadnym innym podmiocie, chociażbyśmy wyobrazili go sobie najpodobniejszym do pierwszego. Ta np. kropla deszczu, chociaż nawet przypuścimy w niéj kształt, objętość, budowę wewnętrzną zupełnie takież same, co i w kropli sąsiedniéj lub następującéj po niéj, posiada prócz tego cechy, których nie posiada ani sąsiednia, ani następująca po niéj kropla, a mianowicie położenie w czasie odnośnie do poprzednich kropel i położenie w przestrzeni odnośnie do kropel, otaczających ją.“ Człowiek, który zaznacza odrębność jednéj kropli deszczu od drugiéj, nie może chyba zapomniéć o różnicy indywidualności Szekspira i Woltera. Byłoby zbytecznéin przytaczanie całych ustępów z filozofii sztuki, z historyi literatury angielskiéj, z charkterystyki malarstwa włoskiego i t. d., gdzie dobitnie zaznaczona została wartość i doniosłość jednostek twórczych, ale sądzę, że należy tutaj przypomniéć odpowiedź, jaką dał Taine przeciwnikom metody swojéj w r. 1866. „Przeciwnik — powiada on — sam o tém nie wiedząc, daje się uwodzić wyrazom. Zarzuca ci, że charaktery narodowe i położenia powszechne uważasz za jedyne wielkie siły w historyi, i wyciąga stąd wniosek, że zupełnie usuwasz jednostkę. Zapomina on, że te wielkie siły są jedynie sumą skłonności i zdolności jednostek, że nasze wyrażenia ogólne są to nazwy zbiorowe, za pomocą których jednoczymy w jednym z punktów naszego widzenia, dwadzieścia czy trzydzieści milionów dusz usposobionych i działających w tym kierunku, że kiedy stu ludzi porusza koło, to siła całkowita wprawiająca je w ruch jest tylko zbiorem sił tych stu ludzi i że jednostki istnieją i działają w narodzie, w stuleciu czy w rasie tak samo jak jedności w dodawaniu, w którém piszemy tylko liczbę ostateczną“ [1]).

Jeżeli pomimo tego wyjaśnienia i pomimo stwierdzających je przykładów w studyach Taine'a, podnoszono zarzut zaguby indywidualności w jego teoryi, jak to zrobił Hennequin („Zarys krytyki nau-

---

[1]) Essai de critique et d'histoire. Przedmowa XXII.

kowéj“), a za nim rzesza nie myślących samodzielnie umysłów, zadowolonych, że przecie coś nowego posłyszeli; to przypisać to należy częścią brakowi gruntownéj znajomości dzieł Taine'a, częścią niezdolności do myślenia oderwanego. Istotnie, jak można się spodziéwać ścisłości w formułowaniu zarzutów od człowieka, który pisząc jak Hennequin bardzo obszernie o metodzie Taine'a, nie umié nawet nazwać należycie tych trzech zasadniczych czynników, które w niéj główną odgrywają rolę. Proszę odczytać w „Zarysie krytyki naukowéj“ (str. 66 — 86 w tłómaczeniu polskiém) ustęp, w którym Hennequin streszcza i podkopać usiłuje trzy przyczyny wszystkich objawów twórczości umysłu ludzkiego, a które w ten sposób wymienia: dziedziczność, otoczenie, miejsce zamieszkania. Tym sposobem to, co u Taine'a jest skupione w wyrazie: milieu rozdzielił Hennequin na otoczenie społeczne i na przyrodę, a trzeciego czynnika t. j. chwili dziejowéj wcale nie wyodrębnił. Widocznie pisał z pamięci i wiedząc tylko ogólnikowo o trzech zasadniczych siłach przyjętych przez Taine'a, dowolnie je sobie ponazywał i ten wytwór swojéj fantazyi krytyce poddał.

Inni przeciwnicy Taine'a, jak np. Ferdynand Brunetière w dziele „*L'Evolution des genres dans l'histoire de la littérature*“, znają dobrze metodę poddaną przez siebie krytyce, ale nie posiadając zdolności abstrakcyjnéj w wyższym stopniu, zbytecznie przywiązują się do szczegółów, a nie umieją należycie wniknąć w całość. Brunetière np. z trzech owych wielkich czynników życia umysłowego główne a nawet wyłączne znaczenie przyznaje tylko „chwili dziejowéj“ i podejmuje się za jéj pomocą wyjaśnić wszystko to, co w dziele literackiém daje się rzeczywiście wytłómaczyć przyczynami ogólnemi (str. 262). Wygłaszając takie twierdzenie, zapomniał widocznie krytyk, że w chwili dziejowéj zbiegają się dwa inne czynniki: wpływ rasy i otoczenia, że jest to zatem czynnik najwidoczniejszy, najdotykalniejszy, i że potrzeba więcéj bystrości na to, ażeby z niego wydzielić części składowe rasy i otoczenia niż na to, żeby za jego pośrednictwem wytłómaczyć zjawiska literackie.

Emil Faguet znowuż (w „*Revue Bleue*“ 1893, Nr. 10) oświadczając, że jest bardzo dalekim od metody swego mistrza, trawestuje ją, mówiąc, że według niéj wielkie dzieła tworzą niepiśmienni raczéj niż autorowie tychże, tak, iż Corneille daleko bardziéj wyraża myśl swoich poczciwych sąsiadów aniżeli własną, jeżeli poeci czy artyści mają być wyobrazicielami tylko rasy, otoczenia i chwili dziejowéj. „Gdyby teorya ta — mówi daléj — była prawdziwą, to całkiem musielibyśmy przewrócić klasyfikacyą autorów. Nie jest rzeczą prawdo-

podobną, żeśmy u Taine'a lub Renana powinni szukać myśli ludu francuskiego lub też historycznego objaśnienia o stanie duszy ludu francukiego w r. 1890, ale chyba w *Petit Journal'u.* Pisarze, zresztą bardzo szanowni, pracujący w tym dzienniku, są zatem dla historyka cennym wyrazem, owszem najcenniejszym, stanu umysłowego Francyi współczesnéj, i jeśli teorya jest słuszną, oni-to są istotnymi autorami XIX wieku, godnymi studyów. Jeżeli autor o tyle tylko znaczy, o ile jest dobrém źródłem historyczném, jeżeli cenimy go jedynie jako dokładny znak ducha czasu, w którym żyje, to do tego przecie dojść wypadnie.“

Jestto zapewne dowcipne, ale bynajmniéj nie ścisłe i nieprawdziwe. Bo naprzód Taine nie ceni utworu jedynie jako źródła informacyi dziejowéj, lecz też rozważa jego wartość estetyczną, a powtóre na uwagę, że *Petit Journal* jest najlepszém zwierciadłem chwili, mógłby odpowiedziéć Taine, zgodnie ze swoją teoryą wartości estetycznych: prawda, jest najlepszém zwierciadłem: ale tylko chwili bieżącéj, ulotnéj, po któréj jutro ledwie ślad zostanie; tymczasem wielki poeta, wielki artysta, wielki uczony reprezentuje to ze swego czasu, co będzie miało wartość trwałą albo i wieczną nawet.

Zarzutów robionych metodzie Taine'a przez tych, co z odmiennego stanowiska metafizycznego wychodzą, roztrząsać tu nie będę, gdyż dyskusya musiałaby się odrazu przenieść na inne pole i dotknąć samych podstaw bytu a raczéj pojęć, jakie o tych podstawach wyrobił sobie człowiek. Za rozległa to dziedzina i wkraczanie do niéj nie byłoby tu na miejscu.

Jeden wszakże z zarzutów do téj dziedziny należących zaznaczyć muszę z tego względu, iż go zarówno dawniéj jak i dzisiaj podnoszą nietylko metafizycy, ale i ludzie godzący się na metodę pozytywną w sferze badań naukowych, odsuwający ją jednak w sprawach moralnych i społecznych. Powiadają oni, że pogląd, który wszystkie czynności człowieka poddaje prawom, przemienia go na maszynę, odbiéra mu wolną wolę, czyni go zależnym od jakichś paru sprężyn wewnętrznych i od wielkich ciśnień zewnętrznych, a stąd zniechęca go do wysiłków wszelkich, nauczając, że kierują nami jakieś siły wewnętrzne i zewnętrzne, których panami nie jesteśmy, lecz musimy bezwarunkowo im ulegać.

Na zarzut taki odpowiedział również sam Taine i najlepiéj podobno będzie, gdy rozumowanie jego tutaj przywiodę. Kto się z zarzutem takim odzywa, zapomina, co to jest dusza indywidualna, odłączając wyraz od rzeczy; przestaje widziéć w duszy czynniki ją składające t. j. zdolności i skłonności, których ona jest zbiorem tylko. Nie spostrzega, że zasadnicze zdolności i skłonności duszy należą do niéj, że te, których

nabiéra wśród otoczenia lub w charakterże narodowym są lub stają się jéj zdolnościami i skłonnościami osobistemi, że kiedy zatém działa przez nie, to działa sama przez się, własną swą siłą, z całkowitą inicyatywą, z zupełną odpowiedzialnością, i że środek analityczny, za pomocą którego odróżniamy jéj główne motory, jéj kolejne zazębiania się i rozkłady pierwotnego jéj ruchu, nie przeszkadza bynajmniéj duszy, żeby z saméj siebie wydobywała swój popęd i kierunek t. j. swoją energię i wysiłek. Poszukiwania tego rodzaju nie tylko nie odbiérają odwagi człowiekowi, przedstawiając mu jego niewolę, lecz owszem wzmacniają jego nadzieje, powiększając jego potęgę. Odkrywając stałe zależności pomiędzy faktami, nauki fizyczne dały ludziom możność przewidywania i zmieniania w pewnéj mierze zjawisk natury; podobne odkrycie w naukach historyczno-moralnych powinno dostarczyć środków przewidywania i zmieniania w pewnéj mierze zjawisk historyi. Tém silniejszymi bowiem stajemy się panami losu naszego, im dokładniéj rozpoznajemy wzajemne między rzeczami związki. Zbadawszy konieczny warunek faktu pewnego, warunek tego warunku i tak daléj, mamy przed oczyma łańcuch danych, w którym dość jest przemienić jedno ogniwo, ażeby następne również uległy przemianie, tak, że ostatnie, nawet położone po za granicą naszego działania, ulegają im przez odbicie, jeżeli jedno z poprzednich dostaje się pod władzę naszą. Wzrost wiadomości wzmaga tym sposobem naszą potęgę; a stąd wypływa, że jak w naukach fizycznych, tak i w naukach historycznych owocném jest to poszukiwanie, które odkrywa warunki i zależności rzeczy, gdyż dozwala niekiedy ręce człowieka wpływać na wielki mechanizm życia, usuwając lub ustawiając jakieś maleńkie kółeczko, dość lekkie, by je ręka człowieka poruszyć mogła, lecz o tyle ważne, że jego przesunięcie może sprowadzić zmianę olbrzymią w działaniu machiny i obrócić ją w całości, czy to w naturze czy w życiu społeczném na korzyść téj istoty rozumnéj, choć maluczkiéj, co przeniknęła układ budowy téj machiny [1]).

Robienie zatém uogólnień oderwanych, które nam ułatwiają ogarnięcie masy faktów, poszukiwanie praw, które nam wyjaśniają przyczymy zjawisk, nie grozi tedy ani zagładzie indywidualności, ani téż nie może zniechęcać duszy ludzkiéj do swobodnych wysiłków; owszem potęguje zarówno poczucie indywidualne i co do znaczenia i co do siły. Rola wielkich jednostek w dziejach nie jest bynajmniéj przez teoryę Taine'a uszczuploną, lecz ugruntowaną i wyjaśnioną; one-to bowiem, korzystając z całego zapasu wiedzy i siły już nagroma-

---

[1]) Essais de critique et d'histoire, Przedmowa XXII — XXVI.

dzonéj, zwiększają go własnym, do nich tylko należącym, i w ten sposób wpływają na dalszy bieg wypadków;—oni-to są owemi istotami, co umiejętnością i energią swoją przesuwają czy naprostowują drobne kółeczko w olbrzymiéj machinie świata i obracają jéj działanie na pożytek społeczeństwa.

Oprócz owéj teoryi ogólnéj o trzech zasadniczych i pierwotnych siłach wytwarzających całość ruchu dziejowego, Taine, trzymając się ciągle wzoru nauk przyrodniczych, zarysował kilka praw szczegółowych, które zarówno w biologii jak w dziejach umysłu znajdują swe zastosowanie. Szczegółowiéj określił pięć następujących: 1) prawo związku cech, ustalone przez Cuviera; 2) prawo równowagi organicznéj, podane przez Geoffroy St. Hilaire'a; 3) prawo podporządkowania cech, będące zasadą klasyfikacyi w botanice i zoologii; 4) teorya analogii i jedności układu, przedstawiona przez G. St. Hilaire'a, a rozwinięta przez Ryszarda Owena; 5) zasada doboru naturalnego, wyłożona przez Darwina. Krótkie objaśnienie tych uogólnień da poznać ich znaczenie.

1-o) Naturaliści zauważyli, że różne organa zwierzęcia zależą od siebie nawzajem, że np. zęby, żołądek, nogi, instynkta i wiele innych szczegółów zmieniają się wedle stałego stosunku, tak, że gdy jedna z tych własności ulegnie przemianie, to inne muszą uledz przemianie odpowiedniéj. Tak samo historycy mogą stwierdzić, że różne zdolności i skłonności jednostki, rasy, epoki są ze sobą związane tak dalece, iż przekształcenie jednéj z nich, zaobserwowane w jednostce sąsiedniéj, w grupie zbliżonéj, w epoce poprzedniéj lub następnéj, powoduje w nich odpowiednie przekształcenie systemu całego.

2-o) Naturaliści spostrzegli, że nadmierne rozwinięcie jednego organu w zwierzęciu (jak u kangura lub nietoperza) sprowadza uszczuplenie lub zanik organów innych. Podobnież historycy mogą zauważyć, że nadzwyczajny rozwój pewnej zdolności (jak np. skłonności moralnéj w rasach germańskich, albo skłonności metafizycznéj i religijnéj u Indusów) sprowadza w tychże jednostkach czy rasach osłabienie zdolności odwrotnych.

3-o) Naturaliści dowiedli, że wśród cech pewnéj grupy zwierzęcéj lub roślinnéj jedne są podrzędne, zmienne, niekiedy osłabione, czasami nieobecne; inne naodwrót, jak budowa słojowa w roślinach albo kręgosłup w zwierzęciu, są przeważne i określają cały plan jego istoty. Tymże sposobem historycy mogą dowieść, że wśród cech pewnéj grupy lub pewnéj jednostki ludzkiéj, jedne są podrzędne i dodatkowe, inne zaś jak np. wybitna obecność obrazów albo idei, lub też mniejsza lub większa zdolność do pomysłów mniéj czy więcéj ogólnych,

są panującemi i określają z góry kierunek jéj życia i rodzaj jéj wynalazków.

4) Naturaliści wykazują, że w pewnéj klasie, albo nawet w pewnym dziale państwa zwierzęcego odnaleść się daje tenże sam plan organizacyi we wszystkich gatunkach, że łapa psa, noga konia, skrzydło nietoperza, ramię człowieka, pletwa wieloryba jest tym samym pierwiastkiem anatomicznym, zastosowanym przez skrócenia lub wydłużenia częściowe do najrozmaitszych użytków. Podobnąż metodą historycy mogą wykazać, że u tegoż artysty, w téjże szkole, w tymże wieku, w téjże rasie osobistości najsprzeczniejsze pod względem położenia, płci, wychowania, charakteru, przedstawiają jednakże typ wspólny, to jest jądro zdolności i usposobień pierwotnych, które różnorodnie skracane, kombinowane, powiększane, wytwarzają niezliczone odrębności w danéj grupie.

5) Naturaliści wyjaśniają, że w gatunku zwierzęcym jednostkami rozwijającemi się najlepiéj i rozradzającemi się najswobodniéj są te, których szczególna budowa najdokładniéj je przystosowuje do otoczenia; że w innych jednostkach własności odwrotne zaznaczają się skutkami odwrotnemi; że naturalny bieg rzeczy sprowadza w ten sposób nieustanne eliminacye i stopniowe udoskonalenia; że ta ślepa łaska i niełaska działa tak, jak wybór z zamiarem dokonany i że przyroda wybiera w każdéj grupie gatunki najlepiéj do niego zastosowane, ażeby im zapewnić byt i panowanie. Analogicznie obserwując i rozumując, historycy mogą wyjaśnić, że w jakiéjkolwiek grupie ludzkiéj jednostkami dosięgającemi najwyższéj powagi i najszerszego rozwoju są te, których zdolności i skłonności najlepiéj odpowiadają zdolnościom i skłonnościom ich grupy; że otoczenie duchowe, jak otoczenie fizyczne działa na każdą jednostkę ciągłemi pobudzeniami i powściągami, że jednym nie dozwala się rozwinąć, innym zaś pomaga do bujnego rozrostu w miarę zgodności lub niezgodności pomiędzy niém a niemi; że ta głucha praca jest także pewnym doborem i że wskutek szeregu zmian i przemian niedostrzegalnych, przewaga otoczenia wprowadza na widownię dziejową artystów, filozofów, reformatorów religijnych, polityków, umiejących najlepiéj i najdobitniéj wyjaśnić lub urzeczywistnić myśl swego wieku i swéj rasy, tak jak na widownią natury wprowadza gatunki zwierząt i roślin najsposobniejszych ku temu, by się zastosować do pewnego klimatu i gruntu [1]).

Taine nie łudzi się co do znaczenia tych uogólnień i chociaż je nazywa prawami bardzo ścisłemi i bardzo ogólnemi (*très-précises et*

---

[1]) Essais de critique et d'histoire, Przedmowa, XXVI—XXX.

très-générales), pamięta jednak dobrze o tém, że pomiędzy naukami przyrodniczemi a historycznemi mogą zachodzić tylko analogie. Dwie te dziedziny, pomimo całego podobieństwa, nie stanowią tożsamości, przynajmniéj dla dzisiejszego badacza. Jako zajmujące się przedmiotem bardziéj złożonym, nauki historyczne daleko trudniéj od przyrodniczych osiągają ścisłość naukową; mimo to z powodu podobieństwa obu dziedzin możemy i powinniśmy dążyć drogą, utorowaną przez nauki przyrodnicze. Wykazanie tego podobieństwa i żądanie od nauk historycznych, by się zajęły poszukiwaniem i zbadaniem praw rządzących zjawiskami dziejowemi dopełnia ogólną teoryę Taine'a. „Zarówno w jednéj dziedzinie, jak i w drugiéj — powiada on [1]) — mamy do czynienia z grupami naturalnemi, to jest z jednostkami zbudowanemi wedle wspólnego typu, dzielącemi się na rodziny, rodzaje i gatunki. Zarówno w jednéj, jak i w drugiéj, przedmiot jest żywy, to jest poddany przemianie samorodnéj i ustawicznéj. Zarówno w jednéj, jak i w drugiéj forma pierwotna jest dziedziczną, a forma nabyta przekazuje się częściowo i zwolna za pośrednictwem dziedziczności. Zarówno w jednéj jak i w drugiéj cząsteczka organizowana rozwija się jedynie pod wpływem otoczenia. Zarówno w jednéj, jak i w drugiéj każdy stan istoty organicznéj zawarunkowany jest stanem poprzednim, oraz ogólném usposobieniem typu. W całym przebiegu rozwojowym człowiek jest dalszym ciągiem zwierzęcia, gdyż zdolności ludzkie mają za podstawę życie mózgu i to zarówno zdolności wyższe, będące przywilejem człowieka, jak i niższe, nie będące jego przywilejem; a przez mózg prawa organiczne rozciągają panowanie swoje aż do téj wyraźnie zaznaczonéj dziedziny, na progu któréj umiejętności przyrodnicze zatrzymują się, by ustąpić miejsca naukom duchowym. Stąd wynika, że dla nauk duchowych otwiéra się zawód podobny do tego, jaki jest udziałem nauk przyrodniczych; że historya, przyszedłszy naostatku, może odkryć prawa tak jak starsze od niéj umiejętności; że może tak jak one, ale w swoim zakresie, porządkować pomysły i przewodniczyć usiłowaniom ludzkim; że szeregiem poszukiwań dobrze prowadzonych może w końcu określić warunki wielkich wypadków ludzkich, to jest określić okoliczności niezbędne do okazania się, trwania albo upadku rozmaitych form uspołecznienia, myślenia i działania.“

Według tych zasad i według uogólnień, które sam sformułował, rozwijał Taine badania swoje na polu krytyki literackiéj, historyi literatury, krytyki estetycznéj, historyi sztuki, psychologii i historyi

---

[1]) Essais de critique et d'histoire: Przedmowa, XXXI.

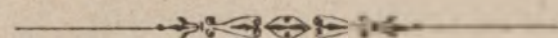
politycznéj, szukając udowodnienia prawdziwości swéj teoryi i znajdując je we wszystkich sferach, do poszkiwania przez siebie wybranych. Czy i o ile udowodnienie to okazało się przekonywającém dla wszystkich badaczów specyalnych w każdéj z uprawianych przez Taine'a gałęzi umiejętności, toby przekonywająco przedstawić można było dopiéro za pośrednictwem szczegółowego rozbioru rezultatów, do jakich doszli uczeni w tych różnych, lubo w ścisłym ze sobą związku będących dziedzinach. Nie może to być zadaniem tego poglądu ogólnego na umysł i metodę Taine'a; można oczywiście zgodzić się z góry, że w licznych jego wywodach i charakterystykach jest dużo omyłek wywołanych przez czynnik podmiotowy; ale tego zaprzeczyć niepodobna, iż ze wszystkich teoryi, usiłujących na podstawie pozytywnéj ogarnąć całość objawów umysłowości i działania ludzkiego, teorya Taine'a jest najwszechstronniejsza i najmniéj przedstawia miejsc słabych. Co było przedtém rozproszone, ona zjednoczyła i w system ścisły ujęła; a słabe jéj strony polegają głównie na szczegółach rozwinięcia, nie zaś na punktach zasadniczych. Ci, co pochlebiają sobie, iż ją sprostowali lub dopełnili, jak Hennequin, Tarde, Brunetière, mylą się przynajmniéj w tém, że według własnego swego mniemania podają warunki rozwoju jakoby w teoryi Taine'a nie zawarte, np. twórczość jednostek, naśladownictwo, oddziaływanie książek na książki, oddziaływanie gatunków literackich na siebie, prawo kontrastu i t. d.; tymczasem w gruncie rzeczy siły zasadnicze, wymienione przez Taine'a (rasa, otoczenie, chwila dziejowa), mieszczą w sobie istotnie wszystkie czynniki realne, mogące wywołać wszystkie objawy życia umysłowego i wszystkie czynności ludzkie. Teoryę tę, o ile się zdaje, spotka ten sam los, co wiele teoryi przyrodniczych, będzie rozwijaną ściśléj i dokładniéj określaną w szczegółach, może nawet jéj najwyższe uogólnienia okażą się z czasem niedostatecznemi, ale zapłodniła ona i zapładniać będzie umysły swoją dążnością naukową, ścieśniać będzie szranki krytyki dorywczéj, felietonowéj, nauczy ludzi, jak mają dochodzić do uogólnień nie kapryśnych, z fantazyi czerpanych, lecz opartych na faktach, na badaniu dokładném.

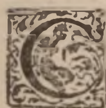
A czegóż może sobie więcéj życzyć człowiek, który, jak Taine, dla nauki wyłącznie pracował? Genialne nawet jednostki nie mogą posunąć naprzód badań tak skomplikowanych, jak są umysłowe, daléj nad jakiś krok jeden, wskazując innym drogę, która wydaje się lepszą i krótszą. A „najżywszą radością człowieka pracującego — jak powiada Taine — jest myśl o pracy, któréj dokonają inni kiedyś późniéj.“

Piotr Chmielowski.



DROGA ŻELAZNA SYBERYJSKA.



zterdziesty ósmy równoleżnik północny, przecinający Francyę, nieco poniżéj Brestu, biegnie starym lądem Europy i Azyi, przez okolice: Wiednia, Buda-Pesztu, Bałty i Carycyna, przez stepy na północ morza Kaspijskiego i morza Aralskiego, koło Sergiopola (w okręgu Siemirieczeńskim) przez północną Mongolię, i za Chabarówką (u zbiegu Amuru i Ussuri), koło zatoki Grassewicza dosięga cieśniny Newelskiego czyli cieśniny Tatarskiéj, oddzielającéj Sachalin od Syberyi wschodniéj. Wytknięta tym równoleżnikiem linia od oceanu Atlantyckiego do oceanu Wschodniego ma 11,000 wiorst długości, i jest najdłuższą linią (z wyjątkiem linii: Abo — cieśnina Baringa) nie przerwanego żadném morzem lądu, jaką na kuli ziemskiéj wytknąć można w kierunku zachodnio-wschodnim. Dla porównania dodamy, że ląd amerykański w najszerszém miejscu (52 równoleżnik północny) ma zaledwie 5,300 wiorst szerokości, a linia prosta, łącząca New-York nad Atlantykiem z San Francisco przy oceanie Wschodnim, wynosi zaledwie około 4,500 wiorst.

Droga żelazna syberyjska ma połączyć dwa oceany, na wschodniéj połowie kuli ziemskiéj. Nieprzerwana niczém para relsów biedz będzie z Brestu do Władywostoku — a ogół linii łączących te punkta, wyniesie 12,412 wiorst. Około 360 godzin, to jest około 15 dni i nocy, potrzeba będzie na przebycie téj przestrzeni w pociągu osobowym, średniéj prędkości, około 40 wiorst na godzinę.

Z tamtéj, azyatyckiéj strony gór Uralskich, na końcu drogi żelaznéj Samara-Ufa, leży Czelabińsk, dziś ostatnia, najbardziéj na wschód posunięta, stacya kolejowa. Z Czelabińska do Samary ma-

my: 933 wiorsty; do Moskwy 2,035; do Warszawy (przez Wiaźmę) 3,126 — a do Aleksandrowa na granicy pruskiéj 3,337 wiorst. Ponieważ odległość Brest-Paryż-Berlin-Aleksandrów wynosi 1,963 wiorsty, to możemy zrobić następujące ogólne zestawienie linii Brest-Władywostok:

Linie francuskie i niemieckie	1,963 wiorsty
Linje w granicach państwa ruskiego już wybudowane w Europie	3,337 wiorst
Linia projektowana w Azyi, kolej syberyjska: Czelabińsk - Władywostok	7,112 „
Razem	12,412 wiorst
z których w granicach państwa ruskiego	10,449 wiorst.

Linia Czelabińsk-Władywostok, ze względu na swą długość, jest największém przedsiębiorstwem kolejowém, jakie było i będzie. Droga z New-Yorku do San Francisco ma tylko 4,838 wiorst. Połączenie cieśniny Baringa z Ziemią Ognistą, wzdłuż zachodniego brzegu Ameryki (około 16,000 wiorst) już się buduje częściami, i przy wykończeniu go w przyszłości nie będzie nigdzie do wybudowania 7,200 wiorst nowego, nieprzerwanego, kolejowego toru. Pod względem ekonomicznym, projektowana droga żelazna syberyjska budzi dwojaki interes: raz jako kolosalne przedsiębiorstwo finansowe, którego urzeczywistnienie wpłynie na rozwój przemysłu już istniejącego w kraju, ożywi handel, a ciągnąc za sobą ku krańcom starego lądu armię robotników, przyczyni się do skolonizowania prawie bezludnych dotąd okolic, — drugi raz, jako kolosalna arterya komunikacyjna, ułatwiająca wymianę produktów między najodleglejszemi prowincyami państwa ruskiego, jako nowa droga handlowa między Europą i Azyą, która w przyszłości stworzyć może konkurencyę drogom morskim, znacznie dłuższym i o wiele mniéj bezpiecznym.

* * *

Droga żelazna syberyjska, według ogólnego planu jéj budowy, podzieloną została na następujące cztery linie:

I. Droga żelazna zachodnio-syberyjska: Czelabińsk-Tomsk (stacya Poczytańskaja 40 wiorst za rzeką Ob)	wiorst	1,328
II. Droga środkowo-syberyjska: Tomsk-Irkuck	„	1,754
III. Droga wschodnio-syberyjska: Irkuck-Chabarówka, składająca się z 3-ch oddziałów.		
a) nadbajkalski: Irkuck-Myzowskaja	wiorst	292

b) zabajkalski, od przystani na Bajkale, Myzowskaja do Srietieńska koło Nerczyńska nad Szyłką (dopływ Amuru)	„	1,009		
c) nadamurski: Srietieńsk-Chabarówka . . .	„	2,000	=	3,301

Powyższe trzy oddziały idą wszystkie w kierunku zachodnio-wschodnim.

IV. Dr. Ż. Ussuryjska z Chabarówki do Władywostoku, w kierunku z północy na południe, składa się z 2-ch części:

a) Południowéj: Władywostok-Grafskaja, któréj budowa już rozpoczętą została w roku 1891	wiorst	382		
b) Północnéj: Grafskaja-Chabarówka . . .	„	347	=	729
			Razem	7,112

Prócz tego projektuje się budowa

V-éj linii, łączącéj Dr. Ż. Syberyjską z Dr. Ż. Uralskiemi: Czelabińsk-Ekaterynburg	wiorst	238
Ogólna zatem długość projektowanych linii stanowi	wiorst	7,350

Jedną z najtrudniejszych do rozwiązania kwestyi przy budowie każdéj drogi żelaznéj jest kwestya dostawienia na właściwe punkta i we właściwym czasie materyałów do budowy potrzebnych. W kraju tak mało zaludnionym jak Syberya, z kwestyą tą łączy się i kwestya dostawienia robotnika, a system orograficzny Syberyi do usunięcia tych trudności mało się przyczynia. Jeden tylko Amur płynie w kierunku z zachodu na wschód; pozostałe spławne rzeki: Tobol, Irtysz, Ob', Jenissej, Lena i ich dopływy, płyną z południa na północ i dlatego, ani są obecnie ważnemi środkami komunikacyjnemi, ani téż przy budowie kolei wielkich usług w dostawie materyałów oddać nie mogą. Tak zwane: ułożenie linii, to jest położenie podkładów, przymocowanie szyn i zasypanie ich balastami (żwirem, piaskiem) odbywa się z wielką stosunkowo łatwością, przy pomocy pociągu (t. j. parowozu i wagonów) posuwających się z materyałami w miarę układania linii, tém więcéj, jeżeli to ułożenie odbywa się odrazu na kilku punktach budowanéj linii. Możliwość takiego prowadzenia robót zależy od ilości punktów połączenia budującéj się drogi z istniejącemi już drogami żelaznemi, morzem lub rzekami spławnemi.

Na całéj przestrzeni projektowanéj linii Czelabińsk-Władywostok dwa są tylko punkty wyjścia, dwa punkty dogodne dla dostawy materyałów i taboru, a tém samém do rozpoczęcia robót: Czelabińsk i Władywostok. Roboty ziemne i budowanie stacyi mogą być rozpoczęte odrazu na kilku punktach, ale układanie relsów i składanie żelaznych części mostów musi postępować kolejno, w miarę posuwania się w głąb kraju już gotowego toru.

Dla usunięcia niedogodności wynikających z tego położenia rzeczy, komitet kierujący sprawami budowy dr. ż. syberyjskiéj na jedném z pierwszych posiedzeń, zajął się wyjaśnieniem pytania: o ile możliwą jest i finansowo praktyczną dostawa materyału budowlanego do Krasnojarska przez morze Karskie i rzekę Jenissej? i asygnował 300,000 rubli na nabycie parostatków i okrętów żaglowych, które sposobem próby, wysłane zostaną z odpowiednim ładunkiem tą drogą, a następnie przeznaczone zostaną do stałéj żeglugi po Jenisseju. Dwa parostatki już nabyto w Anglii i jeśli ta droga okaże się praktyczną, to na czasie i wydatkach budowy duże oszczędności osiągniętemi być mogą [1]).

Tymczasem jednak ogólny plan budowy musi się rachować z brakiem punktów dostawy na całéj przestrzeni między Czelabińskiem a Władywostokiem i nie może projektować szybkiego wykonania robót. Wogóle roboty mają trwać lat 12 (t. j. od 1893 do 1904), a wykonanie ich podzielono na trzy okresy.

Do robót najpilniejszych, mających być wykonanemi w ciągu pierwszego okresu, t. j. w ciągu najbliższych lat 8-miu (1893 — 1900) zaliczono przedewszystkiém ukończenie drogi Południowo-Ussuryjskiéj (Władywostok-Grafskaja) i połączenie Ekaterynburga z Czelabińskiem. Ta ostatnia odnoga wiążąc linię projektowaną z okręgiem górniczym Uralskim umożliwia dowóz materyałów żelaznych z Uralu, i znakomicie obniży koszt ich dostawy. Główném zaś zadaniem pierwszego tego okresu będzie zbudowanie drogi żelaznéj Zachodnio-Syberyjskiéj i Środkowo-Syberyjskiéj linii: Czelabińsk-Irkuck, obliczonéj na ośm sezonów budowlanych 1893—1900. Linie pomocnicze:

---

[1]) Droga morska do Syberyi środkowéj przez morze Karskie ma całą swoją historyę. Ekspedycye naukowe Lüdtke'go (w latach 1821/4) i Beer'a (1837/8) ustaliły mniemanie, że droga ta jest niemożliwą z powodu, iż morze Karskie nigdy od lodów nie bywa wolne.

Prywatne usiłowania syberyjskiego przemysłowca Sidorowa, rozpoczęte w 1859, obietnica premium 10,000 rubli, a potem 2,000 funtów szterlingów za przebycie téj drogi, długi czas żadnego skutku nie miały. Dopiéro kiedy od roku 1869 okręty rybackie norweskie zaczęły zaglądać na morze Karskie, a zachęcone dobrym połowem wracały tam co roku, rozpoczęły się nowe usiłowania przebycia téj drogi. Ekspedycya polarna austryacka 1872 trafiła na bardzo ostrą zimę i nawet wpłynąć na morze Karskie nie mogła. 1874 Wiggins dopłynął do ujść Obi a w 1875 Nordenskiöld do ujść Jennisseju. Odtąd od czasu do czasu okręty angielskie i norweskie dopływają do ujść tych rzek z towarami, które przez rząd od cła uwolnione, przeładowywują się na parostatki rzeczne i tą drogą dostawiają na rynki środkowéj Syberyi. Wolny od cła przywóz towarów ma trwać do r. 1894.

Władywostok-Grafskaja i Czelabińsk-Ekaterynburg ukończone być mają w 1893 i 1894 roku.

Do robót drugiego okresu zaliczono budowę linii, łączących Bajkał z Amurem i Amur z oceanem Wschodnim, a więc linie: Myzowskaja-Srietieńsk, Srietieńsk-Pokrowskoje i Chabarówka - Grafskaja. Roboty na téj ostatniéj mają być rozpoczęte zaraz po otwarciu oddziału Władywostok-Grafskaja, to jest w r. 1895 i ukończone w r. 1898. Roboty zaś na linii Myzowskaja-Srietieńsk i Srietieńsk-Pokrowskoje rozpoczną się dopiéro po otwarciu linii Czelabińsk-Irkuck i Władywostok-Grafskaja, gdy na oddział zabajkalski można będzie dowozić koleją Bajkałem i Amurem nietylko materyały, ale i robotników, których w tym kraju prawie zupełnie nie ma.

Zaliczenie do robót drugiego okresu linii od Srietieńska (nad Szyłką) do Pokrowskoje (u zbiegu Szyłki z Argunią, które łącząc się tworzą Amur), nastąpiło wskutek postanowienia komitetu, kierującego budową dr. żel. syberyjskiéj. Przyłączony oddział w pierwotnym projekcie stanowi część linii nadamurskiéj; zaliczenie go do okresu drugiego ma na celu umożliwienie otwarcia zaraz po ukończeniu robót tego okresu, a więc w 1902 roku, stałéj parowéj: kolejowo-parostatkowéj komunikacyi od Czelabińska do Władywostoku. Przerwy w torze kolejowym (Irkuck-Myzowskaja i Pokrowskoje-Chabarówka) wypełni komunikacya parostatkowa na Bajkale i Amurze. Dopóki przypuszczano, że zaprowadzenie komunikacyi parostatkowéj na rzece Szyłce jest możliwém, proponowano Srietieńsk, jako końcowy punkt linii zabajkalskiéj i robót drugiego okresu, obecnie przekonawszy się, że Szyłka w wyjątkowych tylko porach roku jest spławną, włączono do robót drugiego okresu linię idącą wzdłuż biegu Szyłki — Srietieńsk-Pokrowskoje.

Do okresu trzeciego robót zaliczono linie: wzdłuż południowego brzegu Bajkału (Irkuck-Myzowskaja) i wzdłuż Amuru—Pokrowskoje-Chabarówka. Ostateczne ukończenie robót tego okresu i ukończenie całéj kolei syberskiéj powinno nastąpić w 1904 r. Plan ten jednak może uledz opóźnieniu raz ze względu na możliwość nieukończenia w terminie robót na liniach, zaliczonych do pierwszych dwóch okresów, powtóre dlatego, że jakkolwiek na linii Bajkał-Chabarówka prowadzono z polecenia generał-gubernatora kraju nadamurskiego studya przygotowawcze, wszystkie jednak wiadomości dotychczas zebrane, są jeszcze nie ścisłe; przestrzeń, którą ta linia przerzyna, prawie zupełnie bezludna i dlatego zarówno kierunek linii, jak ilość robót i czas ich wykonania tylko hypotetycznie zostały określone.

Prawdopodobne są tylko dwie daty: rok 1900 otwarcia drogi

żelaznéj do Irkucka, i rok 1902—otwarcie komunikacyi parowéj: parostatkowéj i kolejowéj do Władywostoku.

Wskazane przez nas na początku cztery oddziały, różnią się między sobą wielce co do technicznych warunków budowy.

Droga zachodnio - syberyjska (Czelabińsk - Tomsk) przebiega 1,328 wiorst okolicą stepową (stepy: iszymski, barabiński i kułundiński) czarnoziemną, bardzo żyzną i stosunkowo dość zaludnioną, ale zupełnie pozbawioną kamienia i drzewa. Roboty ziemne nie będą wielkie. Najpoważniejsze trudności techniczne stanowią mosty na rzekach Tobolu (200 sąż.), Iszymie (100 s.), Irtyszu i Obi.

Droga środkowo-syberyjska (Ob-Irkuck) 1755 wiorst, przedstawia znacznie więcéj trudności technicznych. Przeszedłszy 300 wiorst okolicami jeszcze stepowemi dopływów Obi (Tom, Jaj i Kij), droga za Aczyńskiém przebywa kilka gałęzi gór Sajańskich, dzielących porzecze Obi od porzecza Jenisseju i 10 mostów od 100 do 200 sążni, a koło Krasnojarska Jenissej, na którym projektowany jest most 450 sążni długości. Ilość robót ziemnych między Aczyńskiem a Irkuckiem dosięga 2,250,000 sążni kubicznych. O kamień i drzewo łatwo w tym kraju, ale o robotnika i żelazo o wiele trudniéj, niż na drodze zachodnio - syberyjskiéj, wskutek czego rozpoczęcie linii Aczyńsk-Irkuck nie nastąpi prędzéj, aż po ukończeniu linii Czelabińsk-Tomsk.

Najtrudniejszym pod względem technicznym będzie oddział pierwszy drogi wschodnio-syberyjskiéj, oddział nadbajkalski, idący południowym brzegiem Bajkału, od Irkucka do st. Myzowskaja.

Projektowana linia wspierać się musi często na ścianach murowanych, wzdłuż skał okrążających Bajkał i przebywa tunel długości 3 ½ wiorsty, t. j. 1,790 sążni. Druga część téj drogi, oddział zabajkalski, od Myzowskiéj do Srietieńska (nad rzeczką Szyłką) 1,009 w., już o wiele jest łatwiejszy, ma jednak jeszcze charakter górski (góry Jabłonowe) i duże mosty na rzekach Selendze (455 sąż.) i Szyłce (120 sąż.). Ilość robót ziemnych dochodzi do 2,000 kublicznych sążni na wiorstę. Do specyalnych trudności technicznych na tym oddziale zaliczyć należy napotykane w dolinie rzeki Udy przestrzenie, wiecznie zamarzłego gruntu sięgające 3,64 sążni głębokości. Dla uniknięcia ich proponowaném jest przeniesienie początkowego kierunku téj linii, bardziéj na południe w dolinę rzeki Chiłki. Co do ostatniego oddziału drogi wschodnio-syberyjskiéj Srietieńsk-Chabarówka, to tylko można powiedziéć, że most na Amurze projektowany ma miéć 1,260 sążni długości; studya szczegółowe dotąd przeprowadzone nie były.

Główne jednak trudności wynikną dopiéro przy eksploatacyi drogi, wskutek warunków klimatycznych. Osią linii Czelabińsk-Chabarówka jest 55 równoleżnik północny, a jakkolwiek jestto taka sama odległość od równika, w jakiéj leżą Królewiec, Szlezwig i północne hrabstwa Anglii właściwéj, mimo to klimat tych okolic jest nieskończenie surowszy. Średnia temperatura roczna okolic, przez które przechodzą drogi środkowo-syberyjskie wynosi 0°, średnia temperatura lata 20°, średnia zimy od —20 do 30 stopni niżéj 0. Taką temperaturę zimową mają tylko wyspy Spitzbergu, Grenlandya i najbardziéj północna część lądu amerykańskiego. Dziś trudno nawet przewidziéć, jaki wpływ będzie miała taka temperatura zimowa na eksploatacyę kolei, jakie środki trzeba będzie przedsiębrać celem utrzymania ruchu przy zaspach śniegowych, celém należytego ogrzania wagonów, zapobiegania pękaniu relsów i t. d. Dotychczasowa praktyka kolejowa tych zadań w tym stopniu nie miała do rozwiązania.

* * *

Koszta budowy wyżéj wymienionych linii obliczone są, jak następuje:

1)	Linia	Czelabińsk-Irkuck	wiorst 3,082	rs.	110,984,377	t. j. na wiorstę	36,367	rs.
2)	„	Najbajkalska	„ 292	„	22,310,820	„	76,407	„
3)	„	Zabajkalska	„ 1,009	„	53,309,817	„	52,834	„
4)	„	Nadamurska	„ 2,000	„	107,555,835	„	53,778	„
5)	„	Chabarówka-Grafskaja	347	„	18.738,582	„	54,001	„
6)	„	Władywostok-Grafskaja	382	„	17,661,051	„	46,228	„
7)	„	Połączenie dr. ż. Syberyjskich z drogami uralskiemi	238	„	7,738,952	„	32,515	„
			Razem	rs.	338,299,434		46,027	rs.
		a po potrąceniu asygnowanych już ze skarbu państwa poprzednio na budowę drogi Ussuryjskiéj		rs.	9,600,000			
			należy asygnować	rs.	328,699,434			

Cyfra powyższa obejmuje następujące pozycye główne:

1) Roboty ziemne, budowa stacyi, przywóz szyn, ułożenie drogi, wodociągi, sygnały, etc.	rs.	244,303,358
2) 26,879,488 pudów relsów i akcesoryi do relsów	„	45,015,026
3) Tabor: 700 parowozów, 422 wagony pasażerskie, 7,693 wagony towarowe	„	39,381,050
Razem	rs.	328,699,434

Do tej sumy należy dodać jeszcze następujące wydatki:

1) Budowa mostów na rzekach Irtysz, Ob, Jenissej i Amur	rs. 18,550,000
(stanowi to 2,608 rs. na wiorstę całej drogi)	
2) Fundusz specyalny na założenie *resp.* popieranie nowych na Syberyi gałęzi przemysłu . . . . , .	rs. 14,000,000
Razem	rs. 361,249,434

Wydatki te mogą uledz zmniejszeniu, jeżeli początkowo tabor nabyty zostanie tylko w stosunku 1 ½ pary pociągów dziennie, a nie 3-ch, jak to było preliminowane w pierwotnym projekcie. Zmniejszenie to da około 18,000,000 rubli oszczędności.

Wobec zupełnego braku zakładów przemysłowych i niskiego stanu rzemiosł na Syberyi, projektodawcy musieli z góry przewidywać trudności i koszta, jakieby wywiązały się przy sprowadzaniu z za Uralu wszystkiego tego, czego obecnie Syberya nie wytwarza. Na inicyatywę prywatną, przy braku ludzi i kapitałów, liczyć nie można; dlatego też do ogólnego preliminarza budowy drogi wliczono 14,000,000 rubli, jako kapitał potrzebny na założenie niektórych gałęzi przemysłu z potrzebami kolejowemi związanych, a dotąd na Syberyi nieistniejących.

Stosownie do Najwyżéj zatwierdzonego w dniu 10 grudnia 1892 roku protokółu specyalnéj komisyi z dnia 21 listopada t. r. na pokrycie tych wydatków budowy kolei syberyjskiéj przeznaczoną została przedewszystkiém suma rs. 92,734,591, zwrócona Bankowi Państwa przez skarb państwa w nieumorzonych dotąd biletach kredytowych, wypuszczonych w latach 1875/6. Reszta do 150,000,000 rs. potrzebnych do wykonania robót pierwszego okresu, a więc 57,269,409 rs., asygnowana będzie ze zwyczajnych lub nadzwyczajnych dochodów państwa, albo pokryta zostanie przez pożyczki. Kierunek sprawami budowy dróg żelaznych powierzony został specyalnemu komitetowi, którego pierwsze posiedzenie odbyło się w d. 10 (22) lutego 1893 r.

Do budżetu państwa na rok bieżący zapisaną została na wydatki, wywołane budową drogi syberyjskiéj, suma 38,500,000 rubli. Suma ogólna wydatków, mających być wniesionemi do budżetu w ciągu lat następnych, wynosi stosownie do projektowanych robót od 12 — 39 milionów rubli rocznie.

* * *

W długim szeregu skutków, jakie otwarcie drogi syberyjskiéj wywołać musi, na pierwszém miejscu postawić należy skutki cha-

rakteru polityczno-administracyjnego i społeczno-cywilizacyjnego. Otwarcie komunikacyi parowéj między Rosyą a Syberyą zbliży tę ostatnią do reszty państwa ze względu na czas trzy razy, nie mówiąc o wygodzie, pewności i kosztach komunikacyi. Około dwóch tygodni wystarczy na przebycie drogi z Petersburga do Władywostoku wymagającéj dziś do trzech miesięcy czasu. Syberya utraci charakter wyłącznie azyatyckiéj prowincyi i zbliży się do Europy, a rozwinąwszy swój handel i przemysł, może dla Azyi stać się ogniskiem kultury od północy, tak jak Indye angielskie są nim od południa.

Otwarcie téj drogi odegra niewątpliwie bardzo ważną rolę w palącéj sprawie ludności wiejskiéj bezrolnéj i małorolnéj. Ilość włościan, przesiedlających się z Rosyi środkowéj do gubernii Tobolskiéj, z 9,678 dusz w roku 1885 wzrosła w r. 1891 do 60,000 i wzrost ten nie może być zaliczony wyłącznie na karb wyjątkowego nieurodzaju roku 1891/2. Cyfra przesiedlających się wzrastała już przedtém i kiedy w latach 1885—1887 stanowiła średnio rocznie 11,805 ludzi, już w następném trzechleciu 1888 — 1890 wynosiła średnio rocznie 30,846 ludzi. Wzrost téj ilości w roku 1891 do 60,000 ludzi jest niezawodnie wyjątkowym, ale cyfra ta będzie cyfrą normalną rocznéj emigracyi, jak tylko przesiedlanie, dzięki otwarciu drogi żelaznéj będzie się mogło odbywać w bardziéj korzystnych warunkach, a zbyt produktów rolnych wzdłuż linii kolejowéj zapewnionym zostanie. Zaraz na pierwszym zachodnim oddziale droga żelazna syberyjska przecina stepy bardzo urodzajne: iszymski, barabiński i kułundiński łączące się ze stepami okręgu akmolińskiego, zajmujące przeszło pół miliona wiorst kwadratowych, to jest tyle co powierzchnia Francyi. Gubernia Tobolska ma dotąd tylko 2,000,000 ludności i z łatwością 10 razy tyle wyżywić potrafi. Okolice zachodniéj drogi syberyjskiéj w pobliskim okręgu górniczym, Uralskim, mają gotowy rynek zbytu produktów rolnych, a jak dalece rynek ten z łatwością rozszerzony być może, dowodzi okoliczność, że ruch towarowy na rzekach spławnych zachodniéj Syberyi, wynoszący dawniéj około 1,000,000 pudów rocznie, po otwarciu drogi żelaznéj do Ekaterynburga wzrósł do 2,500,000 pudów, a od czasu otwarcia drogi do Tiumenia ciągle daléj wzrasta. Gwałtowny wzrost ludności wzdłuż dróg żelaznych syberyjskich w południowéj części gubernii Tobolskiéj powinien nastąpić w najbliższéj po otwarciu drogi przyszłości i stanowić będzie jednocześnie rozwiązanie kwestyi włościan bezrolnych i małorolnych w środkowych guberniach państwa. Rządowe donacye szlachcie i urzędnikom większych obszarów ziemi, zdaniem kompetentnego or-

ganu rządowego, mogą się wielce przyczynić do prędkiego zaludnienia tych stepów.

O ile zachodnia Syberya powinna wkrótce rozwinąć swoje rolnictwo, o tyle środkowa i wschodnia, mniéj odpowiednie ze względu na klimat do kultury rolnéj, mogą łatwo stać się centrami rozwoju górniczo-przemysłowego. Dotychczasowa produkcya górnicza stanowi rocznie:

surowca	438,382	pudów
żelaza	264,802	"
stali	1.250	"
węgla kamiennego . .	2,071,157	"
soli	3,613,780	"
ołowiu	41,821	"
miedzi . . : . . .	19,337	"
srebra	808	"
złota . . . . : . .	1,858	"

Cyfry te dowodzą, że, właściwie biorąc, przemysł górniczy, z wyjątkiem eksploatacyi piasków złotodajnych i źródeł soli, nie istnieje. Produkcya roczna nie pozostaje w żadnym stosunku do naturalnych bogactw kraju. Źródła słone znajdują się prawie we wszystkich guberniach Syberyi (nie mówiąc już o stepach kirgiskich); grafit w guberni Jenissejskiéj i Irkuckiéj, srebro w górach Ałtajskich i w okręgu Nerczyńskim, drogie kamienie nad Amurem. Najcenniejszy z kamieni—węgiel kamienny znajduje się w wielu miejscowościach, a co ważniejsza — często w miejscowościach obfitujących w rudę żelazną. W okręgu Kuznieckim, gubernii Tomskiéj, węgiel obok rudy żelaznéj jest w kotlinie między górami Sałairskiemi i Ałtajem. W gubernii Irkuckiéj w kotlinie Angary, nad dolnym biegiem Irkutu i rzeki Białéj, w dolinach Jenisseju i niższéj Tunguzki. Znajduje się téż niewątpliwie w krajach: Zabajkalskim, Nadamurskim i w dolinie rzeki Ussuri. Prawdopodobny rozwój przemysłu żelaznego w Syberyi ułatwi rozwój wszystkich innych gałęzi przemysłu, a przy sąsiedztwie z prowincyami Chin, do których z przyczyny wielkiéj odległości od morza, dostawa wyrobów przemysłu europejskiego jest drogą morską bardzo utrudniona, może z czasem wywołać silny wywóz wyrobów żelaznych do Chin.

Produkcya złota na Syberyi ma wszelkie widoki silnego rozwoju w niedalekiéj przyszłości. Dotychczasowa produkcyi wynosi:

na Uralu	544	pudów
na Syberyi właściwéj	1,858	"
Razem	2,402	pudy, wartości 30,184,022 rubli.

Złoto to pochodzi prawie wyłącznie z piasków złotodajnych; z rudy wydobyto na Uralu 153 pudów, w Syberyi 24 pudy — razem 177, to jest 7% ogólnéj ilości. Kopalnie, zawierające 20 doli złota w 100 pudach piasku, są na Syberyi za ubogie, aby eksploatacya ich zwróciła koszta. Średnia wydajność kopalni wynosi na 100 pudów piasku:

w okręgu Jakuckim złota	2 zołotniki	37	dol.
w kraju Amurskia	1 „	60	„
w gubernii Orenburskiéj		$35\frac{3}{4}$	„
„ Irkuckiéj i Jenissejskiéj		$28\frac{3}{4}$	„

Produkcya złota z rudy w Syberyi zmniejsza się stale: z 33 p. 15 f. w r. 1888, spadła w r. 1890 do 23 p. 36 f. Tymczasem na Uralu wzrasta ona stale i gdy w r. 1886 wynosiła 101 pudów, to jest 22% ogólnéj produkcyi złota na Uralu (560 p.), w r. 1890 wynosiła już 153 pudy, to jest 31% ogólnéj produkcyi (542 p.). Ten wprost przeciwny kierunek rozwoju eksploatacyi kopalni złota na Uralu i na Syberyi przypisać należy wyłącznie tylko różnicom w warunkach transportowych i handlowych, które jeszcze jaśniéj się nam zarysują, jeżeli porównamy warunki eksploatacyi kopalni złota w Ameryce i na Syberyi. Produkcya złota w Ameryce jest $1\frac{1}{2}$ raza większa niż na Syberyi, chociaż średnia wydajność (piasków i rud) nie wynosi więcéj, jak 5 do 15 doli na 100 pudów piasku lub rudy. Kopalnie, dające 2 dole złota, pokrywają jeszcze w Ameryce koszta eksploatacyi, bo eksploatacya w zupełnie innych odbywa się warunkach. Na Syberyi eksploatacya kopalni złotodalnych odbywa się bez maszyn i bez mechanicznych motorów, wymaga więc 20 do 30 razy większéj ilości robotnika, niż w Ameryce, gdzie motory parowe i hydrauliczne szerokie znajdują zastosowanie. Robotnik na Syberyi nie jest tani: kosztuje na sezon górniczy 700 do 800 rubli.

Sprowadzenie maszyn do kopalni syberyjskich nietylko pociąga za sobą bajeczne koszta, ale w braku wszelkich zakładów mechanicznych na miejscu, w razie zepsucia się maszyny, jest prawie bezcelowém. To téż przemysł górniczy złoty uważa się na Syberyi za rodzaj loteryi, na któréj się wygrywa lub przegrywa zależnie od szczęścia, i kredyt w téj gałęzi przemysłu opłaca się do 25 procentów rocznie.

Trudno z góry przewidzieć, do jakich rozmiarów powiększyć się może na Syberyi eksploatacya piasków i rud złotodajnych z chwilą otwarcia drogi żelaznéj, gdy w gałąź tę włożone zostaną wielkie kapitały, gdy zastosowanemi zostaną motory mechaniczne, a ilość robotnika ulegnie znacznemu zmniejszeniu, bez podwyższenia zarobków

dziennych. Rudy złota są na Syberyi położone nieco daléj od usypisk złotonośnych, niż w Ameryce, a to z powodu większéj siły spadku rzek, które te usypiska sformowały. Eksploatacya tych rud będzie dziełem niedalekiéj przyszłości po otwarciu dróg żelaznych i powinna wkrótce wyrównać ilości produkcyi złota z przemywania piasku. Jest faktem powszechnie znanym, że w Ekaterynburgu pewne międzynarodowe towarzystwo akcyjne eksploatuje piaski, już raz przemyte i porzucone jako wyeksploatowane, a stosując do nich najnowsze ulepszenia techniczne, robi na tém doskonałe interesa.

Wspomnieliśmy już raz o przyszłości handlu wywozowego z Syberyi do Rosyi europejskiéj, mówiąc o przyszłości handlu z Rosyą, musimy tu jeszcze dodać parę uwag:

O ile dowóz z Rosyi, obejmując wyroby przemysłu, a więc przedmioty stosunkowo do wartości lekkie i nie wielkiéj objętości, wytrzymuje przewóz końmi, na odległość kilku tysięcy wiorst, o tyle wywóz syberyjski, obejmujący głównie produkty surowe, jak: zboże, skóry, łój, futra i wełnę, nie może się rozwinąć bez ułatwionych środków komunikacyi.

Przy ogólnéj sumie ludności 6,000,000, suma ogólna handlu wymiennego z Rosyą obliczona jest dziś w przybliżeniu na 50,000,000 rubli, cyfrę niesłychanie niską ze względu na to, że wszystkie wyroby przemysłu stanowią przedmiot przywozu. Główne interesy handlu przywozowego załatwiają się na jarmarkach w Niżnim-Nowogrodzie (w lipcu) i w Irbicie (w lutym). Towar kupiony w Niżnim przychodzi do Irkucka w grudniu i w handlu przywozowym kapitał obróconym być może raz na rok, rzadko raz na trzy kwartały. Ceny więc towarów z Rosyi sprowadzanych są dwa i trzy razy większe od cen w Niżnim. Arszyn perkalu kupiony w Niżnim za 11 kop., w Chabarówce kosztuje 22 kop. Sukno kupione za 80 kop. arszyn sprzedaje się po 2 rs., a butelka wina krymskiego, kosztująca 40 kop., kosztuje w Chabarówce ze względu na ryzyko transportu 1 rs. 50 kop. Pud nafty kosztuje tam do 5 rs. 50 kop. W takich warunkach więcéj aniżeli ¼ przywozu (7 mil. rubli) idzie przez ocean Wschodni bez cła, i wzrost handlu wymiennego z Rosyą w dwójnasób, do 100,000,000 rubli rocznie, słusznie przewidywać można w najbliższéj przyszłości przy znaczném obniżeniu cen na miejscu i przy szybkim wzroście ludności.

Otwarcie drogi syberyjskiéj ułatwi także znakomicie obroty wymienne wewnątrz Syberyi. Obroty te dokonywane na jarmarkach i na przystaniach wielkich rzek spławnych, obliczane są na 35,000,000 rs. O naturze tych stosunków wnioskować można z na-

stępujących danych urzędowych. W r. 1889 w Tomsku pud mąki żytniéj kosztował 45 kop., pud owsa 30 kop. Jednocześnie w Irkucku mąka żytnia kosztowała rs. 1 kop. 50 do rs. 1 kop. 80 pud; owies rs. 1 kop. 30 do rs. 1 kop. 50 za pud. Cena mąki żytniéj w guberni Tomskiéj, zależnie od urodzaju, w ciągu lat kilku spada do 15 kop. za pud, albo podnosi się do 1 rs. 10 kop. W Czycie w okręgu Nerczyńskim pud mąki żytniéj dochodzi do rs. 2, w Błagowieszczensku nad Amurem do rs. 2 kop. 20; pud mąki pszennéj do rs. 3 kop. 40, a pud owsa do rs. 1 kop. 50. Połączenie tych okolic z okolicami czarnoziemu zachodniéj Syberyi ureguluje ceny zboża i zatamuje przypływ jego z Chin.

Nakoniec w handlu międzynarodowym, światowym, droga żelazna syberyjska odegra także bardzo poważną rolę. Droga handlowa z Chin i Japonii do Europy przez kanał Suezki trwa dziś dni 45. Od czasu wybudowania drogi kanadyjskiéj czas téj drogi skrócony został do dni 35; droga syberyjska skróci go do dni 18—20. W ruchu towarowym frachty morskie przez Suez będą niższe od frachtów kolejowych na Irkuck i Moskwę; droga syberyjska będzie mogła konkurować jednak ze względu na czas dostawy i wykreślenie z kosztów transportu asekuracyi morskiéj. Handel z wewnętrznemi prowincyami Chin, odległemi od oceanu Wschodniego będzie dążył stanowczo ku drodze syberyjskiéj, a odnogi téj drogi do wnętrza Chin prowadzące mogą znakomicie przyczynić się do ożywienia ruchu na linii centralnéj [1]). Ogólna suma międzynarodowych obrotów handlowych z Chinami obliczoną jest przeszło na 500 milionów rubli. Wywóz z Chin dochodzi do 25,000,000 tonn rocznie, z których 20,000,000 tonn ładuje się na statki angielskie. Najważniejszemi artykułami wywozu są: jedwab (80 milionów rubli) i herbata (70 mil. rubli); szczególniéj pomyślne szanse ma interwencya drogi żelaznéj syberyjskiéj w handlu herbatą, z powodu, iż od lat więcéj niż 10-ciu Anglia faworyzuje własne plantacye kolonialne herbaty w Indyach i na wyspie Ceylon, z jawnym uszczerbkiem dla wywozu chińskiego. Wywóz herbaty z Chin na statkach angielskich spadł z 90 mil. funtów w roku 1866 do 67 mil. funtów w r. 1890, a dowóz herbaty chińskiéj do Londynu spadł w jeszcze gorszym stosunku: z 39 mil. funtów w roku 1886 do 11 mil. funtów w roku 1890. Przejęcie przez drogę syberyjską handlu herbatą z Chinami tém więcéj ma szans powodzenia, że trans-

---

[1]) Odległość od Nerczyńska do Pekinu wynosi w linii prostéj nie całe 1,500 wiorst.

port herbaty koleją odbywać się może w daleko lżejszém opakowaniu, co koszt transportu kolejowego i morskiego wyrównać może.

Wwóz do Chin dochodzi do 284 mili. rubli wartości; najpoważniejsze miejsce zajmują w nim prócz opium dostarczanego z Indyi, przędza i tkaniny bawełniane na 116 mili. rubli, wyroby metalowe na 17.8 mili. rubli, i wyroby wełniane 9.5 mili. rubli. Jakkolwiek wyroby bawełniane okręgu moskiewskiego, znajdą zapewne korzystne rynki zbytu w Chinach, szczególniéj w prowincyach środkowych, to głównym przedmiotem przywozu z Rosyi i Syberyi do Chin, będą prawdopodobnie metale i wyroby metalowe a szczególniéj żelazo. Wyżéj już mówiliśmy o widokach przemysłu górniczo-metalurgicznego w środkowéj i zachodniéj Syberyi. Handel z Chinami może się bardzo do rozwoju tego przemysłu przyczynić i przy zupełnym braku zakładów przemysłowych w wewnętrznych prowincyach Chińskich, znaleść tam bardzo szerokie rynki zbytu. Dalsze nieco już od Chin zakłady metalurgiczne na Uralu, mogą także znaleść odbiorców zaraz po otwarciu dwóch pierwszych oddziałów drogi syberyjskiéj. Udział Rosyi w handlu z Chinami obliczany dotąd na 20 mili. rubli (17-ym przywozu z Chin i 3-im wywozu do Chin) nie pozostanie długo zawartym w tych skromnych granicach.

Nie obojętną téż jest ta okoliczność, iż po otwarciu drogi syberyjskiéj, porty ruskie nad oceanem Spokojnym, nie będą potrzebowały szukać źródeł zaopatrzenia się w żywność i węgiel kamienny, po za granicami państwa.

* * *

Mimo tak świetnéj przyszłości, ścisłe obliczenie przychodów i wydatków eksploatacyjnych drogi żelaznéj syberyjskiéj, w najbliższéj przyszłości, to jest zaraz po jéj otwarciu, nie obiecuje świetnych rezultatów. Wedle przypuszczalnego rachunku dochody i wydatki, mającéj się otworzyć w r. 1900 linii Czelabińsk-Irkuck powinny dać następujące cyfry:

	Doch. Brutto	Wyd. eksploatac.	Doch. czysty.
Dr. Ż. Zachodnio-Syberyjska	3,823,517	3,033,058	+790,459
„ Środkowo-Syberyjska	3,153,558	3,073,851	+ 70,707
„ Czelabińsk-Ekaterynburska	366,760	379,400	— 12,640
	7,343,835	6,486,309	857,526
Dodając do tego spodziewane powiększenie dochodu na linii Czelabińsk-Samara			1,406,331
Spodziéwany dochód czysty wynosi rs.			2,263,857

Co od kapitału około 120,000,000, stanowi 1,89%.

Że w takich warunkach finansowych, droga żelazna syberyjska musi być wybudowaną kosztem skarbu państwa — jest oczywistém — a względy administracyjno-polityczne tak wielką grają rolę w téj sprawie, że gdyby nawet przypuszczalne rezultaty doprowadzały do corocznych deficytów eksploatacyjnych — droga syberyjska jeszcze powina być wybudowaną.

Nie przytaczamy tu szczegółów, na których oparte jest powyższe obliczenie dochodów, dodamy tylko dla wyjaśnienia, że dochód *brutto* składa się z następujących pozycyi:

Przewóz pasażerów	rs.	747,600
Wywóz do Rosyi: *a*) zboże.	„	1,238,202
b) inne płody surowe	„	341,097
Przywóz z Rosyi wyrobów przemysłu	„	2,108,332
Herbata do Rosyi i wewnątrz kraju	„	1,810,027
Handel wewnętrzny: *a*) zboże	„	449,256
b) inne towary	„	436,746
Opłaty dodatkowe: ekspedycyjne, składowe, ładunkowe etc.	„	212,575
Razem j. w.	rs.	7,343,835

Co do wydatków, to dla specyalistów przytoczymy, że obliczono je w następujący sposób:

Ogólny przebieg pudowiorst	24,461,166,000
Wiorst pociągowych:	
na drodze Zachodnio-Syberyjskiéj	2,613,316
„ Środkowo-Syberyjskiéj	1,763,670
„ Czelabińsk-Ekaterynburskiéj . . .	178,800
Razem	4,555,786

I. Koszta ogólne stałe:

na oddziale Zachodnio-Syberyjskim na wiorstę drogi rs. 1,300, wiorst 1,328	rs.	1,726,400
na oddziale Środkowo-Syberyjskim na wiorstę drogi rs. 1,450, wiorst 1,755	„	2,544,750
na oddziale Czelabińsk-Ekaterynburskim na wiorstę drogi rs. 1,450, wiorst 200	„	290,000
Razem koszta stałe ogólne	rs.	4,561,150

II. Koszta zależne od ruchu:

na oddziale Zachodnio-Syberyjskim wiorst pociągowych 2,613,316 po kop. 50	rs.	1,306,658
na oddziale Środkowo-Syberyjskim wiorst pociągowych 1,763,670 (ze względu na taniość materyału opałowego) po kop. 30 . . .	„	529,101

na Oddziale Czelabińsk-Ekaterynburskim wiorst pociągowych 178,800 po kop. 50 . . . . „	89.400
Razem	1,925,159
Suma wszystkich wydatków rubli	6,486,309

* * *

Na ostatniém posiedzeniu komitetu budowy dr. ż. syberyjskiéj, minister komunikacyi składał raport o stanie robót na oddziałach Czelabińsk-Irkuck i Władywostok-Grafskaja. Roboty ziemne są już w pełnym biegu, szyny, akcesorya, cement i inne materyały już częściami przybywają na miejsce robót, niektóre mosty drewniane gotowe, materyały na budynki stacyjne przygotowane. Korpus topografów wojskowych ma zbadać szczegółowo okolice od Bajkalu do Amuru a departament górniczy z sum drogi syberyjskiéj otrzymuje roczny zasiłek 50,000 rubli na badania geologiczne okolic, przez które nowa kolej przebiegać będzie.

St. P.





w lit. W. Główczewskiego w Warszawie.